

Autobiografia
lid L-ZiLclCCII IdL)ci._ll.
czyn historia jednej rodziny
oraz psów, kotów,
krów, koni, jeży,
słoni, węży...
i ich krewnych
©

Dorota Sumińska
Autobiografia
na czterech łapach, czyli historia lednei rodziny
o raz psów, kotów,
krów, koni, jeży,
słoni, węży...
i ich krewnych
Wydawnictwo Literackie
иной JŚZ3
' ' . •;--

^Łc
JSKP
o
H^H^
um pierwsza
I*;
y""*" Biahgr
ШШШН
и».

Fa lemicze i
— ciwor w Adama H;
psb ШЯВІкк^Mi
Hі —.-----~ -
J Б
a . '■' <л ПП m

I

studiować pasącą się krowę. Z całym szacunkiem dla filozoficz- 9 nych dzieł, ale miał wiele racji. Krowa niesłusznie posądzana o to, że nigdy nie zmienia zdania (chyba że zmieni zdanie na temat smakowitości trawy i przeniesie się w inne miejsce), może stanowić ciekawy obiekt obserwacji.

Nie miałam jeszcze dwóch lat, a już krowa budziła moje zainteresowanie. Byłam jedynaczką i czasem dorosłym domownikom przychodziło się ze mną bawić. Ulubioną zabawą było pasienie krowy. Babcia, nazywana przeze mnie Bebą (mama mojej mamy), wcielała się w rolę krowy i chodziła na czworakach po korytarzu. Ja z bacikiem (nigdy go nie użyłam) maszerowałam za nią, powtarzając „paś się, krowo, paś”. Bebunia musiała co jakiś czas zaryczeć. Głaskałam ją wtedy po głowie i powtarzałam „paś się...”.

Pasienie się nie jest zajęciem szczególnie wyczerpującym. Trochę bolą kolana, ale to szybko mija. Kiedy więc w domu nadchodziła pora tak zwanego wielkiego prania (pralek automatycznych wtedy jeszcze nie było), Beba mówiła: „to ja już wolę się popaść”, i zajmowała się wnuczką.

Urodziłam się w Warszawie, ale moje korzenie sięgają daleko od stolicy. Do wołyńskich lasów i łąk, na których pasły się krowy mojej prababki, i dalej, aż do Niemna, nad którego brzegiem spacerował ze swym bokserem Wampem mój pradziadek Józef Sawicki, ojciec Beby.

Wróćmy jednak do krowy. Nie było mnie jeszcze nawet w najśmielszych planach, kiedy krowa o imieniu Aza przechadzała się po gazonie w majątku Falemicze na Wołyniu. Aza nie tylko wysku-bywała kwiaty z trawnika, ale paradowała zaopatrzona w coś w rodzaju wielkiego stanika. Była mistrzynią mleczności i jej ogromne wymię wymagało ochrony w postaci biusthaltera. Nikt nie miał prawa powiedzieć Azuni złego słowa. Wolno jej było wszystko, nawet wejść do jadalni.

Aza była ulubienicą pierwszej damy w Falemiczach — mojej prababki ze strony ojca, hrabiny Ewy Halka-Ledóchowskiej. Ewa, poza tym, że była panią na Falemiczach, była najprawdziwszą Tatarką. Jej historia jest jeszcze bardziej niezwykła niż biustonosz Azy, bo jakże spadkobierca fortuny, hrabia Adam Halka-Ledó-chowski, mógł ożenić się z prostą dziewczyną, Tatarką nie mówiącą po polsku. Teoretycznie nie mógł, ale Adam nie był „teoretyczny”, lecz nad wyraz praktyczny. Ożenił się z nią. Historia związku tych dwojga mogłaby konkurować z romansiem Romea i Julii.

Spadkobierca fortuny Ledóchowskich był bardzo atrakcyjną partią. Mnóstwo panien wzdychało nie tylko do przystojnego kawalera, ale i do jego majątku. Każda z nich chętnie zostałaby hrabiną Ledóchowską, ale Adam nie kwapił się do ożenku. Konie, konie i jeszcze raz konie. Był nie tylko wspaniałym jeźdźcem, ale i hodowcą. Szczególnie upodobał sobie delikatne rumaki z Arabii. Większość dni spędzał w siodle. Nie znaczy to wcale, że zaniedbywał obowiązki ziemianina.

Adam konno objeżdżał swoje wsie, pola i lasy. Dziś mało kto wie, na czym polegało prowadzenie tak wielkiego majątku. Przez lata tłoczono w polskie głowy komunistyczne bzdury na temat okrutnych obszarników wyciskających ostatnie poty z „chłopów małorolnych”. W majątku Falemicze były przedszkola i szkoły dla dzieci wieśniaków, i szpitalik dla potrzebujących pomocy lekarskiej. Wielodzietni pracownicy majątku mogli liczyć na pomoc nie tylko w codziennym życiu. Wesela, posągi i pogrzeby też były finansowane przez dwór. Wszyscy znamy powiedzenie „pańskie oko konia tuczy”; Adam też je znał. Nie zdawał się na zarządców, ale sam kontrolował swoje włości.

Adam Halka-Ledóchowski,
mój pradziadek, ok. 1900,
jeszcze przed ślubem.

Był zwykły wiosenny dzień. Słońce stało już wysoko, gdy Adam wsiadał na konia. Musiał pojechać do kowala. Po zimowym odpoczynku sprzęt rolniczy wymagał kowalskiego oka i ręki. Trzeba było sprawdzić, czy zarządca dostarczył kowalowi to, co wymagało wizyty w kuźni. Nikt dziś nie wie, o czym myślał, kiedy podjeżdżał pod kowalskie obejście, ale na pewno nie zdawał sobie sprawy, że ta wizyta zmieni całe jego życie.

Kowal był wyraźnie w dobrym nastroju i radośnie witał pana hrabiego. Biedak nie miał pojęcia, jak krótko potrwa jego szczęście. Nie był już młody, całkiem niedawno pochował żonę, a tu „gęba się śmieje od ucha do ucha”. „Chyba niedługo będę prosił Jaśnie Pana o błogosławieństwo, zenić mi się chce”.

Zdziwił się Adam — młodzi ludzie zazwyczaj nie rozumieją, że „w starym piecu diabeł pali”. „A kogóż to kowal powiedzie do ołtarza, może wdowę po Macieju ze stajni?”. „E, nie, Jaśnie Pan nie uwierzy, jako i ja nie wierzę, że może jeszcze syna się dochowam. Mam tu taką dziewczkę. Młoda, silna i urodna, jeno po naszymu nic nie gada”. „Co? Niemowa?”, zdziwił się Adam. „Mowa, mowa, tylko nie po naszymu. Po tatarsku tylko jakby grucha, bo ona nie nasza, jeno tatarska”.

Nie zdążył Adam spytać, skąd kowal wytrzasnął tatarską narzeczoną, bo z kuźni wyszła owa „niemowa”. Trochę przestraszona, nie wyglądała na szczęśliwą. Czarne jak węgiel włosy odgarniała z czoła, a w oczach równie czarnych zobaczył Adam smutek i bunt. Była tak piękna, że nie można było oczu oderwać. Nie miała więcej niż piętnaście lat, a w twarzy tyle dumy i godności. Obyty w świecie arystokrata teraz słowa nie mógł z siebie wydusić. Zakręcił się, coś bąknął, wskoczył na konia i odjechał. Od tej chwili nie przestawał myśleć o tajemniczej narzeczonej kowala. Pewnie nawet przed samym sobą trudno mu było się przyznać, że jest na zabój zakochany. Wszystko przemawiało za tym, że jego uczucie skazane jest na niepowodzenie. Dzieliła ich przepaść kulturowa. W tamtych czasach taki związek mógł zaistnieć tylko w zaciszu alkowy, ale Adamowi nie o to chodziło. Nie było komu się zwierzyć z szalonej miłości. Nie wiedział, czy może liczyć na przychylną dziewczyny. Nie mógł patrzeć na roześmianą gębę kowala, więc podkradał się opłotkami i podglądał, jak „niemowa” krząta się po kowalskim obejściu. Szybko przekonał się, że może liczyć na jej wzajemność. Serce zabiło mu mocniej. Nie zastanawiał się ani przez chwilę, porwał dziewczynę. Za jej zgodą oczywiście. Nietatwo było ukryć, że dziewczyna jest w Falemiczach, tym bardziej że Adam sprowadził rozlicznych nauczycieli, którzy zajęli się edukacją Tatarki. Pierwszą osobą dopuszczoną do tajemnicy był ksiądz. Ochrzczył dziewczynę imieniem Ewa i zajął się jej religijnym wykształceniem. Nauka polskiego, francuskiego, dobrych manier, gry na fortepianie trwała cztery lata. Na szczęście jazdy konnej nie trzeba jej było uczyć.

—
Ewa była bardzo bystra. Szybko opanowała język polski, na- * uczyła się pisać i czytać. Francuski też szybko przyswoiła. Powo- % li stawała się damą. Kiedy skończyła dziewiętnaście lat, ten ksiądz, który ją ochrzcił, zapytał, już na stopniach ołtarza, czy %
Om

ślubuje miłość i wierność Adamowi. Odpowiedziała bez namysłu „tak”. Adam powtórzył za nią jak echo. Zostali mężem i żoną 15 z prawdziwej miłości.

Ślub był o tyle dziwny, że nie zjawił się nikt z rodziny panny młodej — co zrozumiałe, ale i ze strony pana młodego nie było prawie nikogo. Rodzina Ledóchowskich nie potrafiła zaakceptować wyboru Adama. Pomimo to wesele było huczne i wszyscy dobrze się bawili. Podobno na weselu był nawet kowal, któremu Adam już wcześniej sowicie wynagrodził powetowaną, jak się okazało, stratę.

Z czasem rodzina Adama dała za wygraną. Ewa stanęła na wysokości zadania i weszła w rolę prawdziwej pani na Falemiczach. Przyszło jej to tym łatwiej, że Adam nie tyle kochał, ile uwielbiał swoją żonę. To bytżadko spotykany i ze wszech miar udany związek. Byli nierozłączni. Nawet podczas szalonych przejażdżek bryczką, kiedy Adam nie mógł ani na chwilę puścić lejców, Ewa przypalała mu papierosa i wtykała w usta. O dziwo, nigdy się nie wywrócili, choć pędzili przez pola z tatar-sko-ułańską fantazją.

1 1
1 ■S- !
-■ ;
i i <

Adam i Ewa dochowali się dwójki dzieci.

Jest rok 1908. Akurat rodzi się moja babcia Irena, a Adam szaleje z niepokoju o cierpiącą żonę.

Dziecko było spore i poród trochę się przedłużał. Lekarz i położna opiekowali się rodzającą, a Adam biegał w tę i z powrotem po schodach. Parł i jęczał głośniejszym głosem niż Ewa. Ciągłe nękał lekarza pytaniami, co ma zrobić, aby ulżyć żonie. Mówił, że chce cierpieć tak samo jak ona. Zirytowany lekarz, aby mieć święty spokój, podał mu parasol i powiedział: „Jeśli Jaśnie Pan hrabia umieści to w swoich trzewiach, otworzy i spróbuje wyjąć, poczuje Pan hrabia to, co

szanowna pani hrabina teraz". Adam zemdłał. Wkrótce do pełnej świadomości przywrócił go głośny płacz małej Irenki.

Za parę lat, przy następnym poro-dzie, było już łatwiej. Urodził się Leoś. Już bez histerycznej pomocy ojca.

Dzieci rosły zdrowo i dorosły. W latach dwudziestych ubiegłego wieku Irena była już panną na wydaniu i przyszedł czas, by pomyśleć o dobrej partii dla pięknej hrabianki ze skazą tatarsko-polskiego mezaliansu. W tamtych czasach nie zapominano o tym, „kto kogo rodził”. Mała dygresja: tym powiedzonkiem posługiwała się często szwa- Adam i Ewa dochowali się

gierka I przyjaciółka mojej drugiej dwóŃcieci. Irena (moja babcia)

I jej brat Leon, Żytomierz 19)5.

babci—Janiny (Beby), mamy mojej

mamy. Ciocia Zosia, bo tak jej było na imię (chrzestna matka mojej mamy, też Zofii), kiedy przedstawiano jej młodego człowieka, pytała: „Kto pana rodził?”. Było to w czasach mojej młodości, czyli w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, i tego typu pytanie zawsze wywoływało pełną konsternację u nieszczęśnika. Zazwyczaj, jękając się, odpowiadał: „m... mama”.

Tak więc mama babci Ireny nie była w tamtych czasach „upoważniona” do rodzenia hrabianek. Nic nie pomogło, że żona przyjmuje tytuł od męża ani że córka dziedziczy tytuł po ojcu. Takie były czasy i takie obyczaje.

18

Slub moich dziadków

Ireny Ledóchowskiej i Piotra Sumińskiego

Obok Piotra jego matka Sabina Sumińska,

2° Jasińska, z domu Oczosalska.

1932.

Prababcia

Ewa Ledóchowska,

ok. 1912.

Choć babcia Irena była hrabianką, i to bardzo bogatą, to jednak miała skazę w postaci matki niskiego stanu. A czas upływał nieubłaganie — nie można było dopuścić, aby Irena wyszła za mąż za kogoś z niższym niż hrabiowski tytułem. Niełatwo jednak znaleźć wśród arystokracji kogoś, kto zaryzykowałby utratę pozycji towarzyskiej dla takiego mariażu. Nie każdy był Adamem Ledóchowskim.

.■ :■ ...

' IIIIT BI

fb mm

Prababcia ? Ewa Ledóchowska, 1963.

9^

19

Hrabia „gołodupiec”

Babcia Irena, hrabina Leszczyc-Sumińska, żyje do dziś. Ma sto lat. Jest wdową od dawna. Jej mąż, mój ukochany dziadziś Piotr, 20 odszedł — nie z powodu gruźlicy, na którą chorował bardzo długo bez zdiagnozowania. Nie przyczyniły się do tego miliony wypalonych papierosów ani siedem, tak — siedem, zawałów serca. W wieku osiemdziesięciu kilku lat dziadziś złamał nogę i unieruchomienie zabiło go w ciągu trzech miesięcy. To był rok 1987. Dziadek Piotr był dla mnie kimś niesłychanie ważnym. Jestem pewna, że to on zaszczerpił we mnie głód wiedzy przyrodniczej. Wart jest oddzielnej książki. Już jego wygląd wiele o nim mówił. Wysoki, o szlachetnych rysach, zawsze elegancki, zawsze pod muszką. Nigdy nie

widziałam dziadzia w niedbałym stroju. Nigdy nie słyszałam z jego ust wulgaryzmu. Miał ogromną wiedzę przyrodniczą. Jego publikacje dotyczące europejskich zwierząt łownych do dziś nie mają sobie równych. Znał biegle, w mowie i piśmie, kilka języków, z łaciną i greką włącznie. Był najwspanialszym gawędziarzem, jakiego kiedykolwiek dane mi było słuchać. Z wykształcenia leśnik, z zamiłowania „człowiek lasu”, myśliwy i jeździec — Piotr Paweł Stefan Marcin Maria hrabia Sumiński herbu Leszczyc. W 1932 roku ożenił się z Ireną Ledóchowską.

To była już zupełnie inna historia. Tu zabrakło najważniejszego — miłości. Nie wiem, jak Adam i Ewa mogli zapomnieć o swoim płomiennym uczuciu, kiedy popchnęli córkę w ramiona człowieka, którego niewiele znała i którego nie kochała. Dlaczego moja druga prababka ze strony ojca — hrabina Sabina Sumińska, z domu Oczosalska, herbu Paprzyca, kobieta jak na lata dwudzieste niezwykle świątła i postępową, ożeniła syna z właściwie nie znaną mu kobietą?

Wnioski nasuwają się same. Pierwszy to taki, że dzieci Sumińskich i Ledóchow-skich były bardzo posłuszne rodzicom, a drugi, że chodziło o „pieczeń”, którą obie rodziny przy okazji tego ślubu zamierzały upiec.

Młodziutki Piotr Sumiński, tak jak pozostali trzej bracia, był we władaniu silnej i apodyktycznej matki. Prababka Sabina należała do kobiet ze wszech miar niezwykłych. W tamtych czasach nawet kobiety wysoko urodzone rzadko były tak wykształcone jak ona. Urodziła się w 1881 roku. Jako absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, została wykładowcą języków obcych (angielskiego, niemieckiego, francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego) w swojej Alma Mater i na innych uczelniach, między innymi na Sorbonie.

Hrabina Sabina Sumińska,
z domu Oczosalska,
herbu Paprzyca, moja prababka,
ok. 1900.

Hrabia Artur Edward Sumiński,
herbu Leszczyc, mój pradziadek,
ok. 1900.

i Piotr, mój dziadek.

Mąż Sabiny chorował na gruźlicę, która w tamtych czasach zbierała śmiertelne żniwo. Nie oszczędziła i jego. Sabina została wdową w finansowych tarapatach. Leczenie męża było nie tylko mało skuteczne, ale i bardzo kosztowne, a rodzina, choć arystokratyczna, nie należała do najbogatszych. Na szczęście Sabina niedługo pozostawała sama. Wyszła za mąż po raz drugi za doktora medycyny o nazwisku Jasiński. Doczekali się jednego syna — Stanisława.

24
Sabina Sumińska,
2° Jasińska, z synami:
najstarszym Albertem,
bliźniakami Arturem
i Piotrem Sumińskimi
oraz najmłodszym
Stasiem Jasińskim,
Podkamień, 1926.

Niestety historia powtórzyła się i gruźlica zabrała prababce drugiego męża. Sabina była bardzo dzielna. Pracowała i nie oszczędziła środków na edukację czterech synów. Trzymała ich krótko, wychowała i wykształciła znakomicie.

W końcu lat dwudziestych trzej najstarsi synowie są już dorośli. Mają świetne pochodzenie i wykształcenie, ale fortuna im nie sprzyja, a tu trafia się znakomita okazja do poprawienia

sytuacji finansowej choćby jednego z nich. Dlaczego padło na Piotra, nie wiadomo. Może on jeden nie miał jeszcze swojej wybranki?

Wesele odbyło się w Falemiczach. Ledóchowscy nie szczędzili środków. Panna młoda otrzymała w posagu ogromny majątek. Stała się teraz hrabiną bez skazy. Nie ma wątpliwości, że zarówno Irena, jak i Piotr nie czuli do siebie tego, o czym marzą młodzi Irena i Piotr Sumińscy, moi dziadkowie, w ogródku na Saskiej Kępie, 1986.

ludzie. Były to zupełnie inne czasy i ludzie byli inni, obowiązywała kindersztuba. Mimo to moi dziadkowie okazali się wzorowym małżeństwem. Ani ich dzieci, ani wnuki nigdy nie słyszały, by między nimi doszło do kłótni czy nawet do jakiegokolwiek różnicy zdań.

Przypuszczam, że z czasem naprawdę się pokochali. Najdziwniejsze było to, że prababcia Ewa, sama kiedyś biedna jak mysz kościelna, nigdy nie wybaczyła swojemu zięciowi kiepskiego stanu portfela. Byłam wtedy małą dziewczynką — prababcia zmarła w roku 1964, gdy miałam 7 lat — ale doskonale ją pamiętam.

Dziadek Piotr umiał i lubił opowiadać, niezwykle barwnie, nakręcając się własną opowieścią, gestykulował i robił miny. Kiedy wszyscy wokoło gapili się na dziadzia z rozdziawionymi ustami, prababcia szeptała pod nosem „hrabia gołodupiec”.

Tumin

Tumin znam tylko ze zdjęć i opowieści rodzinnych; tam urodził się mój ojciec Edward — pierworodny syn Piotra i Ireny. Wszystko zostało za wschodnią granicą. Często myślę, co czuli ludzie, zostawiając za sobą dorobek życia przodków, swoje ukochane konie, krowy, jabłonie i zapach domu?

Adam i Ewa podarowali córce Tumin — majątek ze starą, już wtedy zabytkową leśniczówką, w której Józef Ignacy Kraszewski pisał Starą baśń. Dziadek Piotr dobudował do leśniczówki okazały dwór, ale i tak stary drewniany budynek był centralnym i najważniejszym miejscem w nowym domu Sumińskich. To tu przyjmowano gości, biesiadowano i omawiano ważne rodzinne sprawy. To tu po naradzie podjęto decyzję, że mój ojciec urodzi się w Krakowie, w najlepszej wówczas klinice położniczej. Zanim jednak do tego doszło, Tumin zdążył zadziwić okolicę.

Dziadziuś chciał zaimponować swoim teściom. Myślę, że nie najlepiej czuł się jako „gołodupiec” i postanowił pokazać wszystkim, jak bardzo zasługuje na miano ziemianina. Był nie tylko ambitny i wykształcony, ale miał dużą wiedzę przyrodniczą i talent do gospodarowania. Założył jabłoniowy sad. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, ale cenne odmiany jabłoni rosły w lesie. Pośród

Tumin — majątek ze starą, zabytkową leśniczówką, w której Józef Ignacy Kraszewski pisał Starą baśń.

prastarego lasu, między sosnami i jałowcami, dziadek zasadził sprowadzone z zagranicy sadzonki szlachetnych odmian jabłoni. Wszyscy się dziwili i nie wierzyli w sukces tego przedsięwzięcia. Ale w niedługim czasie okazało się, że jabłek równych tumińskim nie ma w okolicy, a nawet jeszcze dalej. Przyjeżdżali sadownicy z dalekich stron, aby podpatrzeć i naśladować dziadka, a on puchł z dumy.

Częstym gościem w Tuminie był przyjaciel Piotra, legenda fotografii przyrodniczej, Włodzimierz Puchalski. Pan Włodzimierz był bardzo wysoki i zawsze nabijał sobie guza w niskich drzwiach leśniczówki, ale to nie przeszkadzało mu pokochać Tumin i bogatą w obiekty fotograficzne okolicę. Kiedyś przyjechał specjalnie, by uwiecznić moment opuszczania gniazda przez młode gągoły. Gą-goły to takie niezwykle kaczki, które wybierają na gniazda dziuple, na przykład po dzięciole czarnym. Pisklęta wyskakują z dziupli nawet z dużej wysokości, jeżeli z zewnątrz zawoła je matka. Właśnie na tę chwilę polował z aparatem nasz wielki fotograf przyrody. Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że Włodzimierz Puchalski był absolutnie oddany swojej pracy i hobby w jednym. Potrafił tygodniami żyć jak Robinson Crusoe, aby „złapać” ten jedyny moment z życia przyrody.

W tym przypadku sprawa wydawała się prosta. Znałe było miejsce gniazdowania gągoła, a poczynione przez leśnika obserwacje gwarantowały Suk-
Częstym gościem w Tuminie był przyjaciel Piotra, Włodzimierz Puchalski.

ces. Pan Włodzimierz wyszedł rano, zabierając tylko kilka pomarańczy. Był pewny, że wróci na obiad. Zabronił komukolwiek tropić go po śladach. Bał się spłoszyć ptaki. Przepadł na trzy dni. Najpierw zjadł pomarańcze, potem skórki. Wrócił głodny jak wilk, ale szczęśliwy. Na zdjęciach uwiecznił kaczęta gągoła wypadające z dziupli jak ulęgałki. Były to chyba pierwsze w Europie fotografie podpatrujące wyczyn tych niezwykłych kaczątek i pochodziły właśnie z Tumina.

W Tuminie stawiał pierwsze kroki nie tylko pierworodny syn Ireny i Piotra, mój ojciec, Edward Hubert Stanisław Maria hrabia Sumiński, ale także jego siostra Maria, zwana Mija. W Tuminie stawiał pierwsze kroki Edward Hubert Stanisław Maria hrabia Sumiński (mój ojciec), a także jego siostra Mija, 1936.

Ojciec urodził się w październiku 1933 roku i stał się ukochanym wnukiem Adama i Ewy. Pradziadek Adam był bardzo surowy wobec własnych dzieci, ale kiedy wziął na ręce Edzia, zwariował. Edzio był częstym gościem w Falemiczach. Jego dziadkowie najchętniej porwaliby go na stałe. W Falemiczach panowały surowe zwyczaje i dzieciom nie wolno było na przykład wchodzić do gabinetu Adama, ale wszystko się zmieniło, gdy na świat przyszedł pierworodny wnuk. Adam sadzał Edzia na środku swojego wielkiego biurka i pozwalał mu bawić się wszystkim, co mu wpadło w ręce. Śmiał się, gdy malec zrzucił z hukiem przyciski do papieru, i mawiał: „To wszystko twoje, Edziuniu”. Niestety, ani Falemicze, ani Tumin nie zostały w rękach spadkobierców rodziny Ledóchow-skich i Sumińskich. Siedem lat później wybuchła wojna i poddała tragicznej próbie ludzi i miejsca.

Edzio — mój niezwyhły ojciec

Jedynakiem był tylko przez pierwsze dwa lata życia. Ale mimo to, że na świat przyszła śliczna mała pyza, Mijunia, Edzio pozostał 30 ukochanym wnukiem dziadków. Myślę, że lata spędzone przez ojca w rodzinnym Tuminie należały do najszczęśliwszych. Ponieważ jest niezwykłym człowiekiem, musiał być także niezwykłym dzieckiem. Moja babcia Irena świetnie jeździła konno i nie zrezygnowała z końskiego grzbietu nawet w wysokiej ciąży. Jeździł więc Edzio konno, zanim się urodził. Jako czterolatek dostał od rodziców kucyka, ale kucyk był leniwy i nie słuchał małego jeźdźcy. Chłopiec czekał niecierpliwie na piątą urodziny, bo ojciec obiecał mu prawdziwego konia.

W dzień urodzin, rano, Piotr przyszedł do dziecinnej sypialni i powiedział: „Biegnij, Edziu, do stajni i sam wybierz sobie konia”. Chłopiec i jego jamnik wyskoczyli spod kołdry i popędzili do koni. Stajnie podzielono na te dla wierzchowców, koni cugłowych i roboczych. Prawie wszystkie konie były czystej krwi arabskiej. Mały jeździec nie wybrał konia spośród wierzchowców. Pobiegł do niewielkiej roboczej kobyłki o imieniu Paraska. Dlaczego zdecydował się na roboczą klacz, a nie na reprezentacyjnego rumaka? Myślę, że wiem.

Niejeden raz znajdowałam w oczach zwierzęcia to

Irena Sumińska (moja babcia) i Ewa Halka-Ledóchowska (moja prababcia)
z Edziem i Mija, 1937.

31

coś, co mówiło „ja jestem tobą, a ty mną”. Dzieci mają szczególną umiejętność porozumiewania się ze zwierzętami. Ginie ona z wiekiem w potoku słów, którymi zasypujemy naszą rzeczywistość. Na szczęście ani mój ojciec, ani ja nie daliśmy się zagłuszyć słowom. Paraska, choć też była arabką, nigdy nie chodziła pod siodłem, ale tu siodło nie było potrzebne. Małemu chłopcu wystarczyła derka i od tego dnia stali się z Paraską nierozłączni. Chłopiec i koń, jak zrosnięci, cwałowali przez pola.

Trudno sobie wyobrazić, żeby pięcioletni chłopiec mógł szaleć na koniu, ale mój ojciec już wtedy przejawiał niecodzienne zdolności. Z opowiadań dziadków wiem, że Edzio nie należał

do aniołków i od najwcześniejszych lat był częścią przyrody. Kiedyś zapytałam gojakię miał pierwsze zwierzę. Odpowiedział: „Zieloną gąsienicę”.

Miał wtedy dwa lata. Jego ojciec postanowił wypróbować nowy samochód. Pojechali razem i wylądowali na przydrożnym drzewie. Auto i głowa Edzia rozbite. Przerażony dziadziuś Piotr pyta:

.aЙйPĚPP^ „Syneczku, boli?”, a maluch pokazuje palcem dużą zie-^зЗйБ* 1°n3

gąsienicę siedzącą na źdźble trawy i mówi: „Moja”. Na-
гчPЗpp*~ ~ wet nie zapłakał, zauroczony znaleziskiem. Co tam rozbity sa-/Ī mochód. Zabrali gąsienicę i poszli do domu. Gąsienica zamieszkała w słoju z sałatą i po pewnym czasie zmieniła się w poczwarkę, a potem w motyla. Później były już tylko większe zwierzęta, z Para-ską na czele, a jeszcze później przyszła wojna. To, żeby była straszna, wiedzą wszyscy, ale nie wszyscy stracili wszystko w kilka chwil.

W 1939 roku dziadek Piotr, jak większość mężczyzn, poszedł walczyć w obronie kraju.

Razem z nim ruszył brat babci Ireny, Leon. Niestety nigdy nie wrócił. Zginął w 1939.

Niedługo potem bolszewicy wkroczyli na Wołyń. Nocą ktoś przybiegł do Tumina i uprzedził, że szukają obszarników. Babcia Irena w pośpiechu zabrała dzieci wyrwane ze snu. Pojechali do Falemicz po Adama 32 i Ewę, a potem wozami, aby nie wzbudzać podejrzeń widokiem bryczki lub powozu, uciekali bocznymi drózkami. Dobytku zabrali niewiele, tyle co można było złapać w kilka minut. Kiedy po pewnym czasie dołączyli do grupy innych uciekinierów, zdarzyła się tragedia. Podjechało kilku bolszewików, z których jeden rozpoznał mojego pradziadka Adama. Zabrali go, bijąc na oczach przerażonych dzieci.

Zginął niedługo potem, zakatowany przez „wyzwolicieli”. Mój przyszły ojciec miał wtedy sześć lat, był wystarczająco duży, żeby zdawać sobie sprawę z grozy sytuacji. W tym momencie został jedynym mężczyzną w rodzinie. Wywiązał się z tej roli znakomicie kilka lat później.

Wędrowali do Warszawy, gdzie dziadkowie mieli dom na Saskiej Kępie. Droga do stolicy była bardzo trudna i bardzo kręta, w przenośni i dosłownie. Musieli ukrywać, kim są, pomagali im różni ludzie, a na Saską Kępę dotarli przez Kraków.

Kilka wojennych lat upłynęło mojej rodzinie w biedzie i strachu. Mieszkali w piwnicy własnego domu. Głód i zimno. Usiłowali

coś sadzić w ogródku, ale nie za bardzo było co. Ziemiak przekrojony na tyle kawałków, ile było w nim „oczek”. Tylko lebioda nie zawiodła.

Wybuchło powstanie warszawskie, a zaraz po nim wojska sowieckie zaczęły „wyzwalać” Warszawę. Wszyscy uciekli do Otwocka. Tam też nie brakowało „wyzwolicieli”. Sowietci mieli tu dość dużo koni, które wzbudziły zainteresowanie jedenastoletniego chłopca. Edzio, mój przyszły ojciec, kręcił się przy nich z dużą fachowością, co z kolei wzbudziło podziw żołdatów. Dostał dwa konie i platformę do wożenia rannych. Zaczął pracować jako wozak. Płacono mu tuszonką i chlebem. Gdyby nie to, nie wiadomo, czy rodzina nie zginęłaby z głodu.

Edzio polubił dwa nieduże, ale harde koniki o imionach Grisza i Burlaj, ale nie wiedział jeszcze, co w nich drzemie. Sowieckie konie były nieodrodnymi dziećmi Sojuza. Zabiedzone, ale twarde i okrutne. Pewnego dnia ktoś przyprowadził klaczkę arabską — arystokratkę. Zatlukły ją i wdeptały w ziemię w kilka chwil.

Wojna zabrała ludziom życie i godność. Rodzina Sumińskich straciła wszystko, co posiadała, na szczęście nikt nie stracił życia. Dziadziuś Piotr odnalazł swoich w Warszawie. W 1943 roku rodzina się powiększyła, urodził się Stefan, młodszy brat Edzia i Mii.

Nie wiem, co było straszniejsze dla Sumińskich, wojna czy nowa „wolność”. Do domu na Saskiej Kępie dokwaterowano kilka

Edzio Sumiński (mój ojciec) w wieku dziesięciu lat, 1943.

% p

Poza końmi,
bardziej niż zadaniami
z matematyki,
Edzio interesował się
wszystkim, co żyło
naprawdę,
a nie na papierze.

Edward Sumiński w liceum (w ostatnim rządzie, drugi od lewej), 1952.

rodzin. Nowa władza gnębiła dziadziusia tak jak i wielu innych. W akcie łaski pozwolono mu pracować w browarze na stanowisku sprzątacza. Dziadzius Piotr był wielki i nie skarżył się, a całą swoją wiedzę starał się przekazywać dzieciom. Oczywiście nie tę o sprzątaniu browaru. Edzio poszedł do szkoły, w której zamiast krzyża wisiał na ścianie portret Bieruta.

W 1946 roku rodzina znowu się powiększyła. Przyszła na świat najmłodsza siostra Edzia — Inka.

Życie moich dziadków upływało na wiązaniu końca z końcem, nieraz bardzo od siebie oddalonych. Zazwyczaj nie udawało się ich związać. Do tego dochodziły szaleństwa Edzia. Droga do szkoły była dla niego zbyt męcząca. Często zamiast tam trafiał do rotmistrza Tadeusza Jakobsona, dzięki któremu mógł robić to, co kochał i umiał najlepiej — jeździć konno. Prawdziwy przedwojenny rotmistrz założył pierwszą po wojnie sekcję jeździecką przy klubie „Ogniwo”. Do stajen nie było daleko, bo mieściły się w starej słońiami na terenie ogrodu zoologicznego. Poza końmi, bardziej niż zadaniami z matematyki, Edzio interesował się wszystkim, co żyło naprawdę, a nie na papierze. Dom na Saskiej Kępie zapełniał się zwierzętami. Oprócz psów „ogólnorodzinnych” były tam Edziowe ptaki, myszy, szczury, jeże, a nawet nietoperz. Przyprowadził też osła, hodował traszki i salamandry, ale zainteresowania genetyczne realizował w szczurzym i mysim „materiale”. Kiedyś dziadzius Piotr powiedział: „Edziu, jak taki z ciebie hodowca, to przynieś mi niebieską mysz”. Nie trzeba było długo czekać, myszy rozmnażają się bardzo szybko. Za kilka tygodni po ręce dziadzia Piotra wspinała się maleńka srebrnoniebieska myszka.

Mój ojciec od zawsze i na zawsze związany był ze zwierzętami w sposób niezwykły. Chciał znać odpowiedź na każde trudne pytanie, nie było dla niego zwierząt niebezpiecznych ani niemożliwych ze zwierzętami przyjaźni. Hodował wszystkie gatunki: owady, gady, płazy, ptaki, rozmaite ssaki. Szkoły nie lubił, ale dawał sobie radę — był bardzo zdolny i elokwentny. Nauczyciele za nim nie przepadali, uważali go za mąciela. Na przykład w liceum wpadł z kolegami na pomysł, aby zamurować wejście do szkoły. Zrobili to w noc poprzedzającą jakieś komunistyczne święto. To, co działo się potem, trudno sobie nawet wyobrazić. Przesłuchania i poszukiwanie „wrogiego elementu”. Nikt pary z ust nie puścił, ale podejrzenie i tak padło na Sumińskiego i jego bandę „sabotażystów”. Nie chciano go dopuścić do matury, zdał ją jednak. Potem dostał „wilczy bilet” uniemożliwiający kontynuowanie nauki. Wymarzona weterynaria stanęła pod znakiem zapytania. W końcu przyjęto go warunkowo jako wolnego słuchacza, bez indeksu.

Na szczęście na warszawskim Wydziale Weterynarii SGGW (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego) było jeszcze wielu

Piotr Sumiński z synami — Edwardem i Stefanem, na polowaniu, ok. 1953.

przedwojennych wykładowców, którzy kierowali się nie socjalistycznymi wytycznymi, ale rzetelną oceną wiadomości studenta. W roku 1952 Edward Sumiński został jednak pełnoprawnym studentem Wydziału. Kiedy ja studiowałam w tym samym miejscu, było mi bardzo przyjemnie, bo o moim ojcu krążyły prawdziwe legendy. O tym, jak wyprowadził szczury z Wydziału przy ul. Grochowskiej 272, o tym, jak prezentował woltyżerskie popisy

na klombie przed popiersiem pana profesora Gordziałkowskiego, i o tym, że kochały się w nim wszystkie studentki.

Mój ojciec był wyjątkowo pięknym mężczyzną. Wszystko w nim było doskonałe, -i nos, i nogi, których zazdrościły mu kobiety. Miał sprawność małpy, umiał okiełznać najniebezpieczniejszego zwierza, nie bał się mówić, co myśli, a na dodatek był najlepszym studentem i już na trzecim roku otrzymał asystenturę. Ludzie go kochali, bo w tamtych czasach potrzebowali choć powiewu wolności, a Edek był uosobieniem wolności. Wtedy poznał Zośkę Fersterów-nę — moją mamę.

Zośha — moja mama

I trafiła kosa na kamień. Nie wiem, czy ona była kamieniem, a on kosą, czy odwrotnie, dziś to już nie jest ważne. Moja mama, Zofia 38 Sumińska z domu Ferster, zmarła ponad rok temu. Miała 71 lat. Zabił ją rak trzustki. Umierała w męczarniach, długo, zbyt długo. Umierała cichutko i choć rak zjadał ją całą, pozostała piękna, a jej zielone, wielkie oczy patrzyły na mnie z miłością, wieczną i ostateczną. Myślę, że nikt nie kochał mnie tak jak ona. Byłyśmy zupełnie inne i daleko nam było do ideału matki i córki. Miałyśmy różne zapatrywania na dziewięćdziesiąt dziewięć procent życiowych spraw, ale jedno między nami było godne naśladowania. Zawsze mogłyśmy na siebie liczyć.

Jak bardzo kochałam mamę, zdałam sobie sprawę dopiero, kiedy zachorowała. Leżała na oddziale paliatywnym szpitala w Nowym Dworze Mazowieckim. To dziwne, ale tak smutne miejsce dzięki pielęgniarcom i salowym było chyba najsympatyczniejsze w całym szpitalu. Te anonimowe bohaterki walczyły o każdą chwilę umierających pacjentów z uśmiechem i czułością. Tam zobaczyłam, jak wygląda praca prawdziwej pielęgniarki. Chwała wam, siostry w cierpieniu.

Jeździłam do mamy trzy razy dziennie. Kiedy miała lepszy dzień, wybierałyśmy się na mentalne wycieczki do lasu, do znajomych, albo po prostu fruwałyśmy sobie po okolicy. Nie mogła jeść ani pić, ale czasem miała ochotę czegoś posmakować. Zapytałam: „Mamo, a na miałabyś ochotę dzisiaj?”. Odpowiedziała: „Psa, przytulić psa”. „Jak ja ci przemycę psa do szpitala? Nie ma mowy, wyrzucą mnie w krótkich abcugach”. Wpadłam na szatański pomysł: „Przywiozę ci Bronka”.

Bronek był węzem zbożowym. Mieliśmy wtedy dwa węże, oprócz Bronia jeszcze znacznie bardziej płochliwego Wacka-lan-cetogłowa. Oczy mamy rozpromieniły się. „Może być wężuś”, powiedziała. Wsadziłam Bronka za koszulę i pojechałam do szpitala. Wpuściłam go mamie pod kołdrę, żeby nikt nie zobaczył niezwykłych odwiedzin. Wąż wlaź na maminą szyję i tak pozostał. Mama przemawiała do niego czule, a potem popatrzyła na mnie i powiedziała: „Dziękuję”.

Moja mama miała ciężkie życie, w którym na pewno brakowało miłości. Bardzo chciała kochać nie tylko mnie, ale myślę, że się bała. Była najbardziej odpowiedzialną osobą, jakie dane mi było kiedykolwiek poznać. Często narzekała na moje skłonności do przygarniania wszelkich zwierząt w potrzebie, ale nigdy nie odmówiła mi pomocy. Z czasem każde z nich znajdowało trwałe miejsce w jej sercu. Była jedyną osobą, do której miałam bezgraniczne zaufanie, jeśli chodzi o opiekę nad moją córką i moimi zwierzętami.

Aby opowiedzieć więcej o Zośce, trzeba się cofnąć do lat, kiedy nie było jej jeszcze w żadnych planach.

\
i

I Pradziadek Józef — dusza towarzystwa

■ ■

Grodna, rok 1907. Luty, choć zimny, daje nadzieję na nadejście wiosny, bo słońce zaczyna już mocniej grzać. Właśnie takiego 42 dnia przyszła na świat Janina Sawicka, moja babcia,

mama mojej mamy. Janka była drugim dzieckiem Józefa i Heleny Sawickich. Mieszkali w Grodnie przy ulicy Orzeszkowej. Pradziadek Józef był inżynierem, budowniczym mostów. Rodzina Sawickich należała do grodzieńskiej elity. Brat Józefa, Roman, był wiceburmistrzem Grodna, a Józef jedną z barwniejszych postaci w mieście.

Pradziadek był człowiekiem ogromnie towarzyskim. Świetnie tańczył, humor zawsze mu dopisywał, miał szeroki gest — prawdziwa dusza towarzystwa. Poza tym miał Józef tak zwane złote serce, nikomu nie umiał odmówić pomocy, i nie miało znaczenia, czy to człowiek, czy zwierzę. Trudno się dziwić, że był bardzo lubiany i żadna uroczystość w mieście nie mogła się bez niego obyć.

O wyczynach pradziadka nasłuchiwałam się mnóstwo opowieści, ale trzy z nich lubiłam najbardziej.

Józef darzył sympatią zarówno grodzieńskiego proboszcza, jak i popa. Często spotykali się we trójkę, aby opróżnić karafkę naleweczki. Kiedyś karafka była całkiem spora i panowie, rozochoceni jej diabelską mocą, nie mieli ochoty na rozejście się do domów.

43

IS^V

JFa

κ

Zima była siarczystą, śnieg skrzył, wieczór piękny, zachciało im się sanny. Na jakimś Wk III podwórzu stały lekkie

III *^^ sanki z dyszlem, takie

dla jednego konia. Ale konia w obejściu nie było. Józef z proboszczem zaprzęgli popa, sami wgra-molili się do sań i wywijając ochoczo batem, pokrzykując „ho, ho!”, ruszyli przez Grodno prosto do cerkwi. Pop był słusznej postury, więc jakoś dawał sobie radę jako koń zaprzęgowy i aby było weselej, rżał jak najprawdziwsza szkapa. Józef, dżentelmen, pomagał czasem popowi, powoził proboszcz. Ekumeniczne towarzystwo podjechało pod cerkiew z fasonem, jednak parafianie cerkwi i kościoła nie podzielili animuszu swoich przewodników duchowych, a tym bardziej nie docenili ich wysiłku.

Następnego dnia w Grodnie wrzało od plotek. Najwyższą cenę zapłacił za ową sannę pop. Na wniosek wiernych przeniesiono go do innej parafii, a poza tym popadia (żona) nie umiała mu tego wybaczyć i od tej pory nie miał w domu nic do gadania. Proboszczowi biskup udzielił nagany, ale proboszcz był w lepszej sytuacji, bo nie miał żony. Na jakiś czas panowie zaprzysięgli wstrzemięźli-

O wyczynach pradziadka (w środku) nasłuchiwałam się mnóstwo opowieści.

Ukochany pies pradziadka Wamp

— razem spali, razem jedli,

można rzec, byli nierozłączni.

wość alkoholową, ale do końca karnawału nie dotrwali. Nie dało się.

W domu Sawickich zawsze było tłumnie i wesoło. Podobno nie było dnia, aby ktoś z przyjaciół nie zjawił się na obiedzie, który przeciągał się nieraz do kolacji. Poza ludźmi nie brakowało też zwierząt. Ukochanym psem pradziadka był bokser o imieniu Wamp. Wamp, Wampik, Wampiczek (Łampiczek — tak to wymawiano) był wpatrzony w swojego pana jak w obraz. Razem spali, razem jedli, można rzec, byli nierozłączni, ale na niektóre spotkania Józef nie mógł zabrać Wampa. Żegnali się czule, a pradziadek mówił do psa: „Łampicz-ku, o którejkolwiek wrócę, pójdziemy na długi spacer”. Zawsze dotrzymywał słowa. Nawet wtedy, gdy kolacja była mocniej zakrapiana, Józef i Wamp ruszali na nocny obchód Grodna.

Kiedyś ktoś przyszedł do Józefa z wiadomością, że po ulicach Grodna kręci się jakiś obcy pies. Może wściekły? Lepiej nie chodzić z Wampem na spacer. Pradziadek kochał psy.

Wziął kawał kiełbasy i poszedł na poszukiwanie. Znalazł dużego, czarnego, bardzo nieufnego psa. Wabił go kiełbasą każdego wieczoru i w końcu udało mu się sprowadzić psisko na podwórko. Pomimo iż Wamp serdecznie przyjął nowego kolegę, pies był tak nieufny, że odmówił wejścia do domu. Trzeba było zrobić solidną budę. Nero, bo tak ohrzczono przybysza, budę zaakceptował i stał się panem podwórka.

Prababcia Helena, żona Józefa, z upodobaniem hodowała drób. Bardzo kochała swoje kurki i kaczki. Żadna z nich nie skończyła

45

46

Helena Sawicka, z domu Fordon, moja prababcia, ok. 1910.

Oficerowie Sztabu Twierdzy maj, zaszczyt

prosić X W- P „B^*^*^^~ -

r taneczny, który odbędzie Sie w salach

Sroate' dnia 15 Listopada 1919 r.

Cx,sty dochód na oep« bieliznę сл IOIA3».

РосгдіеН о godz. 9 w.

Pradziadkowie Józef i Helena Sawiccy, ok. 1913.

Wsfep W asatek

w rosole. Miały dożywocie. W czasie zimy nie pozwalała im nocować w kurniku. Zabierała je w dużym koszu do kuchni, gdzie spędzały zimowe noce. Na szczęście Nero nie miał nic przeciw drobiowym upodobaniom swojej pani. Serce Heleny zdobył tym, że pozwolił jednej z kaczek zamieszkać w swojej budzie. Sam oczywiście też w niej sypiał, dzieląc z kaczką psią rezydencję. Po pewnym czasie wszyscy przyzwyczaili się do tego, że rano z budy wychodzili pies i kaczka. Nikt jednak nie spodziewał się tego, co nastąpiło jakiś czas później. Z psiej budy wymaszerowały gęsiego cztery śliczne żółciutkie kaczątko. Jak udało się tej niezwyklej parze nie uszkodzić delikatnych jaj w dość ciasnym pomieszczeniu, trudno powiedzieć. Chodziły nawet słuchy, że to Nero wysiadywał jajka. Józef był dumny z czarnego psiska, które nie tylko lubiło obce towarzystwo, ale okazało się znakomitym inkubatorem.

W suterenie domu Sawickich mieszkała kulawa Nastka. Pochodziła z okolicznej wioski.

Kiedy była młoda, jej kuzyn wyrzucił ją z domu, aby pozbyć się dodatkowej gęby do karmienia. Nastka miała garb, więc nadzieje na wydanie jej za męża były nikłe. Okrutnik nie tylko pozbył się dziewczyny, ale pobił ją tak, że miała złamaną nogę. Józef przygarnął biedaczkę — od tej pory została stałą rezydentką domu przy ulicy Orzeszkowej.

Nastka miała jedną słabość — koty. Mówiła o nich „kociki, bra-ciki” i tak jak pradziadek ją, tak ona przygarniała bezdomne koty. Lata płynęły, a kotów przybywało. Kiedy było ich już ze dwadzieścia, kolega pradziadka powiedział: „Ziutek, toż te koty was zjedzą z kretesem”, a kotyjadały całkiem nieźle. Józef odpowiedział: „Cóż zrobić, to rodzina Nastki”.

Bardzo żałuję, że nie znałam pradziadka Józefa. Mama mówiła, że znaleźlibyśmy nie tylko nic, ale linię porozumienia. Mogłabym napisać o nim osobną książkę. O tym, że był najlepszym tancerzem w Grodnie. Obtańcowywał wszystkie panny na każdym balu, a najlepiej wychodził mu mazur. Kiedy moja babcia Janina (Beba) podrosła, karnawałowe bale rozpoczynał mazurem Józef Sawicki z córką. O tym, że gdy podczas bombardowania wszyscy uciekali do schronu — piwnicy, pradziadek brał książkę i siedł do ogrodowej altanki. Altanka trzęsła się przy każdym wybuchu, a Józef czytał. Zmarł nagle podczas rozgrywki brydżowej przy karafce naleweczki. Jego partnerem był nie kto inny, tylko proboszcz.

Babcia — Janha Sawicha

48

Najpiękniejsze nogi na kresach. Nawet kiedy była już w starszym wieku, nóg mogła pozazdrościć jej dwudziestolatka. Moja babcia, ochrzczona przeze mnie Bebą, Bebunią, a gdy byłyśmy w „stanie wojny” — Bebrą, zmarła w 1993 roku. Miała 86 lat, z których 54 były ciągłą walką. Najpierw walką o byt, a potem walką z chorobami i „demonami” przeszłości. Do wybuchu wojny wiodło się Sawickim całkiem niezłe. Życie upływało im w dość wesołej (dzięki Józefowi) atmosferze. Janka miała dwoje rodzeństwa. Starszego brata Ziutka i młodszą siostrę Marysię. Marysia zmarła na szkarlatynę w wieku czterech lat. Ziutek był oczkiem w głowie mamy — Heleny, a Janka pupilką taty — Józefa. Kiedy miała 16 lat, ojciec zabrał ją na pierwszy bal i od tamtej chwili każdy karnawał należał do nich. Miał Helena Sawicka (po prawej) się czym Józef chwalić, bo jego córka była nie Z córką Joakn7^° lewej)' tylko zgrabna, ale i bardzo ładna. Świetnie — Janka była pupilką taty. tańczyła. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Rodzeństwo mojej babci Janiny Sawickiej:

od prawej Ziutek i Marysia, zmarła na szkarlatynę

W wieku czterech lat, ok. 1910/1911.

to Babcia — Janka Sawicka

50

Karolek,

adorator

babci Janiny

— nazywałam go "dziadkiem

Janina Sawicka,

lata trzydzieste

— piękne nogi, bardzo szczupła i

o orientalnej urodzie, wzbudzała

zainteresowanie nie tylko kawalerów.

wysoka,

Piękne nogi, bardzo szczupła i wysoka, o orientalnej urodzie, wzbudzała panna Janka

zainteresowanie nie tylko kawalerów. Miała ogromne powodzenie, ale czekała na wielką miłość. Kochali się w niej i młodzi, i starzy, lecz najwierniejszy okazał się Karolek.

To straszne, ale nie pamiętam jego nazwiska, choć był moim przyszywanym dziadkiem i mówiłam do niego „dziadku Karolu”. Był stałym bywalcem w naszym warszawskim mieszkanku aż do swej nagłej, przedwczesnej śmierci. Do końca życia kochał moją babcię, pomimo że jego uczucie nigdy nie zostało odwzajemnione. Zwracali się do siebie „pani Janko, panie Karolku”, choć z moją mamą, Zofią, był po imieniu, a ja nazywałam go „dziadkiem”.

Karolek to postać godna pamięci. Był bardzo zamożnym kawalerem i sponsorem wielu grodzieńskich artystów. Lubił się bawić i dawać zabawę innym. Kupił pierwszy w Grodnie samochód. Automobil Karolka był dostępny dla wszystkich. W lecie ciągle ktoś pożyczał auto, aby wybrać się na „majówkę”. Potem Karolek biegał po mieście i pytał, czy może ktoś widział jego samochód. Nie przestał kochać, gdy Janka wychodziła za męża, nie przestał też, gdy

Latem w Grodnie — z tyłu,

od prawej: Helena i Józef Sawiccy

z młodzieżą, m.in. Janka (z prawej),

Karolek (siedzi), z lewej ciocia

Kumcia — jako dziewczynki razem

z Janką chrzcili wszystkie kpty.

po wojnie, już w Warszawie, związała się z innym mężczyzną. To on w 1945 roku dniami i nocami czekał na warszawskim dworcu, wiedząc, że którymś z pociągów ze Wschodu przyjedzie Janka. Uciekł z Grodna kilka tygodni wcześniej. Chciał przygotować grunt. Mieli spotkać się na wybrzeżu, ale w Warszawie znalazł lokum i pracę. Stał więc na dworcu i krzyczał: „Janina Ferster”. Wtedy Janka nosiła już inne nazwisko, po mężu.

\щм^-

İ

Jafi

k*4

III"

■i.

^UtŚlui

ь „A1, ii* j ,3. 1f rumu* 1—■

List Karolka

'■ 'K . vi- MI tbd

■«""^ i Mydłu,.

' /HЩ \i/щщIII- <\$чIII *w£, tf***- -(uiót киї tJaiAiu ;'^щщ III^ffj

Władysław Ferster, mój dziadek,

Kalisz 1921. — Władysław nie był

stworzony na męża i ojca.

Mimo starań wielu kawalerów panna Janka pozostała panną aż do 1934 roku, kiedy to w wieku 27 lat wyszła za mąż za wdowca. Zakochała się w karnawale. Podczas balu poznała niezmiernie przystojnego oficera, Władysława Ferstera. Jego żona Zuzanna zmarła kilka lat wcześniej na szkarlatynę, którą zaraziła się od swojego rocznego synka Stasia. Uwaga Władka skupiła się na ślicznej Jance. Wzięli ślub. Szczęście nie trwało jednak długo.

Władysław nie był stworzony na męża i ojca. Polowania i inne wypadki z kolegami okazały się dużo ważniejsze niż dom. Kiedy Janka rodziła mu córeczkę, moją przyszłą mamę Zofię, był na polowaniu. Do kliniki po żonę i córkę nie miał czasu przyjechać, więc przysłał ordynansa. Na dodatek był piekielnie zazdrosny. Zatruił Jance życie podejrzeniami o rzekome zdrady, których sam z pewnością się dopuszczał.

гешарааа ważność mnisze? ;itymacji do dnia 31 grudnia

Podpis KomeadanSa P. ft. O,

i ważność mniejsze!, do dnia 31 grudnia

i Komeadacta P, K. V.

/"•ДЦЦII

ТЯТМГ

mm

TS CS,}

■*-7?r/f/&f?r

ж

#

Książeczka wojskowa

Władysława Ferstera,

sierpień 1939.

V ищ*'ы

Cs

/Trette;

'W-,

T_B/f/T Y&

ć*&f*"

List Józefa Sawickiego do wnuczki Zosi mojej mamy, 1941.

Kiedy Zosia miała trzy latka, Janka postanowiła wrócić do rodziców. Małżonkowie zamieszkali oddzielnie. W najgorszej sytuacji znalazł się Staś, pasierb babci. Pokochał nową mamę, z wzajemnością, a ojciec nie pozwolił mu wyprowadzić się razem z nią. Na szczęście mieszkali niedaleko i Staś tylko sypiał w domu ojca, a i to nie zawsze.

Wybuchła wojna. Wszyscy mężczyźni poszli walczyć. Jak wiadomo, regularne Wojsko Polskie szybko musiało zejść do podziemia. Grodno, z racji swojego położenia, stało się na linii frontu. Raz zajmowali je Niemcy, a raz Sowieci. Nie wiadomo, co było gorsze. Jeszcze w 1939 roku, po załamaniu się frontu wschodniego, Władysław wrócił do Grodna, gdzie założył konspiracyjny oddział walki podziemnej. Kiedy Niemcy wkroczyli do Grodna po raz drugi, doszło do akcji, podczas której zginął niemiecki żandarm. Niemcy swoim zwyczajem postanowili w ramach odwetu rozstrzelać dziesięciu Polaków.

Władysław Ferster z córką Zosią — kiedy Zosia miała trzy lata, małżonkowie zamieszkali oddzielnie, 1938.

54 To był zupełny przypadek. Władysław ukrywał się i pomieszkiwał u różnych kolegów. Tego dnia był u Karolka. Wydawało się, że lokum jest bezpieczne. Karolek wyskoczył po coś „na miasto” i zaraz potem do mieszkania wpadła żandarmeria. Zabrali Władysława, nie sprawdzając, kim jest zakładnik skazany na rozstrzelanie za zabitego żandarma. Kiedy prowadzili skazańców na śmierć, jeden ze strażników pozwolił Władysławowi podejść pod bramę domu Sawickich. Władysław chciał się pożegnać z żoną i z córką. Moja mama miała wtedy sześć lat i doskonale zapamiętała ostatni uścisk ojca. Mówiła mi, że nigdy potem nie widziała tak smutnych oczu. Razem z dziadkiem zginął wtedy ówczesny wiceprezydent miasta, Roman Sawicki, brat pradziadka Józefa. Kiedy Grodno znalazło się pod okupacją sowiecką, zagrożeni wywózką w głąb ZSRR byli w pierwszym rzędzie młodzi chłopcy. Staś chodził do konspiracyjnego gimnazjum, w którym planowano grupową ucieczkę przez zieloną granicę na Węgry. Janka bardzo kochała przybranego syna i z lękiem myślała o tych planach, ale nie było innego wyjścia. Ruszyli wieczorem. Grupie przewodził ksiądz katecheta. Nie zaszli daleko. Złapani przez sowieckich strażników, zostali wywiezieni na Syberię. Z kilkunastoosobowej grupy nastolatków przeżyło dwóch: Staś Ferster i jego przyjaciel, którego nazwiska nie pamiętam.

Staś okazał się później moim największym przyjacielem i kimś w rodzaju drugiego ojca. Opowiadał mi, że od śmierci uratował ich kozuch ojca i worek cebuli, w którą zaopatrzyła go mama Janka. Chłopców rozdzielono do różnych transportów. Oni dwaj trafili do grupy tak zwanych małoletnich przestępców, ale małoletni byli tylko Staś i jego kolega. Przeszli przez najgorsze sowieckie tury, potem wyszli ze Związku Sowieckiego z Armią Andersa. Staś był najmłodszym sanitariuszem pod Monte Cassino. Zmarł w Londynie w 1993 roku, dwa miesiące po tym, jak odeszła z tego świata jego przybrana mama Janka (moja babcia). Leży na Powązkach razem z nią, siostrą Zośką (moją mamą) i babcią Heleną (moją prababcią). Po tych tragicznych wydarzeniach w domu przy ul. Orzeszkowej zapanowała żałoba, ale trzeba było żyć dalej. Troska o rodzinę spoczęła na barkach Janki. Panował wszechobecny głód. Zdobywanie czegokolwiek do jedzenia stało się zadaniem nadrzędnym i najtrudniejszym. Janka wynajmowała się do pracy u okolicznych rolników. Dostawała za to kubek mleka i woreczek kaszy. Mleko wlewała do termofora i chowała pod koszulą, a

woreczek z kaszą wieszala przy pasku pod spódnicą. W ten sposób przemycala jedzenie, bo żywności nie wolno było wnosić do miasta.

Moja babcia miała malusieńkie, delikatne dłonie. Nie wiem, jak dawała sobie radę, wykonując ciężkie prace polowe. Mimo delikatnego wyglądu była to niezwykle dzielna i prawa kobieta. Miała wielu przyjaciół, a pośród nich koleżankę Żydówkę. Kiedy Żydzi, uciekając przed Niemcami, w popłochu opuszczali Grodno, rodzina owej koleżanki powierzyła Jance wszystkie swoje kosztowności. Ukryto je w skrytce na strychu. Podczas jednej rewizji

Niemcy odkryli skrytkę i wszystko zabrali. Janka nie mogła spać. Myślała, co powie koleżance i jej rodzinie, kiedy wrócą, czy jej uwierzą, że to nie ona sprzeniewierzyła dorobek ich życia. Pewnie nie do końca zdawała sobie sprawę, jak bardzo ryzykuje, ale poszła do biura gestapo, aby prosić o kwit potwierdzający, że Niemcy zabrali kosztowności. Kiedy młody gestapowiec usłyszał, o co prosi cieniutka jak trzcinka Polka, zaśmiał się i powiedział: „Niech pani szybko stąd wyjdzie, bo za chwilę nie wyjdzie pani nigdy”. Chyba dopiero wtedy moja babcia zrozumiała, w jak groźnej znalazła się sytuacji, i bardzo szybko opuściła diabelskie miejsce.

Kiedy zmarł ojciec Janki, Józef, w domu zostały same kobiety: Helena, Janka z córeczką Zosią, stara niania zwana Ciapką i Nastka.

Józef (mój pradziadek) zmarł, jak wspomniałam, grając w brydża, ale już przedtem od pewnego czasu czuł się bardzo źle. Zachorował po tym, jak bolszewicy na jego oczach zabili Wampa. Przejechali go samochodem, kiedy szedł spokojnie chodnikiem. Na szczęście zginął na miejscu, nie cierpiał. Pradziadek porwał zwłoki swojego przyjaciela na ręce i pobiegł do domu. Liczył, że może da się jeszcze uratować „Łampiczka”. Kiedy dobiegł na miejsce, zasłabł. Potem już niechętnie wychodził z domu, zazwyczaj tylko na podwórko, aby poklepać starego Nera, ale kiedy pijany bolszewik wszedł przez bramę i zastrzelił czarnego wielbiciela kaczek, Józef też postanowił odejść. Po prostu zgasł.

Przyszedł rok 1945. Koniec wojny i początek tułaczki. Polacy mieszkający w Grodnie dostali do podpisania dokument, w którym mieli się zadeklarować jako obywatele Związku Radzieckiego. Moja dzielna Beba odmówiła. Było to równoznaczne ze zsyłką na Sybir. Jeszcze tej samej nocy trzeba było uciekać. Przyjaciele pomogli, wyposażyli, w co się dało. Jedni dali pieniądze, inni biżuterię. Janka spakowała trochę rzeczy i razem z mamą, córką, starą nianią i kotem Mońkiem opuścili rodzinne Grodno na zawsze. W domu została tylko Nastka i jej koty.

Jechały pociągiem towarowym na zachód. Celem był Gdańsk, tam miał czekać Karolek. Kiedy pociąg zatrzymał się w Warszawie, Janka usłyszała swoje imię i nazwisko wykrzykiwane znajomym głosem. Wsiadły w pośpiechu. Stolica przywitała je radosnym śmiechem Karolka.

Zaczął się nowy, trudny etap w ich życiu. Obce miasto i ukrywanie swojej przynależności klasowej. Na szczęście do Warszawy zaczęli jeden po drugim zjeżdżać przyjaciele z Grodna. W sercu Janki zapalił się malutki promyczek. Zakochała się. Edward był przedwojennym bankowcem. Zakładał w Warszawie pierwszy bank. Dzięki niemu Janka dostała pracę. Zamieszkali razem. Edward był chory na niewydolność nerek (mocznicę). W tamtym czasie nie było co marzyć o dializach, a tym bardziej o przeszczepie. Zaczął bardzo cierpieć. Wyjechał do Łodzi niby w interesach, ale chciał tam zakończyć swoje cierpienia, nie robiąc Jance kłopotu. Wskoczył z okna wysokiego budynku. Zginął na miejscu. Jest pochowany razem z Janką na Powązkach.

Moja babcia znowu została sama, ale nie do końca. Byli przy niej starzy przyjaciele — Karolek, państwo Popławscy, pani Irma, zwana przez Karolka „damą Kameliową”, ukochana szwagierka ciocia Zosia z córkami, ciocia Kumcia (nie pamiętam jej imienia, ale jako dziewczynki razem z Janką chrzcili wszystkie koty), ukochana przyjaciółka rodziny pani Ala

— Eulalia Weldon z rodzicami (jej mąż zginął w Katyniu), pan Autuchiewicz i wielu innych, których nie pamiętam. W Warszawie powstało malutkie Grodno. Wszystkie święta i uroczystości rodzinne obchodzili wspólnie. Pamiętam wielu z nich i nie spotkałam już nigdy ludzi, którzy tak jak oni potrafili się bawić.

Warszawskie życie Zośki

Rok 1945. Pociąg stukał monotennie, w wagonie panował tłok i smród. Dziesięcioletnia dziewczynka wtulona w babcie i kota 58 spała niespokojnie. Zosia też zostawiła swój świat. Na szczęście obok była ukochana babcia Helena i kot.

Warszawa wydawała się obca i na dodatek ktoś ukradł Mońka. Koty były wtedy na wagę złota ze względu na plagę myszy. W dodatku Moniek wzbudzał ogólne zainteresowanie swoją urodą. Wyglądał jak dzisiejsze koty syberyjskie, a może był jeszcze ładniejszy.

Zbliżały się Święta Wielkanocne. Babcia Helena została wydelegowana na targ, aby za ciężko uciulane grosze kupić gęś. Jak święta to święta. Zosia po stracie kota przycichła. Smutny jest dom bez brata młodszego.

Co przyniosła Helena z targu? Oczywiście psa! Zamiast gęsi na świątecznym stole, zjawił się rozkoszny szczeniak pod stołem. Janka była trochę zła na swoją mamę, ale wesoły piesek nie pozwolił na długie dąsy. Nie wiem, jak piesek miał na imię. Moja mama często wspominała tę Wielkanoc bez pełnego brzucha, ale z sercem pełnym miłości do pieska. Poszły z babcią Heleną i pieskiem na spacer. Przejeżdżał rosyjski „gruzawik” i jak wtedy w Grodnie Wampa, tak teraz w Warszawie zabił szczeniaka Zośki.

ШШШШШШШШда Ш " :■ ■

ш к Ж

Л

[59

Zosia Ferster, lata powojenne.

Zosia chodziła w Grodnie na tajne komplety. W 1945 miała 10 lat. Poszła do szkoły. W jej klasie znalazła się zbieranina dzieci w różnym wieku. W czasie wojny nie wszyscy uczęszczali na tajne komplety i teraz, choć wyrosnięci, musieli nadrobić braki w edukacji. Jak we wszystkich ówczesnych szkołach, tak i tu wisiał portret Bieruta. Jeden ze starszych chłopców przyniósł z domu krzyż. Zdjął wizerunek „wodza” i powiesił w to miejsce drewniany krzyżyk. Portret wrzucił do kąta za piec. Dzieciarnia była bardzo podniecona, niektórzy zaczęli odmawiać pacierz. Wszedł nauczyciel. Zaczęła się lekcja, a wtedy od rozpalonego pieca zajął się znienawidzony obrazek. „Co tak śmierdzi?” — zapytał nauczyciel. „Bierut się skopcił” — odpowiedział jeden z uczniów.

Lata upływały w niedostatku. W roku 1948 zmarła ukochana babcia mojej mamy, Helena.

І ль

60

Zofia Ferster

przed maturą,

1954.

.....■.....

Zofia Ferster, lata pięćdziesiąte

— grała w siatkówkę, uprawiała lekkoatletykę, jeździła na łyżwach, a nawet na motorach.

Ósmego lutego wypadały urodziny Janki. W domu byli goście. Helena leżała w szpitalu. Jej biedne serce odmawiało posłuszeństwa. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Janka nie spodziewała się już nikogo. Poszła otworzyć, ale za drzwiami było pusto. Weszła do pokoju i powiedziała „mama umarła”, i tak było rzeczywiście.

Na pogrzebie Zosia nie mogła uronić ani jednej łzy. Serce rozdzierał jej nieopisany ból. Po latach mama opowiadała mi, że wtedy cały świat jej się zawalił. Ze swoją mamą Janką nie bardzo umiała się dogadać, a babcia była jedyną naprawdę bliską jej osobą. Razem z babcią Heleną, zwaną przez Zosię „Miką”, umarło jej dziecinne Grodno.

Zośka nie lubiła swojego pustego domu, bez babci. Uciekała w liczne towarzystwo. Grała w siatkówkę, uprawiała lekkoatletykę, jeździła na łyżwach i nartach, a nawet na motorach. Świetnie pływała, na wyścigi z kolegami przepływali Wisłę. Szkoły nie lubiła, toteż nie była prymuską.

Był rok 1954, zbliżała się matura. Dla Zosi zbliżała się aż trzy razy. Oblała ją dwukrotnie, ale nie z powodu słabych wyników, tylko ze względu na pochodzenie.

■*

Na wycieczce — Zofia Ferster (druga od prawej) z Agnieszką Osiecką i kolegami, lata studenckie.

Marzeniem Zośki była medycyna. Pomiedzy kolejnymi maturami spotkała Edka Sumińskiego. On miał w sobie wszystko to, za czym tęskniła młoda dziewczyna, i prawie skończoną medycynę. Cóż z tego, że weterynaryjną.

Moi rodzice

!955- Ona miała dwadzieścia lat, a on dwadzieścia trzy. On był studentem weterynarii, miał tytuł hrabiowski, wspaniale jeździł konno, równie dobrze strzelał i w końcu przebił strzałą Amora Zośczyne serce. To, że Amorowi skradł strzałę, nie było niczym dziwnym. Edek samemu diabłu zabrałby widły, gdyby mu były potrzebne. Co tam widły, wyrwałby mu ogon, aby się od much oganiać. Taki był mój ojciec. Nawet dziś, choć ciężko chory, ma w sobie tyle „dynamitu”, że czasem się boję, że wybuchnie.

Zosia, niby skromna panna, też była niezłym ziółkiem. Oboje uparci jak przysłowiowe osły, ale każde w inny sposób. On chole-ryk, ona cicha woda. Na początku było tak ciekawie, że charakterki skrzętnie ukryli pod rodzącym się uczuciem.

Jestem pewna, że ojciec wszystkim, co robił, niesłuchanie imponował mojej mamie. W jego rodzinnym domu na Saskiej Kępie mieszkał najprawdziwszy wilk. Wilczyca o imieniu Torą była wychowanką Edka i jego psa, pointera Gryfa.

Dziadziuś Piotr, ojciec Edka, był człowiekiem lasu i zapalonym myśliwym. Wojna i komunizm odebrały mu wszelkie dobra, ale w lesie, podczas polowania, wracały wspomnienia o wołyńskich czasach. Choć na chwilę mógł zapomnieć o smutnej rzeczywistości.

Edek Sumiński z wilczycą Torą i pointerem Gryfem — zajął się wychowaniem wilczątka, ok. 1955.

Kiedy tylko mógł, wyjeżdżał do lasu i starał się zarazić łowiecką żyłką swoich synów. Edek był pierworodnym i nieodrodnym synem swojego ojca, natomiast młodszy brat Edka, Stefan, nie był amatorem broni palnej.

Z jednej z leśnych eskapad dziadek powrócił z niezwykłą zdobyczą. W jego myśliwskiej torbie siedziało przerażone wilcze szczenię. Nie wiadomo, jak zginęła matka malutkiej wadery, ale bez pomocy człowieka suczka skazana była na śmierć. W domu były już dwa jamniki i pointer Gryfcio. Psy nie lubią zapachu wilka i gdy poczuły, kim jest przybysz, zaczęły okazywać zaniepokojenie. Zjeżone jamniki uciekły pod fotel i dały do zrozumienia, że nie mają zamiaru zawierać znajomości z dzikusiem. Gryf też miał ochotę wziąć nogi za pas, ale jego pan kazał mu zostać.

Edek zajął się wychowaniem wilczątka i szybko przekonał „... , „... „ „ „
W domu były już dwa jamniki i bryjcio Gryfia, że „wilk III taki Straszny”. — w ogrodzie na Saskiej Kępie.

\jVyj odkrył u) sobie pokłady ojcowskich uczuć i zaczął matkować, a raczej oicować Torze.

/

Gryf odkrył w sobie pokłady ojcowskich uczuć i zaczął matkować, a raczej ojcować Torze. Był znakomitym pośrednikiem w kontaktach człowieka z wilkiem. Dzięki niemu Tora nauczyła się chodzić na smyczy i reagować na podstawowe komendy. Trudno się dziwić, że chłopak z wilkiem przy nodze wzbudził gorące uczucia Zośki.

Tora była znakomicie zsojalizowana z otoczeniem. Siadywała na kanapie.

Podporządkowywała się jamnikom i Gryfowi nawet wtedy, gdy była już dorosła i kilkakrotnie od nich większa, ale nie przepadała za obcymi ludźmi, a obce psy zabijała przy pierwszej okazji. Nigdy nie skrzywdziła żadnego człowieka, ale moja mama obawiała się trochę ogromnej wadery i na przytulania nigdy sobie nie pozwoliła.

Miała Tora na swoim koncie różne wyczyny, ale okupacja Ambasady Francuskiej, to jak na wilka, nawet w komunistycznych czasach (był rok 1955), wyczyn zupełnie niezwykły.

Pewnego dnia wilczyca wymknęła się z ogrodu. Może ktoś ją wypuścił? Nie wiadomo. Ojca akurat nie było, reszta domowników wpadła w popłoch. Spacer wilka ulicami Saskiej Kępy to nie najlepszy pomysł. Szybko zawiadomiono Edzia, który natychmiast rozpoczął poszukiwania. Oczywiście towarzyszył mu Gryfcio — bez niego nie udałoby się tak szybko zlokalizować uciekiniarki. Trudno powiedzieć, czy Tora chciała prosić o azyl, skoro ułożyła się przed wejściem do ambasady.

Mieszkańcy Saskiej Kępy wiedzieli już, jak wygląda wilk. Ludzie lubią sensacje. „Wilk przed ambasadą” — pokrzykiwano wkoło. Zebrało się mnóstwo gapiów. Pracownicy ambasady tłoczyli się w oknach. Nikt nie miał odwagi przekroczyć drzwi, a nawet zbliżyć się do nich. Ojciec i jego pointer przepychali się przez tłum. Nie chcieli robić widowiska ani przestraszyć Tory. Była już wystarczająco zdenerwowana gromadą gapiów. Stanęli z boku i ojciec szepnął do psa: „Gryfciu, Tora!”. Gryf w jednej chwili znalazł się obok swojej wychowanki. Pewnie powiedział jej „nie wygłupiaj się, bo zaraz posadzą cię o szpiegostwo”. Wilk podniósł się i posłusznie

Moja mama z Amiczką, rasy kerry blue terier — Amiczka stała się członkiem rodziny, ok. 1954.

poszedł za psem. Tłum zamilkł. Wszyscy patrzyli, jak człowiek, pies i wilk oddalają się spacerowym krokiem. Jeszcze długo po tym wydarzeniu krążyły po Saskiej Kępie opowieści, jak to wilk Sumińskich chciał do Francji.

Ogródek na Saskiej Kępie nie był najlepszym miejscem dla wilka. Żli ludzie nie mogli znieść, że u Sumińskich jest najprawdziwszy wilk i podrzucili mięso nafaszerowane strychniną. Tora nie doczekała trzecich urodzin. Zdążyła jednak udowodnić, że to nie wilk jest straszny, tylko człowiek.

Dzięki znajomości z Edkiem do domu Zośki znowu wróciły zwierzęta i zrobiło się weselej, bo przyszły zięć bardzo przypadł do gustu mojej babci Janinie — Bebie.

Pierwsze zjawiły się dwie morskie świnki. Choć miały klatkę, to większość czasu spędzały na fotelu, z którego zrobiły sobie coś w rodzaju futrzaka. Poza tym zasiusiały go tak, że nadawał się tylko na śmietnik.

70

Jestem pewna, że ojciec
Wszystkim, co robił,
imponował mojej mamie.
Na początku było tak
ciekawie, że charakterki
skrzątnie ukryły pod rodzącym
się uczuciem.

Brakowało psa. Beba z Zosią mieszkały wtedy w śródmieściu, przy ulicy Lwowskiej, w tak zwanej komunalce — mieszkaniu zajmowanym przez tyle rodzin, ile było pokoi, ze wspólną

łazienką i kuchnią. Namówienie Beby na psa wydawało się niemożliwe, a jednak udało się. Pewnego pięknego dnia Zośka i Edzio przynieśli do domu siedmioletnie szczeniátko. Oznajmili, że to piesek miniaturka i nie będzie większy od kota. Biedna Beba przystała na minilokatora. Kiedy pokochała już psinę, wyszło na jaw oszustwo. Piesek o imieniu Ami okazał się suczką Amiczką, a na dodatek wyrósł na okazałych rozmiarów psa rasy kerry blue terier. Wtedy nie miało to już znaczenia, bo Amiczką stała się członkiem rodziny.

Charakterek miała spod przysłowiowej ciemnej gwiazdy i gdyby

>

/

РитаМВ5И1ШШМШ11ПМШШ

Edward i Sumińscy

moi rodzice,

Kiedy Zośka skończyła dwadzieścia jeden lat, młodzi Wzięli ślub, — mama w ciąży ze mną, Warszawa 1957.

nie Edziowe interwencje, porozstawiałyby po kątach obie swoje panie.

Edek i Zośka mieli mnóstwo przyjaciół. Narzeczeństwo upływało im na wspólnych grupowych wyjazdach i zabawie. Nie sędzę, aby mieli okazję lepiej się poznać. W tamtych czasach wspólne zamieszkanie bez ślubu było nie do przyjęcia. Rodzina Edzia zaczęła nalegać, aby się pobrali. Niepokoiły ich wyjazdy młodych pod namiot.

Kiedy Zośka skończyła 21 lat, młodzi wzięli ślub. Zofia Ferster została Zofią Sumińską i przy tym nazwisku wytrwała do śmierci. Po roku, choć z trudem, urodziła się dziewczynka. Jedyne dziecko Edwarda i Zofii — Dorota Maria, czyli ja.

■Г

Przeczuwałam,

ze życie nie jest pasmem radości...

Sr;

A,

Trudne początki Doroty S.

Nie spieszyło mi się na świat. Może przeczuwałam, że życie nie jest pasmem radości. A ja tak lubię się śmiać. 74

Był 5 września 1957 roku. Rodzice mieszkali w domu dziadków Sumińskich na Saskiej Kępie. Rano mama poczuła się nieswojo. Babcia Irena uznała, że to typowe objawy zbliżającego się porodu i szybko zawiadomiła Edzia. Mój ojciec już wcześniej postanowił, że urodzę się w domu. Nie chciał narażać mnie na szpitalne warunki i obowiązkowe szczepienie przeciw gruźlicy, po którym noworodki miawały komplikacje.

W domu na Saskiej Kępie panował tłok. Mieszkali tam dziadkowie — Piotr i Irena, prababcia Ewa, siostry ojca — Mija i Inka, jego brat Stefan. Moi rodzice zajmowali maleńki pokój. W związku z tym jako porodówkę wyznaczono mieszkanie Beby na Lwowskiej. Beba na dany sygnał, że jada, przerobiła pokój na salę porodową.

Edzio odebrał w życiu wiele porodów u klaczy, krów, psów i kotów, więc uznał, że z własną żoną doskonale sobie poradzi. Ale na wszelki wypadek wołał się zabezpieczyć — znajomy lekarz położnik „był na telefonie”, a asystentką ojca miała być stara doświadczona położna.

Ułożyli Zofię na stole jadalnym i czekali.

Najpierw zamieszkaliśmy u dziadków Sumińskich — mam prawie rok, sierpień 1958.

Moja biedna mama mordowała się jak potępieniec, a ja nie chciałam opuścić zacisznego schronienia. W końcu 6 września 1957 roku, w piątek, około szóstej rano, ojcu udało się złamać moją niechęć do poznania rodziców osobiście i z jego pomocą i na jego rękach ujrzałam światło dzienne. Położna okazała się niepotrzebna, choć przesiedziała całą noc, uspokajając zdenerwowaną Bebe. Lekarz przyjechał już po porodzie, aby sprawdzić, czy aby Edzio dobrze się sprawił. Wszystko było w najlepszym porządku.

Doświadczenie przy krowach nie poszło na marne. Moja mama była niezwykle dzielna, nawet ani razu nie krzyknęła i nikt z sublokatorów mieszkania nie wiedział, co dzieje się za ścianą. Dopiero ja głośno oznajmiłam, że jestem.

Zadzwoił telefon i ktoś zapytał: „I co jest, syn?”. Ojciec odpowiedział: „Córka, ale za to jak byk”. Nie byłam małym noworodkiem, a na dodatek moja głowa, zniekształcona przedłużającym się porodem, przypominała telewizor starego typu.

Najpierw zamieszkaliśmy u dziadków Sumińskich. Dom był pełen zwierząt i ludzi. Ojciec hodował różne gady, także żmije. Ponieważ gady to zwierzęta zmiennocieplne, zależne od temperatury otoczenia — wsadzał mi je do becika, gdzie panowała przyjemna, stała temperatura. O sprzęt specjalistyczny do hodowli gadów było wtedy bardzo trudno, a ja okazałam się równie dobra jak inkubator. Podobno jednym z pierwszych moich słów było „woś”, czyli wąż.

Ze żmijami ojca wiąże się jeszcze inna historia. Zawsze miał ich kilka w domu. Pobierał od nich jad na surowicę przeciwżmijową. Żmije były na tyle oswojone, że zapominały o swoich jadowitych możliwościach i zachowywały się jak zaskrońce. Kiedy do domu przychodzili goście, Edzio robił swojej młodszej siostrze Ince, a gdy podrosłam, to i mnie, naszyjnik i bransoletki ze żmij, i po-76 syłał nas do pokoju, gdzie siedzieli goście. Panie mdlały, panowie

Z babcią Ireną Sumińską, lipiec 1961.

Z dziadkiem Piotrem Sumińskim, 1960.

wskakiwali na stół i było dużo zamieszania. Kiedyś jeden z widzów tego teatrum zapytał: „A nie boisz się, że któraś w końcu ukąsi?”. Ojciec, otwierając żmijową paszczę, odpowiedział: „Ależ ja im wycinam zęby jado...”. Ale „we” uwięzło mu w gardle, bo zobaczył dwa piękne, ostre jak igły iniekcyjne żmijowe zębiska. Wtedy jeszcze nie wiedział, że owe zęby bardzo szybko odrastają. Na szczęście poczciwe gadziny były na tyle oswojone, że nigdy nie zrobiły z nich użytku.

W gadzim towarzystwie rosłam jak na drożdżach. Pierwszym moim ciepłym wspomnieniem jest zapach psiej sierści. To moja „mamka” Amiczka jest tym wspomnieniem. Służyła mi za chodzik. Wczepiałam się w jej gęste futro i trenowałam stawianie kroków. Zapach Amiczki kojarzy mi się z bezpieczeństwem i miłością. Może to dzięki niej zawsze umiałam zrozumieć psie serce, a na pewno dzięki niej poznałam, co znaczy psia miłość.

Mój mleczny brat

Parę lat przed moim urodzeniem Edzio odkrył mały raj. W Puszczy Mariańskiej koło Skierniewic znajdowała się zagubiona w lesie 78 wioska Grabie. Prowadził do niej leśny trakt i nie było tam elektryczności aż do końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Do najbliższej cywilizacji w formie wiejskiego GS-u szło się kilka kilometrów przez las. W Grabiu mieszkało tylko kilka rodzin. Wieś położona w lesie nad rozlewiskami meandrującej rzeki Rawki czarowała pięknem o każdej porze roku.

Wiosną 1958 roku pierwszy raz znalazłam się w Grabiu. Rodzice wynajmowali paradną izbę w domu Franka i Anielki Sapińskich. Dziś po krytej strzechą chacie nie ma już śladu, ale wtedy położona była w najbardziej malowniczym miejscu wsi. Frankowie wraz z trójką dzieci mieszkali w kuchni, a izba była rzeczywiście tylko paradna, a raczej pogrzebowa, bo Franek oznajmił nam, że „nikt tam nie mieszkał, jeno jak ojce pomarli, to tam trumny stali”. Tak więc zajęliśmy pomieszczenie pełne sztucznych kwiatów, ozdobnych poduszek i makatek z jeleniem na rykowisku. Nad wielkim łóżem wisiał podretuszowany kolorowo portret ślubny gospodarzy. Pod łóżem zaskrońce spokojnie zmieniał skórę, w kominie świerszcz przygrywał na skrzypeczkach, myszy harcowały pod stołem, a ja siedziałam w kojcu. Jeszcze nie wstałam na dwie nogi, ale na czterech radziłam sobie doskonale. Dzień był wyjątkowy, bo oprosiła się maciora Sapińskich. Kilkanaście

różowych prosiaczków ucieszyło gospodarzy, ale ostatni charłaczek nie rokował dobrze. Franek stwierdził, że należy go „psom rzucić”. „Po moim trupie” — krzyknęła moja mama i złapała prosiątko w ramiona. Trzymała w objęciach kwiczącego różowego oseska i jej wzrok padł na drugiego różowego oseska w kojcu.

Zamieszkaliśmy razem z Prosiem (tak mama ochrzciła małego knurka) „za kratkami” wspólnego kojca. Ja miałam swoją butlę ze smoczkiem, a Proś swoją. Jednak kiedy podnosiliśmy wrzask, mamie myliły się butelki i czasem zatykała smoczkiem Prosiowy ryjek. Tym sposobem zostaliśmy z Prosiem mlecznym rodzeństwem. Choć oboje siedzieliśmy za kratkami, to knurek był w znacznie lepszej niż ja sytuacji. Kiedy nie opił się mleka (często z mojej butelki), był cieniutki i mieścił się między szczebelkami. Robiąc wypadki poza kojec, zaprzyjaźnił się z Amiczką. Suczka spodziewała się szczeniaków i budzące się w niej uczucia macierzyńskie przelała na małą świnkę. Wylizywała malucha i pozwalała się ssać. Prosiaczek coraz więcej czasu spędzał z przybraną mamą. Którejś nocy Amiczka się oszczeniła. Spała mocno, zmęczona porodem, gdy jej przybrany synek zapragnął matczynego ciepła. Był już dość ciężki i gdy gramolił się na psie legowisko, nadepnął na szczeniaka. Szczeniak pisnął przeraźliwie i wyrwana ze snu suczka zatopiła zęby w głowie swojego przybranego dziecka. Kiedy zorientowała się, co zrobiła, było już za późno. Nie pomogło rozpaczliwe wylizywanie świnki. Proś nie żył. Choć mama zalewała się łzami, to jednak gdzieś w głębi duszy wiedziała, że Amiczka rozwiązała duży w rychłej przyszłości problem. Jak poradziłaby sobie w Warszawie z wielkim knurem? O innym typowo świńskim rozwiązaniu nie byłoby mowy. Przecież nikomu nie przeszedłby przez gardło mój mleczny brat.

Czifa-Cheefah

Dziadek Piotr bardzo lubił małe dzieci. Wszystkie wnuki nosił na rękach i obcałowywał. Ja byłam pierworodną, ukochaną wnuczką. Poświęcał mi mnóstwo czasu. Nie umiałam jeszcze mówić, ale rozumieliśmy się z dziadziem bez słów. Miał dużo kolorowych albumów ze zwierzętami z całego świata. Spędzaliśmy całe godziny nad zdjęciami lwów, słoni i lampartów. Dziadek czuł się bardzo dumny, gdy mała Dorotka wskazywała paluszkiem wizerunek wymienionego przez dziadzia zwierzaka. Jestem pewna, że to on rozbudził we mnie ciekawość świata przyrody. Szczególną atencją darzył wszystkie drapieżniki, a wśród nich dzikie koty. Monografia żbika, którą napisał kilkadziesiąt lat temu, nadal nie ma sobie równych. Dziadziuś Piotr miał szczęście, bo choć to bardzo trudne, w tamtych czasach mógł jeszcze tropić i obserwować żbika. Dziś ten piękny kot jest już na wymarcu. Żbik jest bardzo skrytym obywatelem lasu. Niedoświadczony tropiciel nie ma szans go zobaczyć. Chyba że w ogrodzie zoologicznym. Dziadziuś był prawdziwym człowiekiem lasu i dlatego widział to, czego inni nie mogli zobaczyć.

mi zielono oczyma i leciutko podnosząc górną wargę, prychnął 81 |fc „wynocha!”. Kotka skuliła się w kącie i obserwowała poczynania małżonka. Usiadłam na pieńku i czekałam, aż oswoją się z moją obecnością. Żbiki z zoo znały ludzi i bały się dużo mniej, niż to się dzieje w naturze. Mimo to nigdy nie pozwoliły sobie na poufałości z opiekunami. Tym bardziej ja nie mogłam liczyć na przyjacielski gest, a jednak spotkał mnie zaszczyt. Kocur nasiusił mi na nogę.

Kiedy dziadzio uczył mnie rozpoznawać zwierzęta, to właśnie kotowatym poświęcał najwięcej uwagi. Powtarzał mi nazwę polską, angielską, a czasem też łacińską. Był dumny z tego, że moim pierwszym słowem nie było „mama”, „baba” czy „tata”, ale „czita”. „Cheetah” to po angielsku „gepard”. Kiedy po wielu latach miałam okazję wejść na wybieg gepardów, ich opiekun był bardzo poruszony. „Traktują panią jak starą znajomą”, powiedział. Jestem pewna, że wiedziały, jakie było moje pierwsze słowo.

Beba — moja ukochana babcia

Po moich pierwszych urodzinach przeprowadziliśmy się do „ko-munałki” na Lwowskiej, czyli do Beby. Nie wiem dokładnie, co 82 było powodem niesnasek, które psuły atmosferę na

Saskiej Kępie u dziadków Sumińskich. Myślę, że winę za to ponosi zbyt duże zagęszczenie ludzi na zbyt małej przestrzeni. Do domu dziadków, jak już wspomniałam, dokwaterowano po wojnie kilka rodzin, a właścicielom z rodziną zostawiono tylko pół jednego piętra, czyli trzy (w tym jeden malusieńki) pokoje i kuchnię.

Tak czy inaczej wylądowaliśmy we trójkę w jednym pokoju z babcią Bebą, więc sytuacja na Lwowskiej wcale nie była lepsza. Trzypokojowe mieszkanie Beba dzieliła z panem Autuchiewiczem (też z Grodna) i ubeczką, której nazwiska nie pamiętam, czego zresztą nie żałuję. Rzeczona dama z UB szpiegowała i pisała donosy na moją babcię. Pan Autysiowy — tak ochrzciłam pana Autu-chiewicza, gdy zaczęłam mówić, był trochę zdziwaczalym starym kawalerem. Wydawał się zupełnie nieszkodliwy, dopóki Beba nie złapała go na podglądaniu mojej mamy w łazience. Łazienka miała pod sufitem malutkie okienko wychodzące na korytarz. Pan Autysiowy podstawił sobie stół i zerkał przez grube jak denka od butelek szkła okularów na kapiącą się Zośkę. Złapany na gorącym uczynku, spadł ze stołka, rozbił okulary i nie wychodził z pokoju przez dwa dni. Od tamtego czasu miał, jak to się dziś mówi, „prze-chlapane”. Wszyscy grodzieńscy znajomi dokuczali mu przy każdej okazji i nic nie pomagały konfitury i grzybki w occie, którymi z rozdartym sercem (bo był bardzo skąpy) obdarowywał kpiarzy.

Autysiowy miał gdzieś na wsi dwie ciotki, które regularnie przysyłały mu wiejskie frykasy. Chował wszystko w swoim pokoju pod łóżkiem. Kiedy do Beby przychodzili przyjaciele na kolację, zawsze proszono Autysiowego na kieliszeczek. Miał biedak słabą głowę, a na jednym kieliszeczku się nie kończyło. Kiedy w głowie mu zaszumiało, robił się bardzo hojny i rozdawał swoje skarby. Następnego dnia, łkając z żalu za utraconymi grzybkami, obiecywał solennie, że nie wychyli nawet naparstka. Nigdy jednak nie zachował obiecanej abstynencji, a jego zapasy kulinarne topniały. Podczas domowych uroczystości ubeczka trzymała ucho przy dziurce od klucza do pokoju Beby i pewnie jej ślinka leciała, ale Autysiowy nigdy niczym jej nie poczęstował. Na niego też pisała donosy.

Kiedy zamieszkaliśmy u Beby, pojawił się kłopot. Bebunia nie chciała krępować swoją osobą młodego małżeństwa. Co zrobiła moja wspaniała babcia? Wyprowadziła się — do szafy! Co prawda szafą nazywam dość dużą wnękę w ścianie, ale sypialnia to nie była. Na szczęście Bebunia nie musiała długo sypiać w szafie, bo gdy skończyłam dwa lata, mogliśmy wyprowadzić się z komunałki. Zanim to jednak nastąpiło, Beba chciała zabić ubeczkę. Dlaczego ta najbardziej prawa na świecie kobieta zapałała chęcią mordy? A dlatego, że podejrzewała babę o otrucie wnuczki, czyli mnie.

Był zwykły dzień, pasłam Bebe na korytarzu i nagle upadłam. Straciłam przytomność, dostałam drgawek. Wezwano lekarza, potem lekarzy, ale nikt nie umiał powiedzieć, co się stało. Podejrzewano poszczepienną chorobę Heinego-Medina, ale nie wszystkie objawy na to wskazywały. Przestałam mówić i chodzić. Uplłynęło kilka dni. Którejś nocy nastąpił kryzys. Lekarz stwierdził,

że to koniec. Mama zaczęła się modlić: „Panie Boże, jeśli Dorota wyzdrowieje, ja zaopiekuję się jakąś sierotą”. Wyzdrowiałam. Mama usiłowała dotrzymać danej Bogu obietnicy, ale to trochę późniejsza historia. Zdarzyły się dwa cudy. Mój powrót do zdrowia i to, że Be-ba dostała mieszkanie w nowej kamienicy na Wspólnej, pięć minut drogi od Lwowskiej. W tej samej kamienicy zamieszkał Autysiowy i wielu innych pracowników banku, w którym Beba pracowała. Mieszkanko na trzecim piętrze miało trzydzieści dziewięć metrów kwadratowych, składało się z pokoju z dużą wnęką z oknem, ślepej, ale wreszcie własnej kuchni i łazienki. Był także duży balkon. Dziś wydaje się to dziuplą dla jednej wiewiórki, a nie czterech, ale wtedy samodzielne mieszkanie było gwiazdką z nieba. Nie wolno jednak zapominać, że mieszkanie należało do Beby, a ona wyszła na tym najgorzej, bo znów wylądowała „w szafie”, czyli we wnękę, tyle że znacznie większej. Z czasem wnęka stała się moim pokojem, z którego wyprowadziłam się, gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat. Gdy pierwszy raz

przyszliśmy oglądać „nasze apartamenty” na Wspólnej, zachwyтом nie było końca. Mama otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem, a ja, chcąc dołączyć do „achów” i „ochów”, powiedziałam: „Ale ładny pokój”.

Zamieszkaliśmy na Wspólnej. Ja z rodzicami w tak zwanym dużym pokoju z balkonem, a Beba we wnęce z dużym oknem. Poza nami mieszkanko zajęły także zwierzęta. Kilka drapieżnych ptaków po przejściach osiadło na szafie nad łóżkiem Beby. Kiedy kładła się spać, wołała nie patrzeć w górę, bo obserwowały ją oczy jastrzębi, które ciekawe, jak człowiek mości się w swoim gnieździe, nie spuszczały z niej oka. Były też psy z Amiczką na czele, syjamski kot Moniek, kura o imieniu Pani Warszawska, kogucik Rosolek, koziołek Rududu, kulawa perliczka, szczurki i myszy różnej maści i całe mnóstwo pomniejszej „gadziny”, ze zmijami na dodatek. Bebunia bardzo kochała zwierzęta, ale nie podzielała zainteresowań zięcia w kwestii gryzoni, gadów i drapieżnych ptaków. Czego się jednak nie robi dla rodziny.

86

Moi rodzice nie byli naj-zgodniejszą parą i Beba nie chciała, aby do małżeńskich niesnasek dołączyły się jej grymasy. Znosiła dzielnie przemykające szczury, które stale uciekały z klatki. Spała z głową pod poduszką, aby nie kusić jastrzębia, i udawała, że tak lubi. Chwała Ci za to, moja kochana Bebu-niu.

-

Dorota Sumińska z ojcem, 1961.

87

Dorota Sumińska (4 lata) — strzyżenie włosów, fryzjerem jest Koki — Japończyk.

Ko, ho, kokoszka z Warszawy

Dziecko po bardzo ciężkiej chorobie powinno być odpowiednio żywione. Jajko od prawieków odgrywało ważną rolę w żywieniu 88 człowieka. I trudno się dziwić, bo jeśli z zawartości żółtka powstaje całe pisklę z piórami, mięśniami, szkieletem i wszystkim, z czego ptak jest zbudowany, to jajko doprawdy jest skarbem. Jajko jajku nierówne. Im lepiej odżywiana jest kura, tym więcej w jajku życiodajnych składników. Wychodząc z tego założenia, mój ojciec przytaszczył do domu kurę noskę. Duża kwoka rasy karmazyn miała znosić zdrowe jajka na moje potrzeby żywieniowe. To, że mieszkaliśmy na trzecim piętrze w centrum stolicy, nie miało dla ojca znaczenia. Była wiosna, więc na początku kura zamieszkała w osiatkowanej zagrodzie na balkonie. Była wspaniale żywiona i co rano oznajmiała całej ulicy Wspólnej „zniosłam jajko, ko, ko, ko!!!”. Sąsiedzi byli poruszeni tym kurzym okrzykiem, ale mama udawała, że nic na ten temat nie wie, i też okazywała oburzenie. Codziennie kura była wypuszczana z zagrody, aby pospacerować po mieszkaniu. Zaprzyjaźniła się z psami, a szczególnie z Amiczką, na której lubiła siadywać.

Jak zwykle w maju ojciec „wywoził” do Grabią rodzinę ludzką i zwierzęcą. Oczywiście kura jechała z nami. Na miejscu okazało

I .-*■:

Jak zwykle W maju, ojciec „wywoził” do Grabią rodzinę ludzku ! zwierzęcą — ja z Amiczką i Panią Warszawską.

się, że kura nie ma najmniejszego zamiaru zawierać znajomości z wiejskimi kuzynkami. Nawet przystojny kogut nie mógł liczyć na jej względy, wyraźnie przeszkadzało jej wiejskie pochodzenie adoratora. Nasza kura trzymała się psów i nawet nie zerknęła w stronę wiejskiego kurnika. Na noc sadowiła się w pokoju na posłaniu Amiczki i tak trwała do rana, kiedy mama wystawiała ją na podwórko. Nasi gospodarze podejrzliwie zerkali na spsiałą kurę i w końcu orzekli: „To taka pani warszawska”. Tym sposobem kar-mazynka z ulicy Wspólnej została ochrzczona Panią Warszawską. Przyszła jesień i czas powrotu do Warszawy. Tym razem Pani Warszawska zamieszkała w obszernej klatce pod kuchennym stołem. Nie znaczy to wcale, że skończyły się jej spacerunki po mieszkaniu.

Była bardzo towarzyska i chciała uczestniczyć w życiu rodzinnym, kiedy domownicy przynosili się z kuchni „na pokoje”, to znaczy „na pokój”. Lubiła wskakiwać na kolana i popijać herbatkę podaną na łyżeczce. Najchętniej piła osłodzoną herbatę z cytryną. Pamiętam doskonale twarz mojej kury z wyrazem nieustannego zdziwienia. Miała bardzo bystre spojrzenie. Zdecydowanie wzbraniała się przed czepeczka-mi, które próbowałam montować jej na głowie. Kurza twarz tak pięknie w nich wyglądała!

Pani Warszawska żyła ponad dziesięć lat. Nawet kiedy była już stara i nie znosiła jajek, co rano z jej dzioba wyrwał się ochryply okrzyk „zniosłam jajko, ko, ko!”. Głowa jej wyłysiała, chodziła niezdarnie i nie mogła już wskakiwać na kolana, bo zreumatyzowa-92 ne stawy odmawiały posłuszeństwa, ale herbatkę z cytryną lubiła popijać do śmierci.

W tym czasie do naszego domu trafiła jeszcze kulawa perliczka. Wykluła się z przykurczem ścięgien i chciano ją zlikwidować. Na jej szczęście była przy tym moja mama i zabrała pisklę do domu. Perliczka oswoiła się równie łatwo jak Pani Warszawska. Kiedy dorosła, jeździłyśmy na spacer w jednym wózku do Parku Kultury — perliczka, Pani Warszawska i ja. Przy dziecinnej spacerówce, na której podnóżku siedziały kura i perliczka, szły dwa psy: Amiczka i Drops. W wózku siedziałam ja, a moja mama wprawiała wehikuł w ruch. Nie było osoby, która nie zwróciłaby uwagi na niezwykłą jak na miasto (na wieś chyba też) grupę spacerową. W parku nasz drób grzebał w pyle ścieżek, ja w piasku, psy węszyły po okolicy, a mama, siedząc na ławce, czuwała nad całą tą grupą operacyjną. O kogucie Rosółku nie ma co opowiadać. Miał być partnerem życiowym Pani Warszawskiej, ale okazał się agresywnym prostakiem i chyba rzeczywiście skończył w rosole. Nie, nie, to nie stało się u nas. Wrócił tam, skąd przybył, na wieś, i słuch o nim zaginął.

Na ganku w Jastrzębcu: Czort, dwa jagd teriery i Amiczka.

Ze spacerami w parku kojarzy mi się jeszcze inna opowieść mamy. Miałam wtedy podobno trzy lata i jak zwykle bawiłam się w piaskownicy. Mama siedziała na ławce i patrzyła na bawiące się na trawniku psy. Zebrała się tam duża gromadka psich spacerowiczów. Wszyscy obserwowali kłębiące się czworonogi. Nagle dwa psy zaczęły się gryźć, a reszta utworzyła wkoło zbity, kibicujący szpaler. Pośród tej gromadki był malutki biały pudełek, który z racji „wielkości” zniknął z pola widzenia. Jego właścicielka podniosła larum, ale bała się wkroczyć w psi tłum. Każdy coś krzyczał, ale nikt nie miał odwagi pójść na odsiecz pudelkowi. Dorośli, zajęci nieudolnymi próbami niesienia pomocy małemu pieskowi, nie zauważyli, że wygrzebałam się z piaskownicy. Spokojnie weszłam między psy, wyniosłam pudelka i oddałam w ręce zdumionej paniusi. Potem bez słowa wróciłam do swoich piaskowych babek.

Szczurus

c?

Stał się cud. Beba przyniosła do domu zwierzę. Mały syjamski kotek był „nieślubnym” dzieckiem kotki z banku, w którym pracowała moja babcia. Zwykła buraska urodziła cztery syjamy jak malowanie. Nie udało się jej ukryć romansu z jakimś rasowcem. Kot został ochrzczony przez Bebe Mońkiem, tak samo jak ten, który po wojnie przyjechał z Grodna. Moniek był wspianiałym kotem o charakterze macho. Kochał bezgranicznie mnie i mamę, Bebe tolerował, a ojca nie lubił. Nie był kastrowany i ojciec widocznie wydawał mu się groźnym konkurentem do względów mojej mamy. Poza tym drzemała w nim najprawdziwsza kocia dusza łowcy. W łazience stały jedna na drugiej klatki ze szczurami. Moniuś doskonale wyczuwał lokatorów łazienki i pełnił stałą wartę pod drzwiami. Każdy chętny do korzystania z toalety musiał przeciskać się przez szparę w drzwiach, tak aby nie wpuścić tam kota. Ja spędzałam przy klatkach mnóstwo czasu, dopieszczając każdego szczurka po kolei. Choć byłam bardzo mała, czułam się odpowiedzialna za bezpieczeństwo szczurków i prześlizgiwałam się przez drzwi jak piskorz. Za którymś razem, opuszczając szczurze ustronie, przycięłam sobie drzwiami ucho. Ucho jest bardzo czułym miejscem i bolało jak diabli, a ja rozpaczałam wniebogłosy. Mama rzuciła się

u-

Z Mońkiem I^Y \ "fe*

— mały syjamski

kotek był „nieślubnym”

dzieckiem kotki z banku,

w którym pracowała

moja babcia.

j, na ratunek. „Zaraz przy-ii** łożymy coś zimnego”,

r

pocieszała, całując sine ucho. „Nie, nie” — krzyczałam. — „Ja chcę przyłożyć szczurusia!”

Przyłożyli szczurusia i pomogło natychmiast. Szczury to magiczne zwierzęta, o czym wiedzą Hindusi, którzy mają nawet szczurzą świątynię, ale nie wiem, czy znają przeciwbólową moc tych zwierząt. Najznakomitszą osobowością szczurzej części naszej rodziny był Felek.

Wyglądał jak zwykły szczur wędrowny, ale był synem laboratoryjnej matki i dzikiego ojca.

Kiedy był jeszcze całkiem mały, mój ojciec roztoczył nad nim opiekę. Byli nierozłączni. Pół-

laborant Felek „mieszkał” w kieszeniach i zakamarkach Edziowej garderoby. Dziś wszyscy

wiedzą, że szczury to niezwykle inteligentne zwierzęta, ale nawet najbystrzejszy szczur

laboratoryjny jest głupkiem w porównaniu ze swoim wędrownym kuzynem. Felek

odziedziczył rozum po ojcu, a niechęć do wędrówek po matce. Dobrze, że nie odwrotnie.

Uczył się bardzo szybko i chętnie. Znał masę komend. Umiał się kryć, podawać papierosa,

jadał z jednego talerza ze swym panem, ale najlepszy jego numer to niwelowanie tłoku w

środkach miejskiej komunikacji. Ojciec z Felkiem jeździli tramwajami i autobusami. W

tamtym czasie o samochodzie nawet się nie marzyło. Kiedy w tramwaju robił się ścisk, mój

tata mówił: „Ale tłok”, i Felek wychylał się z rozporoka swojego opiekuna. Natychmiast wkoło

robiło się pusto, choć nie

ma co ukrywać, nieraz obrzucono obu panów niecenzuralnymi słowami.

Mniej więcej w szczurzo-łazienkowym czasie dokonałam znaczącego odkrycia. Ojciec

siedział w wannie, a ja kursowałam między kuchnią, gdzie mama coś pitrasila, a łazienką.

Nagle wpadłam do kuchni z miną odkrywcy. „Mamo, czy wiesz, że nasz Ciuńciel (tak

nazywałam ojca) to chłopiec!”. Od tamtej pory mama nie miała już wątpliwości, kim

właściwie był jej mąż.

Kozioteczch Rududu

Dziś aż trudno mi w to uwierzyć, że w naszym mieszkaniu na Wspólnej było ładnie i bardzo czysto. Mama, znana z umiłowania czystej podłogi, myła i pastowała ją bez przerwy. W takiej ciasnocie utrzymanie czystości nawet bez zwierząt musiało być trudne, a u nas aż kłębiło się od braci mniejszych. W moim rodzinnym domu mieszkały zazwyczaj te zwierzęta, które z jakichś powodów nie poradziłyby sobie bez ludzkiej pomocy. I tak zostało do dziś.

Mój obecny dom to azyl dla zwierząt odtrąconych, kalekich, osieroconych, i zapewniam, że nie ma bardziej przyjaznego im domu. Każdego nowego gościa przyjmujemy bez warczenia, prychania, bez zębów i pazurów. Potem gość staje się domownikiem i drzemimy sobie razem na kanapie. Ale wróćmy na Wspólną.

Ciuńciel poza pracą na uczelni udzielał się także w warszawskim zoo. Był środek zimy, a na wybiegu karłowatych kóz przybył nowy kozi obywatel. Malutki koziolatek nie dość, że urodził się w nieodpowiednim terminie, to jeszcze miał poważną wadę serca.

Taka sama wada zdarza się również u ludzi, a obciążone nią dzieci, wcześniaki, nazywa się „niebieskimi”. Sinieją im usta nawet przy niewielkim wysiłku. Powoduje to dziura w przegrodzie serca (nie zamknięty przewód Botala), przez którą bogata w tlen krew tętnicza miesza się z odtlenioną żylną.

Koźlątko wielkości ratlerka trafiło do naszego mieszkania. Mama czytywała mi wtedy bajkę o kozioleczku Rududu, więc łatwo zgadnąć, jakie imię dostał maluszek. Ponieważ dawno już

zrezygnowałam z butelki ze smoczkiem, Rududu nie mógł zostać moim mlecznym bratem, ale bratem został, tyle że młodszym. Mama zakochała się w nim (z wzajemnością), co nie było trudne, bo koziołek należał do najśłodszych istot na świecie. Mama prawie zmieniła się w kozę. Zrezygnowała dla niego z pastowania podłóg,

99

bo nóżki mu się rozjeżdżały na śliskich drewnianych klepkach. Rududu był bardzo rozmowny, a moja mama doskonale wiedziała, co on ma do powiedzenia. Nie ukrywam, że momentami byłam trochę zazdrosna, bo mnie też buzia się nie zamykała, ale na moje wywody mama nie reagowała tak natychmiastowo jak na „mmee”. Na dodatek całkiem niedawno zostałam ochrzczona Dudkiem. Moją fryzurę zazwyczaj wieńczył niesforny wicherek i to nowe imię przylgnęło do mnie na bardzo długie lata (bo każdy dudek ma swój czubek). Czy mama mówiła „Dudecz-ku” czy „Rududeczku”, biegliśmy oboje, a wszystko przez to „dudu”. Poza tym oboje mieliśmy „czubate” głowy. Kozłátko bardzo szybko nauczyło się czystości. Kiedy Rududu chciał siusiu, meczał głośno, a mama biegła z niebieską miseczką — nocnikiem. Do innej miski lub do wiaderka nie chciał siusiać, tylko do niebieskiej... A niektórzy twierdzą, że kozy nie rozróżniają kolorów, jak mało wiedzą... Ja, Dudek (łac. Upupa epos), wiem więcej — w końcu miałam brata koziołka. Rududek wyglądał zupełnie normalnie, ale gdy tylko zaczynał podskakiwać, co leży w koziej naturze, natychmiast siniał mu śliczny różowy pyszczek i miał kłopoty ze złapaniem oddechu. Im był starszy, tym było gorzej. Mama przepłakiwała całe noce, ale nie było na tę chorobę lekarstwa. Dziś możliwa byłaby operacja, polegająca na zaszcyciu otworu w sercu, ale wtedy nawet ludziom nie robiono takich zabiegów. Rududu nie miał jeszcze roku, kiedy nawet stawanie na nóżkach wywoływało

ataki duszności. Z wielkiej miłości Zofia podjęła jedną z trudniejszych w swoim życiu decyzji. Kochała go tak bardzo, że nie godziła się z jego cierpieniem. Rududu usnął w ramionach swojej przybranej, a mojej rodzonej mamy.

Właśnie teraz pomyślałam sobie, jak wielu ukochanych przyjaciół ustrzegłam przed powolnym konaniem i jak trudno podejmuje się takie decyzje. I nie ma znaczenia, czy to pierwszy, czy setny raz. Nie chodzi o samą śmierć, ale o decyzję. Ze śmiercią pogodziłam się już dawno. Na pewno zawdzięczam to między innymi koziołkowi. Moi rodzice nigdy nie ukrywali przede mną prawdziwego powodu odejścia Rududu, a potem innych zwierząt. Dla mnie śmierć nie była straszną kostuchą czy kościotrupem z kosą. Dziś wiem na pewno, że częściej bywa dobrą wróżką, która odejmuje ból i otwiera drzwi do nowego, mam nadzieję, lepszego świata. Skoro dobra wróżka, to i świat musi być dobry.

Koki Hara

W latach sześćdziesiątych ojciec pracował na Wydziale Weterynarii SGGW u pani profesor Zofii Osuchowskiej. Zajmowali się 102 embriologią i zaczątkami genetyki. Pani profesor odkryła w Edziu bardzo zdolnego naukowca i niepokorną duszę. Nie bał się myśleć i działać niekonwencjonalnie. Jego sukcesy w pracy skłoniły ją do niezwykłych poczynań, jak na tamte czasy. Postanowiła wysłać ojca do Amsterdamu, gdzie na tamtejszym uniwersytecie miałyby większe niż w Warszawie pole do badań. Udało się. „Wróg ludu” — bezpartyjny hrabia, a na dodatek niedawny posiadacz „wilczego biletu”, dostał paszport i wyjechał na zgniły Zachód. Bynajmniej jednak nie zgnił. Wręcz przeciwnie, bardzo szybko zadomowił się w Holandii. Pracował razem z kilkoma Japończykami. Szczególnie polubili się z jednym z nich, Kokim Harą. Koki czuł się bardzo samotny w obcym kraju, ale o dziwo nie jego rodacy, lecz Polak stał się przyjacielem na obczyźnie.

Tato zamieszkał u starszej pani o nazwisku Closterboren. Okazała się osobą bardzo sympatyczną i towarzyską. Zapraszała kolegów swojego lokatora na kolacje połączone z rozgrywkami w kanastę, której była wielbicielką. Koki nie tylko nauczył się grać w kanastę, ale znalazł miejsce, gdzie poczuł się jak w rodzinie.

W 1956 roku w Warszawie odbywał się festiwal młodzieży z całego lewicującego świata. Kiedy mama wozila mnie w wózku, budziłam zainteresowanie nie tylko z powodu zwierzęcej świty, ale i wyglądu. Podczas jednego spaceru jakaś ciekawska paniusia zapytała, spoglądając na mnie: „Czy to pofestiwalowe?”. „Nie, posylwestrowe!” — rzuciła oburzona Zofia. Miała refleks — urodziłam się przecież we wrześniu.

Do Amsterdamu dojechałyśmy pociągiem. Na dworcu czekał Ciuńciel z Kokim. Spałam jak zabita i aby nie taszczyć mnie na

Stoją od lewej: Koki z żoną Mitsuko, siedzą: moja mama i Haneke Closterboren ze mną na kolanach, Utrecht, październik 1963.

rękach wąskim korytarzem, mama podała mnie przez okno wprost w objęcia Japończyka. Ojciec w tym czasie zajmował się bagażem. Mama była pełna obaw, że gdy się obudzę i zobaczę obcą twarz, a na dodatek skośne oczy, przestraszę się, i szybko pospieszyła do wyjścia. Nie miała racji. Podobno gdy otworzyłam zaspane oczy i spojrzałam w skośne, roześmiane szparki Kokiego, buzia mi się rozpromieniła. Poznał swój swego. Do celu dotarłam w objęciach nowego przyjaciela.

Koki był kawalerem i nie miał jeszcze dzieci, ale przez cały nasz pobyt w Holandii z własnej woli pełnił funkcję mojej niańki. Ostrzygł mnie na japońską modłę i udawał, że jestem jego córką. Ci, którzy nas nie znali, nie mieli wątpliwości, że tak jest, bo byliśmy naprawdę do siebie podobni. On mówił po japońsku, ja po polsku, ale rozumieliśmy się doskonale. Śpiewał mi piosenkę

O kózce, którą do dziś pamiętam, choć nie rozumiem, skąd wiem, że jest o kózce, bo to japońska piosenka.

Po roku znowu odwiedziłyśmy z mamą Klosterbórkę. Ojciec był już wtedy z powrotem w Polsce, a my pojechałyśmy nie tylko w odwiedzinę, ale przede wszystkim po to, aby spotkać się ze Sta-siem — przyrodnim bratem mamy. Wuj Staś mieszkał w Londynie i w tamtym czasie nie mógł przyjechać do Polski. Udało mu się w końcu odnaleźć nas w Warszawie i skontaktować się. Radość mamy, że przeżył Sybir, nie miała granic, ale jak się zobaczyć? Klosterbórka zaprosiła nas do Amsterdamu i tam miało dojść do spotkania.

Tym razem poleciałyśmy samolotem. Na lotnisku czekał Koki.

I znów złapał mnie na ręce i nie wypuścił aż w domu Tante Closter-boren. I zrobił nam niespodziankę.

W międzyczasie Koki pojechał do Japonii i przywiózł sobie żonę Mitsuko. Mitsuko Hara była typową japońską żoną. Zawsze uśmiechnięta, cichutka i skromna. Źle mówiła po angielsku, więc czuła się niepewnie. Bardzo polubiły się z moją mamą i po paru dniach Mitsuko nie odstępowała Zofii. W oczekiwaniu na przyjazd Stasia z Londynu spędzałyśmy dużo czasu w małym mieszkanku państwa Harów. Podczas jednego z japońskich obiadów (najtrudniejszą próbą dla Zofii była zupa z ośmiornicy) Koki bardzo poważnie spojrzał na mamę i powiedział: „Daj nam Dorotę”. Oczy Zofii wyrażały całkowite niezrozumienie sensu jego słów. Zaczął więc tłumaczyć, że ożenił się, aby moja nowa rodzina była pełna, że obiecuje nie mieć własnych dzieci, że da mi najlepsze wykształcenie, że będę miała wszystko, czego dziecko może potrzebować, tylko niech mama zgodzi się mnie oddać. Zofia słuchała jak zaczarowana, a jej oczy robiły się coraz większe i większe. „Koki, czyś ty oszalał?” — zapytała. Chyba trochę oszalał, ale tłumaczył mamie, że tam, w Polsce, komuna, bieda i same kłopoty, i jeszcze coś mi się stanie, a jak on mnie adoptuje, to będę bezpieczna. Łatwo można się domyślić, że nie udało mu się przekonać mojej mamy. Piszę to po polsku, a nie po japońsku.

Kiedy miałam pięć lat, widziałam Kokiego po raz ostatni. Harówie wyjechali do Japonii, gdzie urodziły im się dwie śliczne, zupełnie japońskie córeczki.

Wujek Sfaś

Niewiele pamiętam z czasów, kiedy miałam dwa, trzy lata, ale tamten dzień mam odbity w głowie jak zdjęcie. Mama była bar-108 dzo zdenerwowana i chodziła w kółko po pokoju Klosterbórki, do którego prowadziły duże oszklone drzwi. Czekwała na „wujka Stasia”. Nie znałam tego wujka, ale widząc zdenerwowanie mamy, trochę się go bałam. Podjechała taksówka i mama zawołała „Jest”. Na wszelki wypadek zabrałam moją pluszową małą Fiki--Miki i schowałam się pod stolik. Nic nie rozumiałam. Za szklanymi drzwiami stał oto jakiś duży pan, z drugiej strony stała mama i okropnie płakała. Stali tak chwilę i płakali, więc wyszłam spod stołu i otworzyłam drzwi, choć nie było łatwo oderwać mamę od szyby. Wtedy zaczęli płakać jeszcze głośniej i mama zawisła na dużym panu. Po chwili dowiedziałam się tego, czego domyślałam się od początku. „To jest twój wujek Staś, mój brat” — powiedziała przez łzy mama. Nie widzieli się prawie dwadzieścia lat, właściwie przez większość życia. Nie pamiętam, jak długo wujek Staś został w Amsterdamie, nie pamiętam, o czym rozmawiali z mamą. Szczerze mówiąc, mało mnie to wtedy obchodziło, spędzałam czas w towarzystwie Kokie-go, i to mi zupełnie wystarczało.

Z mamą,

zdjęcie do paszportu,

1964.

Po powrocie do Polski nasze życie uległo zmianie. Staś był najlepszym synem i bratem. Pomagał nam, jak tylko mógł. Przysyłał paczki i pieniądze. Po kilku latach udało się nam pojechać do niego do Londynu. Nie pamiętam, ile miałam wtedy lat, ale nie chodziłam jeszcze do szkoły. Przypuszczam, że około sześciu.

Staś miał małe mieszkanie prawie w centrum Londynu. Wspomnienia z tamtego okresu są dość niewyraźne i mieszają się na tyle, że trudno zachować chronologię. Najważniejsze są zapachy. Już na Dworcu Wiktorii poczułam zapach „zgnilizny” Zachodu, jakże miły w porównaniu z dworcowym aromatem proletariackiej rzeczywistości. Pierwsza wizyta u Stasia to same cudowne zapachy. Jego woda po goleniu, jego dom, sklepy i poznani ludzie. Ich samych nie pamiętam, ale zapamiętałam zapach. Najważniejszą jednak konsekwencją tej pierwszej wizyty u brata mojej mamy była nasza późniejsza ze Stasiem przyjaźń, która przetrwała aż do jego śmierci w 1993 roku. Choć mieszkał daleko, był moim największym i najlepszym przyjacielem, zastąpił mi ojca, gdy mój rodzony rozstał się z mamą. Myślę, że Stanisław Ferster był kimś w rodzaju anioła zesłanego na ziemię, aby pokazać ludziom, co naprawdę znaczy być dobrym.

Właśnie pomyślałam, że może to wpływ naszych kanonizowanych przodków.

Aż trudno w to uwierzyć, ale w mojej rodzinie są dwie osoby uznane za święte. Święta

Urszula Ledóchowska, kuzynka

109

pradziadka Adama, i ojciec Melchior Fordon, spowiednik ojca Maksymiliana Kolbego, wujek mojej babci Beby. Ksiądz Fordon powiedział kiedyś małutkiemu jeszcze Stasiowi, że na Sądzie Ostatecznym Pan Bóg odbierze ludziom mowę, a pozwoli mówić zwierzętom, i to one będą świadczyć o nas. To piękne B i mądre. Taki był ojciec Fordon. Kiedy któreś nocy złodziej myszkował po jego mieszkaniu, ksiądz obudził się i powiedział: „Ja ci pomogę szukać, synu, jak coś znajdziemy, będzie twoje”. Nie miał nic, bo wszystko oddawał potrzebującym. Gdy zmarł, nie mieli go w czym pochować, a nie wypadało ubrać go w pocerowaną, wypłowiałą sutannę i dziurawe buty.

Dotychczas niespecjalnie interesowałam się tym, co teraz wydaje mi się bardzo ważne. Mam przodków „po mieczu i po kądzieli”, mówiąc językiem Henryka Sienkiewicza, do których modlą się inni. Święta Urszula Ledóchowska została wyniesiona na ołtarze przez człowieka,

który odmienił świat, papieża, największego z papieży, Polaka Jana Pawła II. Proces kanonizacyjny ojca Melchiora Fordona właśnie się toczy. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że to, co opowiadała mi Beba, nie uleciało gdzieś w siną dal. Zostało w głębi duszy. Może to dzięki ojcu Fordonowi zawsze czułam

Ojciec Melchior Fordon, spowiednik,

ojca Maksymiliana Kolbego, wujek m^ojej babci Beby, ok. 1920.

obrzydzenie do każdej formy dyskryminacji. Beba mówiła, że na pogrzebie ojca Fordona byli wszyscy Żydzi z Grodna i okolic. To on wstawiał się za nimi w okresie nasilenia antysemityzmu. Pomagał im, nie dbając o konsekwencje. Na przykład widziano go, jak dźwigał z Żydówką ciężki kosz. Uczył, że trzeba się pochylić nad każdym, kto tego potrzebuje, nie bacząc na wyznanie czy kolor skóry. Ja dodałabym „i na gatunek”.

Chociaż życie Stasia nie we wszystkim mogłoby służyć za wzór świętości, to jego serce na pewno było święte. Często powtarzał, że jeśli ktoś o coś prosi, to znaczy, że jest w potrzebie, i jeśli się ma, to trzeba mu dać. Tak robił przez całe życie i dlatego sam nic nie miał.

Zawdzięczam mu bardzo dużo, a największym darem były wszystkie wspólne chwile, wieczory w jego mieszkanku, przy elektrycznym kominku, gdy popijaliśmy scotcha i Staś snuł wspomnienia. O Grodnie, jak huśtał małą Zosienkę w kołysce i kiedyś wyleciała jak z procy. Na szczęście była w beciku i miała miękkie lądowanie. O Syberii, kiedy za kradzież bochenka chleba siedział w izolatce, ziemiance, bez jedzenia i picia. O generale Andersie, dzięki któremu nosił polski mundur. O Monte Cassino, o przyjaciółach i „dziewczakach” — dziewczynach.

Staś absolutnie nie był uwodzicielem, ale miał słabość do kobiet, a one to wykorzystywały.

Był tego w pełni świadomy i myślę, że na swój sposób to lubił. Przy nim każda kobieta czuła się damą.

Staś absolutnie nie był uwodzicielem — wuj Staś, początek lat pięćdziesiątych.

Aby scharakteryzować stosunek wuja Stasia do kobiet, a po części do wszystkich ludzi, najlepiej będzie przytoczyć pewną opowieść o Buddzie. Staś nigdy nikogo nie lekceważył, jak Budda. Podczas swoich wędrówek księżę Siddhartha, zwany później Buddą, spotkał bardzo brzydką kobietę. Była tak szkaradna, że zasłaniała twarz chustą, aby ludzie od niej nie uciekali.

Jakiś czas wędrowali razem i kobieta opowiedziała Buddzie o swoim problemie. On poprosił, aby zdjęła chustę i dalej szła z odkrytą twarzą. Mijali ich różni ludzie, a on trzymał ją za rękę jak ukochaną. Gdy wspólna droga dobiegła końca, Budda ucałował twarz kobiety i powiedział: „Kochana, gdybym nie musiał iść dalej, zostałbym z tobą i kochał aż do śmierci”. Nie wiem, co potem stało się z kobietą Buddy, ale wiem, że kobiety Stasia, kimkolwiek były, czuły się paniami świata. Choć przez chwilę. 112

Kiedy miałam kilkanaście lat, zobaczyłam w Londynie mopsa. Pies spodobał mi się tak bardzo, że koniecznie zapragnęłam takiego mieć. Staś przejął się bardzo moim pragnieniem i obiecał, że kupi mi mopsika i przy następnej wizycie zabiorę go do Warszawy. Zaraz po moim wyjeździe do Polski poszedł do Harrodsa i w dziale zoologicznym zakupił szczeniaczka z krótką mordką. Był tak przekonany o jego mopsim pochodzeniu, że nawet nie zapytał o rasę. Piesek, którego nazwał Kubusiem, niewiele miał z mopsem wspólnego i okazał się shitzu. Na dodatek obaj panowie tak przypadli sobie do gustu, że o rozstaniu nie było mowy.

Kubuś zawładnął Stasiem bez reszty. Łóżko stało się psim królestwem. Pod poduszką Kubuś chował niedojedzone kostki, a gdy pan się kładł, piesek mościł się na jego okazałym brzuchu. Staś nie był zwolennikiem pieszych wycieczek i Kubuś niezbyt często miał sposobność wybiegać się w parku. Podczas jednej z wizyt u brata moja mama orzekła, że tak dalej być nie może i psu należy zapewnić długie spacerowanie. Panowie ubrali się i wyszli. Nie było ich dość. Obaj panowie tali

przypadli sobie
do gustu,
że o rozstaniu
nie było mowy
— wuj Staś
z Kubusiem, 1975.

długo. Po powrocie spotkali się z pochwałami i pytaniem, gdzie byli. „Wszędzie byliśmy, przecież przez całe dwie godziny jeździliśmy taksówką po Londynie” — odpowiedział pan Kubusia.

Staś miał bardzo trudne życie. Stracił matkę, gdy miał rok. Nawet jej nie pamiętał. Przez pierwsze lata wychowywał go ordynans ojca. Krótko cieszył się przybraną mamą, moją babcią, Bebunią. Przeszedł najgorsze sowieckie tury i zsyłkę na Sybir, gdy był jeszcze dzieckiem. Walczył pod Monte Cassino. Po wojnie trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie nie miał nikogo. Poradził sobie, skończył studia — architekturę wnętrz, ale nigdy nie pracował w swoim zawodzie. Nie dorobił się niczego, nie dlatego, że grał z upodobaniem w karty, ale dlatego, że wszystko oddawał tym, którzy prosili go o pomoc. Nigdy nie usłyszałam z jego ust jednego słowa skargi. Nigdy w jego wspomnieniach nie było niechęci do ludzi. Staś wszystkich umiał usprawiedliwić, nawet własnych oprawców. Złe jest żyć bez niego.

Jastrzębiec

Nie miałam jeszcze pięciu lat, kiedy mój ojciec został pracownikiem Polskiej Akademii Nauk. Najbardziej cieszyła się mama, 114 bo mogliśmy wreszcie zamieszkać we własnym domu. Co prawda nie był do końca własny, tylko służbowy, ale wydawał się ogromny w porównaniu z małym mieszkankiem na Wspólnej. Instytut Genetyki, gdzie pracował ojciec, do dziś mieści się w Jastrzębcu pod Warszawą i do dziś stoją tam niewielkie „bliźniaki” z ogródkami, a pośród nich nasz był dom.

W tamtych czasach Jastrzębiec był wsią zabita dechami i jedyną jaskółkę cywilizacji stanowiły zabudowania PAN-u. Mój Jastrzębiec to przede wszystkim kaczeńce, od których wiosną było złotożółto, zależnie od słońca, to jabłoniowy sad za naszym domem, sroka Kasiek, barany i krowy rasy jersey, dające śmietanę zamiast mleka. Jednak najwspanialszym zapamiętanym przeżyciem związanym z Jastrzębcem był pewien letni wieczór i koń, a raczej klaczka. Ojciec opiekował się uratowaną od śmierci kobyłką, angelką o imieniu Fajka. Fajka dożyła późnej starości i po wielu latach została moją jedyną końską przyjaciółką. Tamtego wieczoru była całkiem świeżym ozdowieńcem po ochwacie i ojciec zaczynał dopierają objeżdżać. Było bardzo ciepło, rozłożyliśmy się na łące.

Ojciec prowadził Fajkę, z drugiej Mój jastrzębiec to przede
strony szła mama. Miałam przed wszystkim kaczeńce, to jabłoniowy
sad za naszym domem.

i pod sobą trzy głowy, siedziałam wysoko i lekko kołysząc się w takt końskiego stępa, patrzyłam na wszystkich z góry. Mijani ludzie oglądali się za nami, a mnie ogarniało kosmiczne szczęście. Czułam, że nic nie ważę i za chwilę ulecę gdzieś do góry, a ze mną koń i rodzice. Czas zatrzymał się na chwilę, byłam w raj. Wtedy chyba najmocniej czułam, że bardzo

kocham rodziców, konia, zachodzące słońce, lekki wiaterek, cały świat. Wtedy na chwilę pokochałam i siebie, a z tym zawsze miewałam kłopoty.

Później podobnie czułam się tylko dwa razy w życiu. Raz — gdy miałam osiem lat. Był pierwszy dzień wakacji. Szósta rano, słońce, ulice puste, wyszłam na spacer z Wiwunią — suczką mojego życia. Miałam kucyki, które smagane wiatrem, łaskotały mnie po twarzy, nową sukienkę i frunęłam, a obok mnie największy skarb — mój pies. Za drugim razem szłam na pierwszą randkę z moją również pierwszą, wielką miłością i stopami ledwo dotykałam ziemi.

W Jastrzębcu mieliśmy jeszcze więcej zwierząt niż w Warszawie. Niektóre z nich to były zwierzęta „służbowe”. Krowy, owce, kozy i część koni należały do PAN-u. Nasze, poza psami i kotem Mońkiem, były sowy — puszczyki, sroka, salamandry plamiste 116 (ojcu udało się je rozmnażać), papużki faliste, Fajka i na pewno jeszcze inne, których nie pamiętam. Jedną z ciekawszych osobowości tamtego okresu był pan sroka Kasiek. Wykarmiony przez moją mamę od nieopierzonego maleństwa, zawojował całą okolicę, i to dosłownie. Jego męskie imię wynikało z pomyłki. Najpierw nazywał się Kaśka, a potem, kiedy wyszła na jaw jego płeć, nie było sensu robić mu wody z mózgu i został Kaskiem.

Sroki, tak jak pozostałe krukowate, mają wyższe IQ niż niejeden obywatel RP, ale Kasiek do tego miał charakter capo di tutti capi. Uważał, że pracownicy Instytutu nie powinni przekraczać bramy zakładu bez okupu. Kilka minut przed przyjazdem autobusu dowożącego personel z Warszawy Kasiek siadał na słupku przy bramie i czekał. Każdy, kto chciał przekroczyć furtkę, musiał się opłacić czymś smacznym. W przeciwnym razie doznawał dotkliwych ataków na głowę. W sroczym dziobie drzemie duża siła.

Terrorysta trafił za kratki woliery w ogrodzie. Wypuszczany był tylko w dni wolne od pracy, ale i tak zawsze udawało mu się

komuś przyłożyć. Całą naszą rodzinę bardzo kochał, co nie przeszkadzało mu ciągle wprowadzać zamęt w domu. Potrafił naśladować bezbłędnie głosy wszystkich domowników. Szczekał jak pies, miauczał jak kot, śpiewał jak mój ojciec, narzekał jak moja mama i płakał jak ja. Poza tym udawał autobus, traktor i spikera radiowego. Kasiek dożył późnej starości, ale już bez mnie. Kiedy miałam sześć lat, rodzice się rozstali. Z Kaśkowego domu mama zabrała mnie i walizkę. Wróciliśmy na Wspólną do Beby.

Moi rodzice byli nieudanym małżeństwem. Ciągłe się kłócili i w domu nie było dobrej atmosfery. Mimo to kochałam ten dom, a ich rozstanie musiało być dla mnie tak bardzo przykrym przeżyciem, że mój dziecięcy mózg wymazał je z pamięci. Mam tam czarną dziurę i nie pamiętam ani początku, ani końca przeprowadzki.

„Mój” Jacek

W 4

Na Wspólnej mieszkaliśmy pod numerem 34, a obok, pod 33, mieszkał Jacek. Urodziliśmy się w tym samym roku. On w sierpniu, 118 a ja we wrześniu. Oboje byliśmy jedynekami i bardzo przypadliśmy sobie do gustu. Rodzice Jacka, Igor i Iza Dziaczkowscy, zaprzyjaźnili się z moją mamą, a my z Jackiem mogliśmy zapomnieć o samotności jedyneków.

Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu.

Trudno mi wracać do tamtych wspomnień, gdyż jesienią 2006 roku Jacek zginął tragicznie. Zabił go na pasach dla pieszych rozpędzony samochód. Wtedy, gdy wszystko w jego życiu zaczęło układać się szczęśliwie, odszedł nagle, na zawsze. Miał czterdzieści osiem lat.

Poznaliśmy się, gdy Jacek miał ponad dwa lata, tak jak ja. Nie miałam rodzeństwa, więc w pewnym sensie Jacek zastąpił mi brata. Prawie przez całe dzieciństwo i okres dorastania byliśmy nierozłączni. Myślę, że byliśmy bardzo podobni i dlatego tak bardzo przyglęliśmy się do siebie. Staliśmy się „bratem i siostrą”.

Ojciec Jacka, Igor, był lekarzem i przebywał wtedy w Afryce, gdzie prowadził szpital polowy. Przyjeżdżał do domu tylko na urlopy. Przychodziło wtedy mnóstwo znajomych, a on opowiadał i pokazywał zdjęcia. Pamiętam, jak kiedyś goście popijali trunki ze

Nie miałam rodzeństwa, więc Jacek zastąpił mi brata, grudzień 1962.

sklepów wolnoćlowych i słuchali, jak pan Igor wykonał cesarskie cięcie pod narkozą alkoholową, bo poza whisky nie miał w buszu innych odurzających środków. Gdy goście sobie poszli, my z Jackiem przelaliśmy do buteleczki wszystkie niedopite kieliszki. O gruszkę do lewatywy nie było trudno, znaleźliśmy ją w apteczce Igora i zaczęliśmy postępować zgodnie z posłyszaną instrukcją. Jacek miał iść na pierwszy ogień.

■

m

л

Z Jackiem na nartach, koniec lat sześćdziesiątych.

Kiedy gruszka zawierała już cocktail z whisky, dżinu, koniaku i wina, Jacek kazał mi przysiąc, że nie zrobię mu cesarskiego cięcia ani nic innego, gdy już będzie w narkozie. Poza tym musiałam obiecać, że nie opuszczę go ani na minutę, dopóki się nie obudzi. Do narkozy nie doszło, bo nie dosłyszeliśmy, że alkohol w lewatywie ma być mocno rozcieńczony i Jacek po pierwszej próbie uciekł do łazienki, potwornie wrzeszcząc. Tam dość długo moczył pupę w zimnej wodzie.

Ciśnie mi się do głowy mnóstwo wspólnych wspomnień z wakacji, z obozów narciarskich, ze szkoły i codziennego życia na Wspólnej. Kiedyś, a mieliśmy wtedy dziesięć, a może jedenaście lat, Jacek powiedział, że w przyszłości chciałby mieć dziecko, ale żony nie. To dziwne, ale wtedy przepowiedział swoją przyszłość. Ożenił się ze śliczną dziewczyną, Moniką, gdy miał 23 lata. Urodził się Jaś. Małżeństwo nie układało się i rodzice Jasia się rozstali, gdy ten był jeszcze całkiem mały. Jaś został z ojcem. Nie dlatego, że jego mama była niedobra, utrzymywał z nią stały kontakt, ale dlatego, że był bardziej związany z tatą.

Jacek był wspaniałym ojcem i dobrze wychował swojego syna. Był też niezwykle łagodnym człowiekiem, nie znoszącym przemocy, wegetarianinem o duszy artysty. Pisał wiersze, robił zdjęcia, kochał zwierzęta i ludzi.

Choć był roslym mężczyzną, zawsze staje mi przed oczami chudy chłopaczek z zadartym nosem. Taki był „mój Jacek”.

DlaWlwy

O Wiwie, mojej suczce rasy jagd terier, pisałam mnóstwo razy, także w moich poprzednich książkach. Teraz napiszę dla Wiwy, 124 bo ten pies dał mi więcej niż niejednen człowiek.

Spotkałyśmy się, gdy ja miałam siedem lat, a ona siedem tygodni. W stosunku do gatunkowego stopnia rozwoju byłyśmy mniej więcej w tym samym wieku.

Co to jest miłość? Wielokrotnie starałam się zdefiniować to uczucie i za każdym razem kończyło się fiaskiem. Były takie chwile, gdy wydawało mi się, iż nie jestem zdolna do miłości. Teraz wiem, gdzie robiłam błąd. Moje definicje opierały się nie na własnym doświadczeniu, ale na książkowych wywodach. Dziś wiem, że nie tylko umiem kochać, ale i to, że miłości nauczył mnie nie kto inny, ale moja suczka Wiwa. Dlaczego ona? Bo wtedy, kiedy trafiła w moje objęcia, miałam pęknięte na pół serce, a ona je posklejała.

Rodzice się rozstali. W domu na Wspólnej było pusto i smutno. Za ścianą mieszkał Jacek, ale nie mógł mi zastąpić dawnego poczucia przynależności do czegoś, co wydawało się tak stałe jak to, że po nocy jest dzień — do rodziny w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na dodatek, jak wiele innych dzieci w takich sytuacjach,

miałam poczucie winy. Wydawało mi się, że to ja przyczyniłam się do rozstania rodziców i obecnej trudnej sytuacji mojej mamy. Czułam się nieudacznikiem, kimś niespecjalnie wartym zachodu. Marzyłam o starszym bracie. Wyobrażałam sobie, jak rozmawiałby ze mną i doceniał to, co umiem i wiem. Nie miałam nie tylko brata, ale nawet psa czy kota. Nic. I nagle „nic” zmieniło się we wszystko. Dostałam pierwszego własnego psa.

U przyjaciół moich rodziców oszczeniła się jagd terierka Fuma. Jedno z jej szczeniąt to właśnie moja Wiwa. Psy tej rasy to z reguły „wcielone diabły”. Jeżeli nie wyładują nadmiaru energii na polowaniu, potrafią zatruć życie swoich opiekunów. Ale nie Wiwa. Nigdy nie polowała i nigdy niczego nie zniszczyła, nie uciekła, nie ugryzła nikogo. Aż trudno uwierzyć. Po latach wiem, dlaczego tak było. Na pewno dlatego, że miała dobry charakter, ale i jeszcze z innego powodu — więzi między psem i dzieckiem, tak silnej, jak silna może być tylko miłość.

Poza godzinami, które spędzałam w szkole, byłyśmy z Wiwą nierozłączne. Opowiadałam jej o wszystkim, a ona patrzyła na mnie z podziwem godnym starszego brata. Kiedyś nie bardzo wierzono w telepatię, a ja wiem, że ci, którzy tak mówili, nigdy nie kochali. Doskonale wiedziałam, co Wiwa do mnie „mówi”, a ona rozumiała mnie tak dobrze, że zanim wypowiedziałam słowo, moja myśl już była w jej głowie. Była mi siostrą, przyjaciółką i grzałą do łóżka.

Akurat kończyłam drugą klasę, gdy Wiwa miała zostać mamą. Poród zaczął się wieczorem. Leżałam w łóżku, a obok na kocach, materacykach i prześcieradłach Wiwa i moja mama pełniła funkcję położnej. Czekanie, przysypianie i nagle widzę: „Jest, jest!!! Kazimierz!!!” — krzyknęłam. Nie wiem, skąd wiedziałam, że to piesek, a nie suczka, ale wiedziałam. Oczywiście pierworodny Wi-wuni został Kazimierzem do końca swoich dni.

Wiwa była wspaniałą mamą, a ja niezgorszą mamką. Tak się wczułam w tę rolę, że spróbowałam nawet psiego mleka, aby sprawdzić, czy moi podopieczni smacznie jadają. Zdołamnałyżeczkędoherba-ty trochę Wiwczego mleka i skosztowałam. Wcale dobre. Ledwo szczeniaki wy-wędrowały do swoich docelowych domów, znalazłam na podwórku kocią sierotę. Kłopot w tym, że Wiwa jak większość psów myśliwskich była „psem na koty”. Jedne drzwi zamknij, drugie otwórz. Wszystko po to, aby pies nie dopadł kota. Kot okazał się kotką bardzo mikrych rozmiarów. Sama skóra, kości i pchły. Ale już po kilku dniach dobrobytu zrobił się z niego kociak podobny do czarnego persa. Beba nazwała kotkę w sposób niespecjalnie wyszukany — Kiniusia. Mama do pracy, ja do szkoły, a Beba zostawała na straży bezpieczeństwa Kiniusi. Wiwa tylko czekała, aby wykorzystać moment nieuwagi i szparę w drzwiach. Kiedyś wróciłam ze szkoły, a tu cisza. Nikt nie wita, nikt nie szczeka, Beba śpi, a drzwi między kuchnią a pokojem otwarte. Przeraziłam się i już zaczynałam płakać, gdy zobaczyłam psa i kota śpiące na jednym fotelu. Jak mogłam zwątpić w ciebie, Wiwuniu, przecież wiedziałas, jak zależało mi na małej kotce. Przepraszam.

/

127

Z mamą i Wiwą — poza godzinami, które spędzałam w szkole, byłyśmy z Wiwą nierozłączne, lata licealne.

Wiwa żyła tylko trzynaście lat. Umarła, gdy byłam już studentką weterynarii i miałam lat dwadzieścia, ale do tego czasu wydarzyło się jeszcze bardzo wiele.

Wakacje

Mama miała wspaniałych przyjaciół. Znali się od czasów studenckich mojego ojca, weterynaryjno-zootechniczna brać. Część 128 znajomych kończyła weterynarię, a część zootechnikę i choć „weterynarze” uważali się zawsze za elitę SGGW, w przyjaźni nie miało to znaczenia. Jan i Teresa Drożdżowie byli z „elity”. Mieli dwoje dzieci: Małgosię w moim wieku i Jasia, o rok młodszego. To ich suczka Fumka była mamą mojej Wiwy.

Drożdżowie byli dla mnie wzorem rodziny. Profesor Jan Drożdż, znany na świecie parazytolog, to chodząca uśmiechnięta łagodność i spokój. Jego żona, „ciotka” Teresa, kobieta szalona, o złotym sercu. Każdy nieszczęsny zwierz mógł zawsze liczyć na nią, podobnie zresztą jak każdy nieszczęsny człowiek. Ciocia Teresa była bardzo nerwowa, co demonstrowała, głośno obwieszczając powód zdenerwowania. Miała astmę, która zawsze dopadała ją w takich chwilach. Szukała wtedy inhalatora, wołając głośno: „Gdzie mój alupent!?”.

Jaś i Małgosia mieli dom pełen zwierząt, miłości, śmiechu i krzyków mamy i niezmaconego spokoju taty. Jednak w czasie wakacji, kiedy wkoło kłębiły się własne i cudze dzieci, własne i cudze psy, nawet spokój wujka Janka ulegał zmaconiu. W Oleksówkach

pod Turbaczem wynajmowaliśmy zawsze kilka pokoi u gospodarzy o nazwisku Warmuz. Wieczorem, gdy przychodził czas mycia się w miednicy, zaczynał się istny horror i pokój pływał w wodzie.

Potem był czas dokształcania dzieci. Żadne z nas nie było bibliofilem. W tamtym okresie czytałam tylko „Świerszczyk” i Tytusa, Romka i Atomka. Mamy bolały nad naszą niechęcią do wieszczów i postanowiły to zmienić. Na pierwszy ogień miała pójść Trylogia. Nie znalazło to naszej zbytnej aprobaty, więc mamy postanowiły uatrakcyjnić głośne wieczorne czytanie. Na dużym stole stała duża miednica. W miednicy siedziała po turecku albo moja mama, albo ciotka Teresa, w czapeczce z biustonosza, i czytała „na głosy” Pana Wołodyjowskiego. Wkoło stołu siedziały dzieci i zaśmiewały się, bo lektorka, czytając, nie tylko zmieniała głos, ale także robiła miny adekwatne do czytanego tekstu. Przyznam, że te przedstawienia nie poszły na marne. Po wakacjach coś mi się w głowie przekreśliło i zaczęłam czytać wszystko, co wpadło mi w ręce. Czytałam bez przerwy, nawet nocą pod kołdrą, przy świetle latarki. Tak jakbym chciała nadrobić czas, gdy czytanie nie było moją mocną stroną.

Choroby i tęsknota

Lubiłam chorować, bo zawsze miałam nadzieję, że z tego powodu

■ ■

pojawi się mój ojciec — Ciuńciel. Tęskniłam za nim tak bardzo, 130 że przez wszystkie lata, gdy szłam do szkoły, wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Codziennie. Nadchodził z przeciwka, podbiegał, brał na ręce i mówił: „Jaka z ciebie ładna dziewczyna”.

Pierwszy raz trafiłam do szpitala, gdy miałam siedem lat. Zachorowałam na odmiedniczkowe zapalenie nerek. Leżałam w swoim wnęko-pokoiku, a w kuchni mama, Beba i pani doktor naradzały się, jak mi powiedzieć, że muszę iść do szpitala. Nie spodziewały się, że podłuchuję i aż piszczę z radości. Ja chciałam do szpitala!

Położono mnie w dziecięcym szpitalu na ul. Niekłańskiej. Temperatura mi spadła i czułam się całkiem nieźle, a wokół działo się tyle ciekawych rzeczy. Zostałam asystentką pielęgniarek.

Bardzo ceniły sobie moją pomoc przy malutkich dzieciach. Karmiłam je z butelki, przewijałam, pocieszałam przy pobieraniu krwi. Z czasem czułam się prawie jak etatowy pracownik. Pielęgniarki wołały mnie co chwilę. Starsza salowa, którą mama spotkała na korytarzu, zapytała: „Pani do Dorotki?”. Mama odpowiedziała: „Tak”, a salowa: „Pani, co to za dzieciak, ona niczego się nie boi, d... myje, nawet rzygi sprząta”.

Na Niekłańskiej byłam jeszcze kilka razy z powodu nerek i raz na chirurgii, gdzie wycięto mi wyrostek robaczkowy. Zupełnie nie bałam się operacji, a kiedy obudziłam się po narkozie, zobaczyłam dużo dzieci i Przemka. Miałam wtedy dziesięć, a może jedenaste lat i Przemek był moją pierwszą szpitalną miłością. Starszy może o dwa lata — nie bardzo wiedziałam, czy się w nim kocham, czy chcę, aby został moim bratem. Większość dzieci przeszła operacje przepuklin i wyrostków, więc szybko wracaliśmy do zdrowia. Roznosiła nas energia, a nie pozwalano nam biegać. Zabierano nam spodnie od piżam, abyśmy siedzieli w łózkach, ale i na to był sposób. Robiliśmy sobie spódniczki z tetrowych pieluch i dalej jazda wozic się na wózkach po korytarzu. Co jakiś czas byliśmy przepędzani przez pielęgniarki, ale już za chwilę zaczynaliśmy od nowa.

W połowie podstawówki zaczęliśmy z Jackiem wyjeżdżać na obozy narciarskie z Warszawskim Klubem Narciarskim (WKN). To wtedy „zaliczyłam” kilka górskich szpitali. Naj-fajniej było w Dusznikach. Nie pamiętam, czy trafiłam tam z powodu złamania nogi, żeber czy ręki.

Z Jackiem na obozie narciarskim, okres szkoły podstawowej.

■■■■■

W piątej klasie szkoły podstawowej, ja w środkowym rzędzie, trzecia od lewej, z kucykami.

K

W piątej klasie szkoły podstawowej bawiliśmy się w taterników. Na wysokości pierwszego piętra przechodziłam po gzymsie z jednego okna do drugiego nad betonowym tarasem. Asekuracja w postaci kolegów i koleżanek zawiodła. Spadłam. Uderzyłam głową o beton, ale nie straciłam przytomności. Akurat był dzwonek na lekcję, miał się zacząć rosyjski, więc choć trochę ogłuszona, chciałam wejść na schody. Na lekcję już nie dotarłam, straciłam przytomność. Ocknęłam się, gdy ludzie w białych fartuchach świecili mi latarką w oczy i ostukiwali mnie małutkimi młoteczkami. Potem prześwietlili mi głowę i stwierdzili, że mam pękniętą podstawę czaszki. Lekarz tłumaczył mojej zapłakanej mamie, że nie powinnam zostawać w szpitalu, bo panuje w nim odra. Odra plus ciężkie wstrząśnienie mózgu mogą być zbyt dużym wyzwaniem dla mojego organizmu. Mama została dokładnie poinstruowana, co mi wolno, a czego nie. Miałam przez miesiąc leżeć płasko, bez poduszki, i nie wolno mi było wstawać nawet do toalety. Zabroniono mi czytać, oglądać telewizję i jeść ciężkostrawne rzeczy, tylko ohydne zupki i kleiki.

Zawieziono mnie do domu i przez pierwszy tydzień Beba z mamą nie odstępowały mnie ani na krok w dzień i w nocy. Z dnia na dzień czułam się coraz lepiej i za zgodą lekarza zaczęli odwiedzać mnie szkolni koledzy i koleżanki. Byli bardzo grzeczni. Przejęci moim wypadkiem, czuli się trochę winni i chcieli teraz wypaść jak najlepiej. W związku z tym mama i babcia zaczęły wykorzystywać ich obecność do załatwiania własnych spraw poza domem, takich jak na przykład zakupy. Poza tym właśnie wtedy moja mama kończyła studia na Wydziale Ogrodniczym SGGW i musiała czasem zejść ze stanowiska strażnika przy poturbowanej alpinistce. Były to wspaniałe chwile wytchnienia. Muzyka na cały regulator, skoki i zabawy, przemycona przez koleżanki czekolada. Podczas jednej z takich uczt wpadła mama. Awantura na cztery fajerki i wizyta w szpitalu. Okazało się, że moja głowa zrosła się w dwa tygodnie

i nic z niej nie wypadło podczas szalonych skoków z czekoladą w zębach. Byłam zdrowa i mogłam wracać do szkoły.

Moje możliwości regeneracyjne przydają mi się do dziś. To, co u innych goi się dziesięć dni, u mnie wraca do normy w ciągu pięciu.

Pomimo usilnych starań zwabienia Ciuńciela chorobami do spotkania nie doszło. Pozostawały marzenia. Warto mieć marzenia. Moje zawsze w końcu się ziszczają, choć nieraz całkiem nieoczekiwanie. Tak też było i w tym przypadku, tyle że nie z powodu choroby. Ale na to musiałam poczekać jeszcze kilka lat i wiedziałam, że muszę się z tym pogodzić.

Pierwsze suknie

W karnawale w naszej podstawówce organizowano bale przebierańców. Każdy chłopiec chciał być Winnetou albo kowbojem, a każda dziewczynka chciała być księżniczką. Ja też. Niestety mama nie podzielała mojego zachwytu koronkowymi sukniami. Nie zapomnę balu, gdy zamiast królowny zrobiła ze mnie pomidorka. Czułam się beznadziejnie. Miałam zielone rajstopy, zieloną bluzeczkę, a na głowie wielki czerwony balon z krepiny. Na dodatek dwa zielone, krepinowe liście na ramionach. Wyglądałam jak debil albo jak pomidor. Kiedy wkoło przechadzały się Cyganki i Śpiące Królowny, czułam się jeszcze gorzej. Wciąż miałam jednak nadzieję na królewski strój.

Zbliżała się Pierwsza Komunia Święta. Im bliżej było do maja, tym bardziej stawałam się nerwowa. Głównie z powodu włosów. Nie chciały rosnąć szybciej i nadzieja na loki malała każdego dnia. Nadzieja zgasła całkiem, gdy mama rozpakowała paczkę od wujka Stasia z Londynu. W paczce była komunijna sukienka. Biała, gładka jak prześcieradło, nawet śladu koronki, a na dodatek nie do ziemi, tylko do kolan. Za jedyną ozdobę służyły dwa małe kwiatki i wstążka w pasie. I tym razem nie zostałam księżniczką.

Wydawało mi się, że dorośli „mają lepiej”. Ubierają się, jak chcą, jedzą, co chcą, i chodzą spać, kiedy chcą. Marzyłam, że gdy dorosnę, w ogóle zarzucę spanie, bo to strata czasu. Będę pić tylko wodę sodową z sokiem (coca-coli jeszcze w Polsce nie było), jeść czekoladę i

malować oczy, usta i paznokcie. Poza tym miałam zamiar nosić koronkowe kreacje i ogromne kapelusze.

Po bardzo wielu latach, kiedy pisałam wierszyki dla swojej malutkiej córeczki Marty, napisałam o tym pragnieniu sprzed lat:

Wiosną budzą się księżniczki. Wiosną mają piękną duszę. Ja, choć znam medyczne sztuczki, też księżniczką zostać muszę. Choć na chwilę w blasku stanąć i odbierać hołdy świata, a na głowie mieć koronę
Z ojcem, w sukience komunijnej
,. , j i • ^ r — była biała, stadka jak prześcieradło,
i sukienkę całą w kwiatach. ■ % . ,•■
Y " ani siadu ^oron/ji.

Dziś w ogóle się nie maluję, nie przepadam za czekoladą i wodą z sokiem, za to uwielbiam spać. Nie mam ani jednej koronkowej sukni, ani kapelusza, a mimo to czasem czuję się „księżniczką”.

Hoffmanówka

Hoffmanówka nazywaliśmy nasze liceum. Przed wojną IX LO im. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej było szkołą dla dziewcząt. Przetrwowało jeszcze kilka lat po wojnie jako żeńskie liceum. Wtedy jego uczennicą była Zofia Fersterówna — moja mama. Kiedy w 1972 roku ja przekroczyłam próg szkoły, pracowała w niej jeszcze pani profesor Gutowska, która pamiętała Zośkę. Zapomnieć o niej było trudno.

To moja mama wpadła na pomysł, jak przywitać nauczycielkę rosyjskiego. Dziewczyny ustawiały na ławkach piramidę z krzesel, a zwieńczała ją siedząca koleżanka, która zgodziła się pełnić rolę klasowego kozła ofiarnego. W momencie gdy rusycystka otwierała drzwi, uczennice, krzycząc „prignut' cara z prastoła!”, wyciągały krzesło u podstawy piramidy i całą konstrukcja wraz z nieszczęsnym „carem” waliła się z hukiem na podłogę. To opowiedziała mi sama mama. Ona też opracowała metodę legalnego opuszczania najnudniejszych lekcji. Po wojnie szkoła mieściła się w dość dużej kamienicy, niecałkiem dostosowanej do funkcji szkolnych. Małżeństwo woźnych, państwo Wronowie, mieszkali w tym samym budynku. W tamtych czasach nie było pralek, a do prania ręcznego poza mydłem i wodą Na wycieczce w Toruniu, okres liceum.

używało się tary. Praniu na tarze towarzyszył charakterystyczny dźwięk, przypominający turlanie po podłodze kanciastego (o przekroju wieloboku) ołówka lub kredki. Gdy zaczynała się lekcja, jedna z dziewczyn zaczynała stopą turlać ołówek po podłodze, w tę i z powrotem. Nauczycielka pytała: „Co to za hałas?”. „To Wro-nowa robi pranie” — odpowiadały uczennice. „Niech no któraś pójdzie powiedzieć Wronowej, że podczas lekcji się nie pierze”. No i któraś szła. Na jakiś czas robiło się cicho, a potem wszystko zaczynało się od początku i wychodziła następna uczennica. Wro-nowa była kobietą z charakterem i kiedy nauczycielki zwracały jej uwagę, by nie prała w czasie lekcji, odpowiadała, że będzie prała, kiedy zechce. Dzięki temu była osobą bardzo cenioną przez uczennice.

Moja Hoffmanówka mieściła się już w innym, nowym budynku; jest tam do dziś — przy ulicy Emilii Plater, vis a vis kościoła

Koledzy z Hoffmanówki (od lewej Piotr Wilkoń) — tworzyliśmy bardzo silną grupę młodych idealistów, co to świat będą zmieniać.

Świętej Barbary. Była to moja ukochana szkoła. Miałam wielkie szczęście, że trafiłam właśnie tam, gdzie uczyli wspaniali nauczyciele. Szkołą kierował wspaniały dyrektor, pan prof. Wacław Wawrzyniak. Dziś wiem, jak dużo tej szkole zawdzięczam. Myślę nawet, że gdyby nie pani profesor Holcerowa — nasza polonistka, ta książka mogłaby wcale nie powstać.

Prawie wszyscy z naszego podwórka trafili do tej samej szkoły. Jacek poszedł do klasy o profilu matematycznym, ja do humanistycznej. Nasza klasa była wspaniała. Tworzyliśmy bardzo silną grupę młodych idealistów, co to świat będą zmieniać. Zostałam nazwana

Mrówką, Mrówą, Mróweczką, i do dziś, gdy dzwoni do mnie Piotrek Wilkoń, kolega z klasy, syn znanego plastyka Józefa Wilkonia, w słuchawce słyszę: „Cześć, Mrówa”. Siedziałam z nim w jednej ławce. Bynajmniej powodem ochrzczenia mnie tym imieniem nie była przesadna pracowitość, lecz głębokie zainteresowanie wszystkim, co się rusza, nawet malutką mrówką.

W czasach szkoły średniej stworzyliśmy grupę „towarzysko--rozrywkową”. Chodziliśmy do różnych szkół, ale większość z nas mieszkała w śródmieściu Warszawy. Co nas łączyło? Wszyscy chcieliśmy zrobić coś wielkiego, no i czasem się udawało.

Kiedyś po lekcjach siedzieliśmy u kolegi Marcina Frybesa (ucznia Żmichowskiej) i nudziliśmy się, ale niedługo. Telefon, gazeta z ogłoszeniami i jest pomysł. Ofiarą padł jeden z nieobecnych kolegów o nazwisku Ponceleusz. Dzwoniliśmy pod kolejne numery z rubryki „Kupię, sprzedam” i na dobie targu umawialiśmy się na % siedemnastą w mieszkaniu Ponceleusza. Przedmiotem transakcji było ze sto najróżniejszych rzeczy, m.in.: butle gazowe, futro z norek, samochód syrena, suknia ślubna, zastawa stołowa. Po każdym umówieniu zaśmiewaliśmy się do łez. Pod koniec trudno nam już było zachować powagę podczas rozmowy z potencjalnym nabywcą czy sprzedawcą, a poza tym zbliżała się siedemnasta i czas było kończyć. Ponceleusz mieszkał niedaleko.

Zakradliśmy się chyłkiem pod jego dom i to, co zobaczyliśmy, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Pod kamienicą kłębił się dziki tłum interesantów i jak pod wieżą Babel każdy mówił o czym innym. Uciekliśmy do swoich domów. Usiadłam jak trusia nad lekcjami. Zadzwoił telefon: „Mrówa! Była już u ciebie Poncele-uszowa?”. „Nie” — odpowiedziałam. „To wsadź kawałek papieru w dzwonek do drzwi, bo zaraz będzie!!! U mnie już była i o mała nie spaliła mieszkania, taki ogień z niej bucha”. Na szczęście mama kolegi do naszego domu nie doszła. Pewnie nie знаła mojego adresu. Biedna pani Ponceleuszowa. Mam nadzieję, że dziś śmieje się z tego wspomnienia. W każdym razie przepraszam za nas wszystkich.

W owym czasie „Naród budował stolicę” w czynie społecznym. Nasza szkoła pomagała budować ogród botaniczny w Powsinie

Hoffmanówka — była to moja ukochana szkoła.

pod Warszawą. Przyszła wiosna i fajnie było grabić grządki na świeżym powietrzu. Nawet społecznie. Chłopaki zakładały się, kto przepłynie zapyziały staw pełen liści i błota, a ja postanowiłam poświęcić czas pracom nie społecznym, ale zarobkowym. Miałam dwie asystentki, Iwonę i Marzenę. „Każdy, kto chce zobaczyć, jak Mrówa połyka dżdżownicę, płaci pięć złotych” — ogłosiły dziewczyny. Ja w tym czasie zbierałam różowe rosówki i przygotowywałam je do pokazu. Dokładnie wymyte wyglądały niezwykle „apetycznie”. Zebrało się pół szkoły. Brakowało tylko „orkiestra tusz!”. Pierwsza dżdżownica była roślina żywotna. Podniosłam ją w palcach do góry, aby wszyscy widzieli, potem wolniutko zaczęłam opuszczać rękę w kierunku otwartych ust. Powiało grozą. Kilka panienek zemdlało i zapadła absolutna cisza.

Mój stosunek do świata żywego zawsze był zdrowy. Brzydziłam się tylko tym, co brudne, czyli obrzydliwe. Różowe rosówki

nie tylko nie wzbudzały mojego obrzydzenia, ale martwiłam się, czy aby nie zrobię im krzywdy i czy szybko po pokazie zwrócę je naturze. Kiedy rosówka znalazła się już prawie w ustach, zwijalam ją w kulkę i szybko połykałam. Potem z uśmiechem udawałam, że żuję. Dla poprawienia efektu pomlaskałam chwilę, a tłum albo ryczał, albo mdał. Nie mogło to nie zwrócić uwagi kadry nauczycielskiej. Przybiegła nawet pani profesor, zastępca dyrektora. Tymczasem zwróciłam wolność dżdżownicy. Wyglądała wcale dobrze i nadal była żywotna. Niestety, zrobiła się z tego niezła awantura. Zarobek diabli wzięli, a raczej każdy na rozkaz pani profesor odebrał swojego piątaka. I nie ma się co dziwić. W PRL-u nie popierano prywatnej inicjatywy.

Papierosy i holehcje dziadka Piotra

Ten paskudny nałóg prześladowuje mnie do dziś. Nie winię za to mody na palenie, która zapanowała w szkole mniej więcej w dru-144 giej klasie liceum, choć pewnie trochę się do tego przyczyniła. Palenie było w „dobrym tonie” i dostarczało wielu emocji. Oczywiście było w szkole zabronione. Paliło się po kryjomu w szatni albo w toalecie. Nauczyciele i woźni robili naloty na palaczy. Najbardziej zajadłym tropicielem dymu tytoniowego była pani profesor Kania. Uczyla historii, a w przerwach ściagała palaczy. Zamykałyśmy się z koleżankami w tak zwanym kiblu po trzy lub cztery i kopciliśmy na całego. Kiedy do toalety wpadała pani profesor i podglądała od dołu, licząc po ilości nóg, ile osób jest w kabynie, jedna z nas stawała w pozycji charakterystycznej dla miejsca, a reszta wskakiwała na muszlę klozetową. Jednak nauczycielka nie dawała się zmylić. Czekala do dzwonka i trzeba było wyjść. Potem wysłuchiwałyśmy długich kazań, które zawsze kończyły się „będziecie matkami”. Wtedy o byciu matkami nawet nam się nie śniło, więc nie robiło to na nas większego wrażenia.

Namiętym palaczem tytoniu był dziadziś Piotr Sumiński. W tamtym czasie polskie papierosy przypominały świece dymne, a dziadek miał zawsze zagraniczne, luksusowe „fajki”. Utrzymywał

r

145

ożywione kontakty z całym przyrodniczym i łowieckim światem, miał mnóstwo znajomych na całym świecie, a w konsekwencji zagraniczne papierosy.

Byłam częstym gościem w domu dziadków na Saskiej Kępie. Czasem podkładałam dziadziowi pall maila lub camela i wędrowałam z papierosem do toalety. Za którymś razem dziadek zaraz po mnie wszedł do zadymionego „ustronia”. Wypadł tak szybko, jak wszedł, krzyząc: „Paliłaś!”. Ze skrucną przytaknąłam. „Moja wnuczka pali w toalecie! Siadaj przy stole i pal, jak chcesz”. Od tamtej pory miałam dziadziowe przyzwolenie na papierosy. Moja mama o mało go za to nie udusiła, ale nic nie mogła poradzić. Puszczaliśmy z dziadziem coraz to nowe zagraniczne dymki i prowadziliśmy długie rozmowy, prawie zawsze związane ze zwierzętami.

Dziadziś Piotr, poza papierosami, kolekcjonował jeszcze trofea łowieckie. Był myśliwym i nikogo nie dziwiło, że wszędzie wisiły poroża i skóry, ale miał też kolekcję, o jakiej nie śniło się innym myśliwym, a nawet myślicielom. Przypuszczam, że była to jedyna w Europie, a może i na świecie kolekcja kości penal-nych. A co to takiego? — zapyta przeciętny człowiek, bo i skąd

Dziadziś Piotr kolekcjonował trofea łowieckie,
Wszędzie wisiły poroża i skóry, byłam częstym
gościem na Saskiej Kępie, 1962.

miałby wiedzieć o takiej kości. Dziadziś z całą pewnością nie był przeciętny i nie tylko wiedział, ale i kolekcjonował. Kością taką dysponują samce drapieżników z rodziny psowatych, kotowatych i łasicowatych. Ma ją każdy pies, każdy mruzek i każdy tygrys. Tak naprawdę to jedyną jej rolą jest sprawianie kłopotów sam-

e

Im
com chorującym na kamice moczową. Kość jak rurka otacza dalszy » odcinek cewki moczowej. Jeśli przez cewkę przeciska się kamyk « moczowy, zazwyczaj utyka na wysokości kości, bo tu ściany cewki ~

■o

nie mogą się rozciągnąć. Ogranicza je kość i niedrożność gotowa. « Na szczęście w warunkach naturalnych, u dzikich zwierząt, takie sytuacje, jeśli w ogóle się zdarzają, to tak rzadko, że nikt o nich nie słyszał. Dzikie zwierzęta odżywiają się zgodnie z przepisami Matki
£ Natury i kamica im niegroźna. §■

Dziadziuś był znawcą nie tylko anatomii, ale przede wszystkim zachowań dzikich zwierząt. Rozmawialiśmy o nich, paląc papierosy — 147 rosy, bynajmniej nie używając jako cygarniczek kości z jego kolekcji.

W tamtych czasach wiedza na temat szkodliwości palenia była w powiśkach. Nawet w aptece sprzedawano papierosy — astmo-sany. Wierzono, że leczą astmę. Poza tym „kto pije i pali, ten nie ma robali”, „nie pij, nie pal, umrzesz zdrowszy” i jeszcze kilka innych powiedzonek rozgrzeszało palaczy. Żałuję, że tak niewinnie dałam się wciągnąć, bo to jeden z groźniejszych nałogów. Na pozór nic takiego, i to właśnie jest najgorsze. Och, ileż razy próbowałam przestać palić. Jestem doświadczonym „rzucaczem palenia”. Najdłużej udało mi się wytrwać prawie dwa lata. Byłam wtedy w ciąży, a potem karmiłam oseska płci żeńskiej o imieniu Marta. Rzucałam na pół roku, trzy miesiące, rok z hakiem, i zawsze kończyło się zwycięstwem przeklętego zwitka papieru z tytoniowym nadzieniem. Mam nadzieję, że gdy tę książkę ujrzą pierwsi czytelnicy, ja będę zwycięzcą.

Spotkanie z Cluncielm

TYI

Moja droga do szkoły nie zmieniła się pomimo zmiany podstawówki na liceum. Dosłownie i w przenośni. Obie szkoły mieściły 148 się w bliźniaczych budynkach na Emilii Plater, dzielił je tylko płot. Mniej więcej na wysokości kościoła Świętej Barbary zawsze powracała myśl o spotkaniu z ojcem. Tak bardzo chciałam usłyszeć od niego, że jestem taka, jak on by chciał, abym była.

Chyba pod koniec trzeciej klasy liceum nie wytrzymałam i poprosiłam babcię Irenę o adres ojca. Napisałam list. To był najtrudniejszy sprawdzian w moim życiu. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Czy pisać „tato”? Nigdy tak go nie nazywałam. Z kolei czy wypada, aby prawie dorosła osoba, za jaką się uważałam, pisała „Ciuncielu”? O czym pisać? Minęło tyle lat, tyle się zmieniło i nie wiedziałam, co jest ważne, a co nie. W końcu „wypociłam” list pełen niezdarnych uników i zawitych opowieści. Tym razem nie czekałam długo. W liście od ojca, który niebawem nadszedł, była zapowiedź rychłego spotkania. Poza tym, że Edward Sumiński jest moim prawdziwym ojcem, jest jeszcze ojcem chrzestnym swego siostrzeńca, syna Mii—Alika. Tak naprawdę Alik ma na imię Aleksander i dziś nazywany jest Alkiem. Wtedy jednak miał dziewięć lat i szykował się do Pierwszej Komunii Świętej. Właśnie podczas

tej uroczystości miałam po latach spotkać się z ojcem i zaraz potem pojechać do niego.

Mieszkał wtedy w Wielkopolsce, w miejscowości Jezioro Wielkie.

Nigdy potem nie szykowałam się tak do żadnego spotkania. Ciągłe znajdowałam w sobie ogrom niedoskonałości. Bałam się, że nie spodoba mi się na tyle, aby mógł być ze mnie dumny. Chciałam być piękna i mądra, a ani jedno, ani drugie, moim zdaniem, nie wychodziło. W co się ubrać? Co mówić? Kiedy ma się szesnaście lat, tak trudno jest podołać wyzwaniom życia. Wprawdzie potem też bywa trudno, ale tamte dni przerosły mnie o parę tęgich głów. Kiedy nadszedł „ten dzień”, dostałam anginy i temperatura skoczyła mi do 39 stopni. Nie, nie zrejterowałam. Mama złapała taksówkę i razem z torbą i temperaturą wysłała mnie pod kościół, w którym odbywała się Alikowa uroczystość. Padał deszcz. Taksówkarz zatrzymał się pod bramą kościoła. Wysiadłam. Nabożeństwo już się zaczęło, na dziedzińcu było pusto. Nie miałam tyle odwagi, aby wejść do środka. Bałam się, że On pierwszy mnie zobaczy i wszyscy zaczną się na nas gapić, a ja nie miałam pojęcia, jak mam się przywitać. Stałam więc na deszczu i czekałam, aż ludzie zaczną wychodzić. I nagle poczułam, że ktoś mnie obejmuje. To był mój najukochańszy Ciunciel. Nic nie musiałam mówić, a i tak było cudownie. Angina minęła tak samo nagle, jak się pojawiła.

Nic nie pamiętam z uroczystego obiadu z okazji Alikowego święta. Pamiętam za to, jak potem jechaliśmy z ojcem pociągiem do Poznania. Nie było tłoku. Byliśmy sami w

przedziale. Przez całą podróż nie odezwaliśmy się ani słowem. Patrzyliśmy na siebie i oboje ryczeliśmy jak bobry. Czułam się wtedy jak ktoś, komu po długim wyroku zwrócono prawa obywatelskie. Przez cały miesiąc pobytu u ojca musiałam być bardzo rozemocjonowana, bo dziś niewiele z tego pamiętam. Najbardziej utkwily mi w pamięci żubry.

Zubroń — krzyżówka żubra z krową. Miałam szczęście być świadkiem narodzin pierwszego cielaka — żubronia.

Ojciec pracował wtedy nad krzyżówką żubra z krową. Nie był pionierem, bo w przeszłości uzyskano już taki przychówek i nowy gatunek nazwano „żubroniem”. Wiadomo jednak było, że dotąd nie udało się uzyskać płodnego potomstwa w linii męskiej z mariażu żubra i krowy. Dla ojca było to prawdziwe wyzwanie. Miał kilka potężnych żubrów byków. Trzeba było wypracować metodę pobierania nasienia od żubra, aby następnie inseminować krowy. Dzięki temu to znacznie ekonomiczniej szy sposób, bo jedną porcją nasienia można zacielić wiele krów, a po kryciu naturalnym tylko jedną. I tu Edward Sumiński stanął na wysokości zadania. Potrafił tak obłaskawić swoje żubry, że godziły się nawet na tak dużą ingerencję w swoje prywatne życie. Miałam wtedy szczęście być świadkiem narodzin pierwszego cielaka — żubronia. Urodziła się jałoweczka. Mała żubrońka dostała imię Łekna.

Z czasem żubroni przybywało i udało się to, co nie udało się innym — wyhodować płodne żubronie — byki. Ojciec krzyżował żu-bronie z żubrem i uzyskiwał żubroidy. Żubroid wygląda jak żubr, ale zazwyczaj jest większy od swojego dzikiego protoplasty. Może także być inaczej umaszczoney.

Praca nad żubroniem rozpoczęła się w czasach głębokiej komuny. Kiedy szczęśliwie Polska stała się Rzeczpospolitą zupełnie nieludową, okazało się, w tym przypadku nieszczęśliwie, że nikt nie jest zainteresowany prowadzeniem dalszych prac badawczych. Dziś wiele placówek badawczych chce znów uzyskać tę niezwykłą krzyżówkę. Mam nadzieję, że doświadczenia ojca nie pójdą na marne.

Wróćmy jednak do początków pracy mojego ojca w Jeziorach Wielkich. Aby zaprzyjaźnić się z żubrami, ojciec sam wykonywał wszystkie prace z nimi związane. Ogromne byki patrzyły przyjaznym okiem na swojego karmiciela, ale czasem zachowywały się jak słoń w składzie porcelany. Wybiegi żubrów otoczone były wysokim na ponad dwa metry płotem z metalowych, niezwykle grubych prętów. Kiedy bykom przynoszono siano, pędziły do ogrodzenia, aby od razu rzucić się najedzenie. Pewnego razu jedna chwila nieuwagi i róg żubra lekko stuknął w metalowy pręt, ucinając ojcu kciuk. W takiej sytuacji każdy przeciętny człowiek popędziłby do lekarza z nadzieją na przyszyście utraconej części ciała lub choćby tylko

Aby zaprzyjaźnić się z żubrami, ojciec sam wykonywał wszystkie prace z nimi związane, lata dziewięćdziesiąte.

po to, aby zatamować krwawienie, ale nie mój ojciec. On zawiązał kikut chustką do nosa i dokończył karmienie żubrów. Potem znalazł swój palec i wrzucił go do formaliny. Chyba do dziś przechowuje ten niezwykły preparat. Trzyma go jako dowód rzeczowy, że nie tylko jaszczurki mają duże zdolności regeneracyjne, ale i Edward Sumiński, gdyż po niedługim czasie ucięty kciuk mu odrósł. Już nie tak zgrabny jak poprzedni, ale spełnia swoje zadanie. Czasem myślę, że mój ojciec jest kosmitą, a jeśli nie, to przynajmniej niezwykłym człowiekoidem.

Moja pierwsza wizyta w Jeziorach Wielkich zapoczątkowała wiele następnych wizyt i naszą wielką przyjaźń. Może właśnie dzięki temu, że mieliśmy długą przerwę w relacjach córka—ojciec, mogliśmy się zaprzyjaźnić już jako dwoje dorosłych ludzi. Dziś ojciec ma 75 lat i jest bardzo chory. Mieszka daleko ode mnie, więc widzimy się dość rzadko, ale nie ma dnia, abyśmy nie rozmawiali przez telefon. O czym? O wszystkim, ale przede wszystkim o zwierzętach. Nie wiem, jak to możliwe, ale ojciec zna wszystkie tajniki świata żywego. Siedzi

tam sobie gdzieś na końcu świata w „zapadłej dziurze”, a wie, że ktoś w Kambodży odkrył nowy gatunek żabki drzewnej. Chyba naprawdę jest kosmitą. Zawsze kiedy trafia do mnie jakiś nieudomowiony, a potrzebujący pomocy brat mniejszy, dzwonię do ojca i słyszę: „Nietoperz! Jeśli ma cztery poprzeczne fałdy w uchu, to nocek rudy. Wiesz, że nocków jest wiele, na przykład wąsatek albo orzęsiony. Obejrzyj dokładnie, czy nie pokaleczony, i jeśli zdrowy, to wypuść dopiero pół godziny po zachodzie słońca. Uważaj. Choć malutki, to gryzie mocno”. Nie ma znaczenia, czy to ssak, gad, owad. Ojciec wie wszystko o jego życiu.

Szkolne miłości i matura

Pierwsze prywatki i pierwsze pocałunki. Co tam pocałunki. Kiedy poszłam do kina z Markiem, a on wziął mnie za rękę, myślałam, że umrę. Zupełnie nie wiedziałam, o czym jest film, a serce o mało mi nie wyskoczyło i nie uleciało gdzieś w przestworza. Moje kilkunastoletnie serce było bardzo kochliwe. Zakochiwałam się mniej więcej raz w tygodniu. Obiekty moich uczuć były bardzo różne. Od wysokich blondynów po niskich brunetów. Ze swoich sercowych rozterek zwierzałam się tylko Bebie i jej przyjaciółce, pani Ali. Mama nie nadawała się do takich rozmów. Beba umiała pocieszyć, kiedy rozpaczałam z powodu zawodu miłosnego. Nie zapomnę, jak kiedyś łkałam w jej rękaw dla jakiegoś Stasia lub Wojtka, a ona powiedziała: „Płacz, Dudeczku, płacz, za jedną twoją łzę wiele kobiet oddałoby pół życia”. Wtedy nie rozumiałam, o czym mówi, ale dziś już wiem. Tamte łzy miały wartość diamentów.

Pani Ala — Eulalia Weldon, rosyjska arystokratka i najwspanialszy przyjaciel, dodawała mi otuchy i mówiła, zaciągając z rosyjska: „Dudeniczku, ty nie słuchaj, co tam matka i babka gadają «uczitsia, uczitsia», w życiu bawić, bawić się nada”. A ja robiłam jedno i drugie. Z równym zapałem studiowałam szkolne książki i ruszałam w tany. Pani Ala udzielała mi wielu życiowych rad,

ale jedną z nich zapamiętałam na zawsze: „Pamiętaj, Dudeniczku, mężczyzna nie musi być piękny, ale musi być charmant”. Niestety, w obecnych czasach szarmanccy panowie to rzadkość.

Matura zdana! Pamiętam, że ostatni maturalny dzień był bardzo gorący. Wróciliśmy z Jackiem do domu, a Beba przywitała nas truskawkami ze śmietaną prosto z lodówki. Siedzieliśmy na balkonie i jedliśmy zimne, słodkie truskawy ze śmietaną. Byliśmy bardzo szczęśliwi i bardzo dorośli.

Za kilka dni miał się odbyć bal maturalny. W latach siedemdziesiątych bale maturalne odbywały się w szkolnej sali gimnastycznej, a kreacje kombinowane były domowym sposobem. Mama stanęła na wysokości zadania i spreprowała mi strój ze wszech miar balowy. Batystową koszulę nocną przerobiła na balową bluzkę, a ze swojej długiej sukienki uszyła spódnicę długą do ziemi, o ton ciemniejszą niż bluzka, w jasnośliwkowym kolorze. Czułam się w tym stroju znacznie lepiej niż przebrana za pomidora. Ponieważ byliśmy już „dorośli”, wolno nam było palić papierosy i nauczyciele przymknęli oko na napoje wyskokowe, które chłopcy ochoczo nalewali do szklanek.

Zabawa była wspaniała, tańczyliśmy do upadłego, o co nie było trudno, bo nie byliśmy zbyt wprawni w picie wina, szampana i innych mocniejszych trunków. Bal skończył się akcją ratunkową rozpoczętą przez panią profesor Holcerową. Dzwoniła do rodziców, aby zgłaszali się po odbiór swoich sponiewieranych dorosłością dzieci. Moja mama była oburzona, a my po prostu upiliśmy się jak żółtodzioby. Następnego dnia mama z bardzo poważną miną zawlokła mnie do kościoła Świętej Barbary i kazała powtarzać przed ołtarzem: „Przysięgam przed Bogiem, że nigdy więcej nie wezmę alkoholu do ust”. A ja powtórzyłam: „Przysięgam przed Bogiem, że nigdy więcej nie upiję się tak jak wczoraj”.

Pani Ala — prawdziwa dama

Nazywałam ją panią Aluszą. Naprawdę nazywała się Eulalia Weldon i nazwisko to nosiła po mężu, polskim oficerze, który zginął 156 w Katyniu. Była Rosjanką. Niestety, nie pamiętam

jej panieńskiego nazwiska, a pochodziła z bardzo zacnej rodziny, której udało się uciec do Polski przed rzezią sowieckiej rewolucji i osiedlić w Grodnie. Tu pani Ala poznała się z moją Bebą, gdy były małymi dziewczynkami. Przyjaźń ta przetrwała do końca życia pani Ali. Zmarła kilka lat wcześniej niż moja babcia. Bardzo mi jej brakuje. Brakuje mi ich obu. W młodości pani Ala była bardzo piękna i jakby to dziś powiedziano, bardzo „rozrywkowa”. Uwielbiała się bawić i flirtować. Świetnie się ubierała i nawet w starszym wieku wyglądała niczym z żurnala, bardzo zadbana. Jej dominującą cechą była miłość do świata żywego. Kochała zwierzęta z ogromnym oddaniem. Przygarniała wszystkie nieszczęsne psy, dokarmiła piwniczne koty. Mieszkała na ulicy Solec przy moście Poniatowskiego. Pod mostem, jak to pod mostem, zawsze znalazł się ktoś potrzebujący pomocy. Kiedyś w mroźny dzień natknęła się na wpół zamrożonego psa. Był tak zziębnięty, że czym prędzej zawlokła go do pobliskiego baru, aby napoić go ciepłą zupą mleczną. Robiła to dosłownie, wlewając zupę łyżeczką do psiej paszczy. Pies jadł ze smakiem, a gdy już doszedł do siebie, ugryzł ją i uciekł. „Ot, sobaczka” — skwitowała dobrodusznie pani Ala, bez cienia pretensji. Pani Alusza mieszkała z kundelkiem Ciapkiem o bardzo pokaleczonej przez ludzi duszy. Ciapek miewał napady lęków i złego humoru. Wtedy kąsał ją dość dotkliwie. Miała więc pani Alusza doświadczenie w tym względzie.

Pani Ala była prawosławna. W każdą niedzielę po wizycie w cerkwi przychodziła do nas na obiad i poplotkować z Bebą. Po stokroć wałkowały zdarzenia z przeszłości. Spierały się, kto kiedy miał rację, kto postąpił źle, a kto dobrze. Najczęściej omawiały romanse i skandale. Pani Ala zawsze stawiała po stronie miłości, a Be-ba zazwyczaj obstawała za przyzwoitością. Lubiałam słuchać ich dyskusji. Zawsze towarzyszyła nam Wiwunia. Wiwa miała pewną słabość. Pilnowanie toreb, torebek, walizek. Pani Ala stawiała torebkę na podłodze, a Wiwa natychmiast rozpoczynała wartę i nie pozwalała podchodzić kotce Kiniusi.

W kościele prawosławnym komunია święta przyjmowana jest w postaci wina i małych chlebków, które można zabrać do domu. Pewnej niedzieli torebka pani Ali była niedomknięta i Wiwunia wywachała małe „bochenek” zawinięty w serwetkę. Choć nie była złodziejką, nie umiała oprzeć się urokowi świętego pieczywa. Zębami delikatnie pociągnęła za serwetkę i wydobyla zawiniątko. Potem powolutku, na sztywnych łapkach, oddaliła się, unosząc znalezisko. Po chwili chlebka już nie było. Została tylko serwetka, a nad nią Wiwunia z bardzo skruszoną miną. Pani Ala, która naprawdę kochała zwierzęta, skwitowała całe zajście w tym duchu, że Pan Jezus na pewno jest zadowolony, że trafił w „usta”, z których nigdy nie wydostało się złe słowo. Potem ucałowała Wi-wunię i zajęła się dalej rozważaniami, czy panna Ziuta miała romans z kapitanem X, czy też nie.

Poza psem Ciapkiem i dwoma kotami, Heską i Kikusiem, pani Alusza opiekowała się też rezydentami piwnic w swojej kamienicy. Codziennie wieczorem chodziła w umówione z kotami miejsce i napełniała miski jedzeniem. Znała całe kocie towarzystwo. Leczyła, gdy któryś zachorował, szukała domów dla kociąt. Nie wszyscy mieszkańcy kamienicy przy Solcu byli miłośnikami zwierząt i niektórym przeszkadzały a to kocie miski, a to same koty. Zaczęli dokuczać pani Ali i wyrzucać kocie nakrycia. Postanowiłyśmy razem wymyślić zemstę na kocich prześladowcach.

Wśród podopiecznych pani Ali było kilka niekastrowanych kocurów. Prawie każdy wie, jak silny i nieprzyjemny zapach ma mocz kocura. Pani Ala zebrała kocie siuski do dostarczonej przeze mnie strzykawki i przy pomocy igły iniekcyjnej wstrzyknęła po porcyjce „pachnidła” przez dziurkę od klucza w drzwiach kocich 158 oprawców. Na klatce schodowej nic, a w mieszkaniach odór nie do wytrzymania!

Zaczęła się otwarta wojna. Pani Ala miała po swojej stronie do-zorczyńnię domu i większość mieszkańców, ale przeciwnicy kotów przeszli do ofensywy i wybili jej szyby w oknie.

Przed wojną pani Ala grywała w teatrze amatorskim i liznęła trochę charakteryzacji. Na starość jej twarz nabrała trochę magicznego wyrazu. Kilka drobnych makijażowych sztuczek i wyglądała jak oblicze prawdziwej czarownicy. Gdy do tego pani Ala narzuciła czarny długi płaszcz, było pewne, że stanie się postrachem kamienicy. W takim stroju ruszyła ostentacyjnie karmić koty. Wystarczyło kilka spotkań z „wrogiem” twarzą w twarz, diaboliczne spojrzenie — oczy miała duże i wyraziste jak hinduska tancerka — kilka wyszeptanych gróźb rzucenia uroku i wojna skończona. Wraże jednostki tak się przestraszyły, że odtąd koty ze spokojem mogły na powrót objąć w posiadanie podwórko i piwnice. Pani Ala przeżyła w czasie rewolucji 1917 roku ucieczkę z Rosji, ucieczkę z Grodna w 1940, gdy weszli tam bolszewicy, powstanie

Pani Ala była damą. Eulalia Weldon.

warszawskie, obóz koncentracyjny w Ravensbriick, ale nigdy nie straciła wiary w ludzi. Kochała życie i umiała czerpać z niego radość. Kiedyś odwiedziłam ją z rana. Była niewyspana, ale bardzo zadowolona. Powiedziała: „Dudeniczku, nie spałam całą noc, bo sąsiedzi z góry urządzili tańce. Tak się cieszę, że się dobrze bawili. Skakali aż do rana”. Taka była pani Alusza.

Kiedy umarła, zabrała ze sobą swój inny, weselszy i lepszy świat. Dzięki niej dowiedziałam się, co to znaczy być damą, a damą jest się nawet w dziurawych butach, sukni z worka i przebraniu czarownicy. Umie znaleźć się na przyjęciu u króla i na wiejskim weselu. Pani Ala była damą.

wybrałam weterynarię

1

Ł/

Kiedy opowiadam komuś, ile zwierząt mam w domu (osiem kotów, pięć psów i dwa jeże), ten mówi: „No tak, ale pani jest weterynarzem”. Czy oznacza to, że pediatra powinien mieć dużo dzieci? Wykształcenie ogrodnicze nie obliguje do posiadania sadu, a zootechniczne do prowadzenia obory krów mlecznych. To nie tak. Bez względu na to, jakie skończyłabym studia, zwierzęta zawsze byłyby przy mnie. Znam wiele osób nie będących weterynarzami, które mają jeszcze większą niż ja gromadkę braci mniejszych.

Dlaczego wybrałam weterynarię? Chciałam być podobna do ojca. Sądzę, że zanim w ogóle zaczęłam myśleć o wyborze studiów i przyszłej pracy, gdzieś w podświadomości miałam wpisany scenariusz drogi życiowej. Ojciec był dla mnie wzorem człowieka wiedzącego wszystko na temat natury i rządzących nią praw. Chciałam wiedzieć i umieć tyle co on. Edward Sumiński ukończył studia na Wydziale Weterynarii, a więc wydawało mi się, że droga do bliskości z Naturą wiedzie przez weterynarię. Trochę się pomyliłam, ale ta pomyłka wyszła mi na dobre. Zdołałam wiedzę, która jest solidną bazą do prowadzenia obserwacji świata żywego, a co najważniejsze, daje możliwość niesienia pomocy tym, których ukochałam najbardziej

— zwierzętom. Dziś w mniejszym stopniu jestem lekarzem, a dużo bardziej wielbicieleką zwierząt. Dziś nie pasuję już do tego, czym stała się współczesna medycyna weterynaryjna. Nie tylko nie pasuję do niej, ale w wielu aspektach nie zgadzam się z nią.

W ostatnim ćwierćwieczu postęp technologiczny umożliwił nieprawdopodobny rozwój technik medycznych. Medycyna zaczyna wkraczać tam, gdzie rządzi już próżność, a nie ulga w cierpieniu. Niestety, za medycyną ludzką rażno podąża medycyna weterynaryjna. W dążeniu do osiągania sukcesów naukowych przepadł gdzieś sam pacjent. A czy ktoś zapytał psa, czy chce mieć aparat ortodontyczny? Nikt nie pyta psa ciężko chorego na raka, czy chce przejść pełne bólu leczenie onkologiczne tylko po to, aby umrzeć nie dziś, lecz za dwa miesiące. Nikt nie pyta psa, czy woli biegać z krótszą łapą, czy przejść wiele operacji i bolesną rekonwalescencję.

W sercach zwierząt znajdziemy najprawdziwsze uczucia. Miłość, przyjaźń, ale i cierpienie. Cierpią, bo chcemy odebrać im prawo do bycia sobą w imię pogoni za pieniędzmi i modą. Każdy powinien mieć prawo do realizacji siebie zgodnie z planem Matki Natury. Każdy gatunek ma inne potrzeby w osiąganiu zadowolenia. Pies, aby być szczęśliwy, musi pozostać psem. Niepotrzebne mu złoczone obróżki, ubranka i sztuczne kostki do zabawy. On chciałby mieć kochającą rodzinę, akceptującą jego małe słabości.

Moim zdaniem, lekarz weterynarii powinien przede wszystkim brać pod uwagę dobro swojego pacjenta, a potem dopiero zadowolenie jego opiekuna i zarobek. Lekarz weterynarii powinien poznać nie tylko anatomię i fizjologię swoich podopiecznych, ale przede wszystkim tajemnice ich osobowości. To — podobnie jak w przypadku ludzi — podstawa sukcesu terapeutycznego, którym nie jest zdobycie stopnia naukowego czy sprostanie oczekiwaniom opiekuna zwierzęcia, ale skuteczna ulga w cierpieniu lub

■>-■■' :

1980, ostatni rok studiów.

znalezienie sposobu na uniknięcie cierpienia. Lekarz weterynarii musi wyjaśnić opiekunowi psa, co jest konieczne do zachowania jego zdrowia i zadowolenia z życia zgodnie z psią prawdą. Ale żeby to wyjaśnić, najpierw trzeba to wiedzieć, a potem nie wpaść w sidła chęci zysku. To wielkie wyzwanie.

Zanim sama doszłam do tej prawdy, był rok 1976. Gorący lipiec. Zdałam na Wydział Weterynarii SGGW w Warszawie. Moje szczęście nie miało granic, tym bardziej że dostać się na te studia kobiecie nie było łatwo. W tamtych czasach był to wydział typowo męski i mężczyźni przyjmowani byli w pierwszej kolejności. Ponadto nie mogłam liczyć na dodatkowy atut w postaci punktów za pochodzenie. Okazało się jednak, że egzamin zdałam na tyle dobrze, że ani płeć, ani „inteligenckie” pochodzenie nie przeszkodziły mi w zostaniu studentką weterynarii. Zaczął się piękny okres w moim życiu.

Pod urokiem Bosmana

Ach, co to za wspaniałe uczucie, kiedy wykładowcy zwracają się do ciebie „proszę pani”. Ja, Dudek, Mrówa, jestem panią!

Pierwsze wykłady i ćwiczenia. Na naszym roku było około dwustu osób. Hura!!! Zobaczyłam chłopaka w koszulce w paski, który wpadł mi w oko jeszcze w czasie praktyk robotniczych. Nie byliśmy w jednej grupie, ale w ościennych, bo moje nazwisko zaczyna się literą S, a jego na W. Też niezłe. Wiedziałam już, jak ma na imię. Krzysztof— był w moich oczach ideałem męskiej urody. Nie poznałam go jeszcze osobiście, ale dowiedziałam się, że mówią na niego Bosman. Byliśmy studentami dopiero dwa tygodnie. I nagle jeden z kolegów z mojej grupy zaproponował wspólną naukę. Okazało się, że w tej nasiadówce uczestniczyć będzie również Bosman. Chciałam krzyknąć TAK, TAK!!! Odpowiedziałam jednak całkiem spokojnie, że OK. Mieliśmy spotkać się u mnie w sobotę po zajęciach. Wtedy nie było jeszcze wolnych sobót.

W co się ubrać? Może się umalować? Nie, to będzie głupio. Byłam mokra ze zdenerwowania.

W końcu przyszli i zaczęliśmy wkuwać anatomię prawidłową, używając w celach poglądowych kości zwierząt, które kiedyś służyły mojemu ojcu w tym samym celu. Kości oczywiście, nie zwierzęta. Niewiele wchodziło mi do głowy, choć udawałam bardzo skupioną. Czy dobrze wyglądam? Czy widać, jak się pocę? To było ważniejsze niż jakiś foramen — otwór, czy scapula — łopatką. Nie wiedziałam wtedy, że obiekt moich westchnień przeżywał to samo. Podobnie jak ja udawał bardzo skupionego na otworkach w kości miednicznej kota i robił minę poważnego naukowca. Kiedy wreszcie nasz kolega orzekł, że mamy dość na dziś, i zaproponował pojechanie do jego brata na balangę, odetchnęliśmy z ulgą. Pogoda była nie najlepsza, autobus nie nadjeżdżał. Złapaliśmy taksówkę. W samochodzie Bosman niby niechący wziął mnie za rękę. Chciałam, aby taksówka jechała tak przez całą wieczność.

Jeśli są chwile, kiedy człowiek staje się częścią jakiejś kosmicznej całości, w której chciałby pozostać na zawsze, to wtedy była taka chwila. Przy pożegnaniu Krzysiek zapytał, czy możemy spotkać się jutro, ale już sami. Moje serce krzyczało „chcę, aby było już jutro!!!”, ale ja udawałam, że się zastanawiam. Umówiliśmy się na wczesne popołudnie. O Boże, jaka wtedy byłam szczęśliwa! Nie mogłam spać całą noc. Mama z Bebą nie wiedziały, co mi się stało, bo mimo niedzieli zerwałam się o szóstej rano i poszłam z Wiwcią na spacer. Wiwa też była zdezorientowana, bo chodziłyśmy z godzinę, a ja cały czas paplałam do jakiegoś wyimaginowanego rozmówcy. Wracając do domu, zamiast wejść normalnie, przestępując próg, wfrunęłam do mieszkania i dalej fruwałam pod sufitem z wypiekami na twarzy. Nie mogłam się doczekać popołudnia, kiedy to wyfrunęłam na pierwszą randkę z Bosmanem. Na umówione miejsce dotarłam, nie dotykając chodnika.

Od tego dnia ja i Bosman staliśmy się nierozłączni. Nasze życie było jak układanka — puzzle. Każdy dzień pasował do następnego, a my pasowaliśmy do siebie jak połówki czegoś, co pękło, a powinno być całością. Świat nam sprzyjał. Jego rodzice polubili mnie, a ja ich. Moja trudna pod tym względem mama też polubiła

Krzyśka, a on ją. Nawet nasze psy zapalały do siebie miłością. Wi-wa, z natury bardzo łagodna, nigdy nie przepadała za dużymi psami. Bokser Krzyśka — Rikunio, nie tylko był duży, ale w ogóle nie tolerował innych psów.

Pewnego dnia Bosman przyszedł na Wspólną z Rikuniem. Wi-wa skoczyła do drzwi jak lwica. Szczekała głośno: „To mój dom!!! Co to za pies?!!!”. Riko wytrzeszczył oczy, jak tylko bokser to potrafi, zjeżył sierść i naprężył grzbiet. Już, już miał ujarzmić tę malutką, zajadłą „brunetkę”, gdy nagle jego ogonek dostał totalnego kręćka, a oczy złagodniały mu pod mgłą uczucia. „Jakaż ona piękna — powiedział i dodał — pani, jeśli sprawi ci to radość, możesz mnie nawet zagryźć”. Pozwolił popodgryzać się w fagle, a nawet okazał wyraźne zadowolenie. Pewnie to jego całkowita uległość podbiła Wiwczynie serce, bo już po chwili uznała go za doskonałą partię. Od tamtej pory przepadali za swoim towarzystwem. Tak samo jak my.

Rihunio

Boksery to emocjonalne wulkany. Kochają całym sobą, poczynając od końca ogona do czubka płaskiego nosa, a temperaturę 168 ich uczuć porównać można z temperaturą wulkanicznej lawy. To działa również w drugą stronę. Jak nienawidzą, to z równą mocą. Rikunio miał szczęście trafić do wspaniałej rodziny, gdzie nie dano okazji, aby obudzić negatywne uczucia boksera. Co to znaczy dobra rodzina? To taka, gdzie każdy jej członek jest tym, kim być powinien. Mama jest mamą, tata tatą, a dziecko dzieckiem i relacje między nimi dają każdemu z nich poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Tak właśnie było w domu Wójcickich. Tata — znany pilot, kapitan Władysław Wójcicki (to on pilotował pierwszego boeinga, który wylądował w Polsce), dbał o byt całej rodziny, a cała rodzina dbała o niego. Kiedy wracał z rejsu i stawał w drzwiach, pierwszy witał go Rikunio, a Władysław zadawał zawsze to samo pytanie: „Czy pies jadł i był na spacerze?”. To nieważne, że nie było go dwa tygodnie, a przez ten czas pies nie zmarniał ani o krztynę. To nieważne, że doskonale wiedział, iż pies jest oczkiem w głowie żony Bogusi. Myślę, że był zwolennikiem tego samego co ja twierdzenia: „Pokaż mi swojego psa, a powiem ci, kim jesteś”.

Riko kochał wszystkich, ale najbardziej ulubił sobie panią domu — mamę Krzyśka, i to z wzajemnością. Codziennie rano zasiadali do śniadania. Jedna kanapka dla pani, druga dla Rika. Spędzali we dwójkę całe dnie. Dzieci — starsza córka Lucyna i Krzysiek, na studia, mąż do pracy, a oni zostawali z całym domem na głowie. Wieczorem trudno im się było rozstać, więc układali się do jednego łóżka. Poza nimi prawo do łoża miał również pan domu. Nie było to łoże takich rozmiarów jak to w sypialni Ludwika XVI, bo i nie mieszkali w Wersalu, ale w warszawskiej kamienicy.

W tamtych czasach mało kto miał sypialnię. Zazwyczaj wystrój wnętrza zmieniał się wraz z porami dnia i kanapa, zwana nomen omen wersalką, wieczorem zamieniała się w łóżko. Wersalki nie były przewidziane na trzy osoby, więc tej trójce było trochę ciasno. Od ściany mościł się Rikunio, mama spała w środku, a tata z brzegu. W nocy pies stwierdzał, że ma zbyt mało miejsca, i starał się powiększyć swoje legowisko, odpychając się łapami od ściany. W efekcie Władysław lądował na podłodze. Każdy przeciętny człowiek wyprosiłby psa z łóżka. Władysław jest jednak nie tylko doskonałym pilotem obeznanym z lądowaniem, lecz także człowiekiem ze wszech miar nieprzeciętnym. Co wieczór rozkładał koło kanapy materac, dzięki temu i lądowanie było miękkie, i mógł spokojnie przespać do rana, zamiast walczyć o miejsce na kanapie.

Pożegnanie i przyjaciółką

Zbliżał się koniec pierwszego roku akademickiego. Wiosna była ciepła i piękna, a Wiwa straciła radość życia. Zabrałam ją na badania do naszych klinik na Grochowie i okazało się, że moja kochana Wiwunia ma ogromny guz na jajniku. Zdecydowano o jak najszybszej operacji. Wróciliśmy do domu ze smutną wiadomością. Beba zaczęła płakać, a mama wpadła na najlepszy z możliwych wówczas pomysłów. Wiwa uwielbiała jeździć do Grabią nad Rawką. Postanowiliśmy jeszcze przed operacją urządzić jej taką wycieczkę. Następnego ranka wsadziłyśmy Wiwę do plecaka i wyruszyłyśmy na dworzec. Pociągiem jechało się do stacji Rawka niecałą godzinę, a potem przez piękny las piechotą do Grabią. Wiwa znała każdy kamyczek na tej trasie, wszak przebiegła ją już wiele razy. Tym razem niosłyśmy ją na zmianę. Raz mama, raz ja. Co kilkadziesiąt kroków stawiałyśmy Wiwę na ziemi, aby mogła nawąchać się do woli miejsc drogich jej sercu. W oczach psa zapalały się iskierki szczęścia, tylko sił brakowało, aby nóżki też okazały zadowolenie. Nie musiałyśmy nic mówić. Oczy pełne łez mówiły za nas. Myślałyśmy o tym samym: „Może to ostatnia wycieczka Wiwuni”. Nie wiem, czy Wiwa czytała w naszych myślach, ale bardzo starała się udawać zdrową. A ja wtedy czułam

ogromną bliskość z moją mamą. Przez te chwile byłyśmy „kością z kości i krwią z krwi”.

Wieczorem wróciliśmy do domu. Wiwa zasnęła kamiennym snem. My nie spałyśmy całą noc, rozmyślając, co przyniesie następny dzień — dzień operacji Wiwuni.

Operowali najlepsi, a wśród nich doktor Marek Peczat — wspaniały człowiek i dydaktyk.

Guz okazał się trudny do usunięcia. Rozlany nowotwór ogarnął część jelit. Operacja przedłużała się. W końcu wydawało się, że można mieć nadzieję. Zabrałam Wiwę do domu, gdzie czekały rozdygotane mama z Bebą. Ułożyłyśmy psinkę w poduszkach i prześcieradelkach i czuwałyśmy całą noc. Wiwa obudziła się, ale nie wyglądała dobrze. Doktor Peczat przyjeżdżał codziennie. Nie wziął ani grosza za wizyty. Mimo starań Wiwa czuła się coraz gorzej.

Dla mnie najtrudniejsze było to, że zbliżał się termin mojego wyjazdu na obowiązkowe praktyki hodowlane. Musiałam zostawić ukochaną przyjaciółkę i pojechać do Rokitek pod Legnicą. Dzwoniłam do domu codziennie, a mama opowiadała mi, jak Wiwa zaczęła wracać do zdrowia. Po tygodniu nie wytrzymała i rozplakała się. Wiwa umarła dzień po moim wyjeździe. Mama nie chciała mi powiedzieć prawdy, wiedziała, że na odległość trudno kogoś pocieszać. Stałam w budce telefonicznej w Legnicy i płakałam. Tej śmierci nigdy nie udało mi się zaakceptować. Umarła nie tylko Wiwa. Umarło coś we mnie. Nie umiem tego racjonalnie wytłumaczyć nawet dziś. Wiwa była nie tylko moją miłością. Ona była trochę mną. Myślę, że znajdują się ludzie, którzy zrozumieją, o czym mówię.

Minia

.. :^^y^

Ja, Bosman i druga para z roku, Krzysiek i Ewa, po pierwszym roku studiów pojechaliśmy na praktyki hodowlane do tuczni Świn w Rokitkach pod Legnicą. Mieliśmy z Bosmanem dużo szczęścia, bo Krzysiek Policiński, zwany „Politą”, miał coś, co w tamtych czasach było nie lada gratką — samochód. Nie pamiętam już, czy był to duży fiat, czy Łada, ale samochód miał też przyczepkę campingową. Dzięki temu nie musieliśmy tłuc się pociągami i gdyby się okazało, że przydzielono nam chlewik jako sypialnię, mielibyśmy własne spanie.

Do Rokitek nie było trudno trafić. Wystarczyło kierować się węchem. Hodowano tam kilka tysięcy świń rasy wielka biała polska. Ogromna tuczarnia o „obiegu zamkniętym”, to znaczy oprócz tuczu prowadziło się tam również rozród, wymagała ogromnej troski pracowników. Niestety, często troska zamoczona była Jabołem" i bezduszością ludzi zajmujących się świniami. To, że smród był wszechobecny i tak silny, że oczy łzawiły, nie był jeszcze najgorsze. Najgorsza była atmosfera w tej fabryce „żywego mięsa”.

Bardzo lubię świnie, nie tylko dlatego, że miałam brata Prosia. Nie widzę specjalnej różnicy między życiem w psiej, kociej czy świńskiej skórze. W naszej kulturze przyjęło się uważać, że świnia to „świnia” — brudna, brzydka, gruba i śmierdząca.

Wyobraźmy sobie, że zamknięto by nas w klatce o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, karmiono do rozpuku wysokokaloryczną karmą i nie pozwalano wychodzić do toalety ani się myć. Już po tygodniu wyglądalibyśmy jak „świnia”, a myślę, że jeszcze gorzej. A jak byśmy pachnieli!

Świnia nie jest ani brudna, ani brzydka, ani śmierdząca, a na dodatek jest bardzo, bardzo inteligentna. Już wiele lat temu pewien amerykański naukowiec, którego nazwiska niestety nie pamiętam, poruszony losem świń, przeprowadził niezwykle eksperyment. Z kilkunastu przypadkowych tuczni kupił po jednym prosiaku. Umieścił je w luksusowym chlewiku z możliwością korzystania z wybiegu i zamontował tam komputery z dżojstikami dostosowanymi do świńskiego ryjka. Na monitorach pojawiały się najprostsze gry komputerowe dla dzieci. Jeśli śwince manipulującej dżojstikiem udało się zakończyć grę sukcesem, dostawała smakołyk. Prosiaki coraz więcej czasu spędzały przy komputerach, a gry dobierano coraz trudniejsze. Po pewnym czasie zrezygnowano z nagród, a świnki grały dla przyjemności. Czy coś wam to przypomina?

Na przykład mój mąż dla przyjemności ściga się o zmroku samochodem po uliczkach w centrum miasta i z taką samą radością gra w komputerowego snookera.

Świnia trzymana w zgodnych z jej potrzebami warunkach to urocza osoba. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że świnia ma dość złożony język i skomplikowane stosunki społeczne. Jest bardzo dobrą matką i czułą przyjaciółką. Jest bardzo rodzinna, co przypomina wiele rytuałów odprawianych w naszych, ludzkich rodzinach. Mama świnia zachowuje się jak dobra, ludzka mama. Cały czas mówi do swoich dzieci: „Nie rozbiegajcie się, proszę iść blisko mnie. Uważaj! Tam jest dziura!”. Każde z prosiąt ma swoje stałe miejsce „przy stole”. W grupie rodzinnej świnie często wymieniają czułości, czochrając się wzajemnie i gawędząc. Świnia skazana na porównywalny z obozem koncentracyjnym chów prze-174 mysłowy traci to, co w przypadku ludzi nazywamy człowieczeństwem. Nie jest już normalną świnia. Jest nieszczęsnym tworem strasznej cywilizacji. Naszej cywilizacji.

W Rokitkach nie było inaczej, choć, jak dziś to oceniam, i tak nie było najgorzej. Mnie i Ewę przydzielono do tak zwanej porodówki. Były tam prośne (w ciąży) maciory i „matki karmiące” z prosiętami. Codziennie o piątej rano odbywało się karmienie świń. Trzeba było roznieść wiadra z karmą i wlewać do koryt umieszczonych przy każdym z boksów. Świnie strasznie się niepokoiły i okropnie kwiczały, czekając na swoją porcję. Większość z nich nie była przychylnie nastawiona do ludzi. I nie ma co się dziwić.

Drugiego dnia pobytu, gdy taszczyłam wiadro, aby zatkać kolejny świński ryjek, jedna z moich podopiecznych przeskoczyła barierkę i ruszyła w moim kierunku wąskim korytarzykiem. Miałam brata Prosia i znam język świń. Wielka maciora wykrzykiwała w moim kierunku obelżywe wyrazy, których nie mogę zacytować, i wyraźnie usłyszałam „zaraz ci nogi z d... powyrywam!!!”. Żal mi się zrobiło moich nóg, więc wskoczyłam na barierkę, uprzednio

wysypawszy zawartość wiadra na podłogę. Może skuszona jedzeniem zatrzyma się? Nie zatrzymała się. Biegałam więc po barierkach jak akrobatka, a świnia za mną. Darłam się w niebogłosość: „Przecież nic ci nie zrobiłam!!! Jestem tu dopiero drugi dzień!!!”, ale ona nic. Postanowiła zemścić się na mnie za wszystkie krzywdy wyrządzone świniom przez ludzi. Poniekąd ją rozumiem. Choć moje wrzaski nie robiły na niej wrażenia, to usłyszeli je pracownicy i przybiegli z odsieczą. Biedna świnia, choć była ciężarna, dostała parę razów kijem, a mnie było przykro i wstyd. Za ludzi w ogóle.

Z pewnością z powodu nadmiaru wrażeń świnia zaczęła się prosić (rodzić) jeszcze tego samego dnia. Poinstruowana przez pracującego w tuczarni lekarza weterynarii, miałam pełnić dyżur przy rodzącej. Pomna porannych kłopotów, bałam się trochę, ale maciora skupiona była na rodzeniu, a nie na mnie. Po godzinie porzuciłam resztki obaw i włożyłam do kojca, aby pomóc rodzącej, bo mimo jej wysiłków prosięta z trudem opuszczały łono matki. W jej spojrzeniu nie było wrogości. Znalazłam tam nawet cień sympatii. Czy wiecie, że świnia ma piękne oczy? Często są niebieskie i bardzo podobne do ludzkich. Tyle że giną w fałdach tłuszczu.

Poród zakończył się szczęśliwie na dwunastym ślicznym prosiaku. Zmęczona świnia zasnęła. Ja też udałam się na spoczynek. Następnego dnia rano wręcz popędziłam do mojej podopiecznej. Ku mojemu zdziwieniu w kojcu było nie dwanaścioro, ale trzynaścioro prosiąt. W nocy urodziła się ostatnia, najmniejsza loszka. Nie miała szans dopchać się do matczynej jadalni, bo reszta rodzeństwa była już większa i sprytniejsza. Maciora popatrzyła na mnie życzliwym okiem. Weszłam do jej boks i podniosłam maleństwo. Podnoszone do góry prosiaki wydają z siebie przeraźliwy wrzask. Malutka zaczęła krzyczeć, ale jej matka nie zerwała się na równe nogi. Patrzyła na mnie z lekkim niepokojem i mówiła „uff, uff, uff. Kucnęłam i przystawiłam małą do sutka. Przysłała się jak pijawka. Maciora ucichła i zamknęła oczy. Po nakarmieniu świń przyszłam znowu nakarmić loszkę. Oczy mi się kleiły, w boksie było ciepło i czysto. Położyłam się obok różowej maciory, przytuliłam do jej pleców i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, śliczne różowe prosiaczki skakały po mnie, a ich różowe ryjki szarpały mnie za kombinezon. Moja malutka loszka wyraźnie odstawała od reszty. Była dużo słabsza. Od tamtego dnia codziennie uciniałam sobie drzemkę przy boku mojej nowej przyjaciółki i zastąpiłam ją w opiece nad malutką loszką. Pilnowałam, aby prosiątko jadło regularnie, a w przerwach nosiłam je w kieszeni kombinezonu. Loszka szybko zrozumiała, że podnoszenie nie wróży niczego złego i spała spokojnie w mojej kieszeni. To była miniświnka, więc nazwałam ją Minia. Czas praktyk mijał, Minia rosła i coraz bardziej przywiązywałyśmy się do siebie.

Nie bardzo widziałam przyszłość Mini w Rokitkach. Po śmierci Wiwy przelałam na świnkę całe swoje uczucia. Zaczęłam planować wykradzenie prosiaka z tuczarni i rozmyślałam, jak pertraktować z mamą, by wyraziła zgodę na przywiezienie jeszcze małej, ale Wielkiej Białej Polskiej do domu. Mama już, już zaczęła się łamać, ale plany porwania Mini rozwiały się bezpowrotnie.

Pani zootechnik, która wpisała nam w dzienniczki odbycie „praktyk chodowlanych” i podpisała się z imienia i nazwiska, rozgryzła moje plany. Zabroniła mi nosić świnkę w kieszeni i rozwiała nadzieję na jej wykupienie. „To jest tuczarnia, a nie zoolog” — powiedziała i odtąd miała mnie na oku.

Zbliżał się dzień odjazdu, a ja płakałam. Nie mogłam skazać Mini na los innych tuczników. Po prostu nie mogłam. Lekarz weterynarii, który pracował w Rokitkach, był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Rozumiał moją rozpacz i nie zdziwił się, gdy go poprosiłam o środek stosowany do eutanazji zwierząt. Podjęłam bardzo trudną decyzję, ale i dziś uważam, że była to decyzja jedyna uczciwa wobec Mini. Nie pozwoliłam jej zostać tucznikiem,

/

a następnie kotletem. Zasnęła u mnie na ręku, zupełnie spokojna o swój los. Następnego dnia pracownicy orzekli, że pewnie maciora przygniotła ją w nocy. To była pierwsza śmierć, jaką zadałam zwierzęciu. Zrobiłam to z miłości.

Rozsypane Korale

Studia pochłaniały większość naszego czasu. Było dużo nauki, ale też dużo śmiechu. Wydawało się, że dalsze moje życie jest już przesądzone. Bosman i ja. Zawsze razem. Nie wyobrażałam sobie innej opcji. Myślę, że on też sobie nie wyobrażał. Tak upłynął drugi rok naszych studiów, 1977/1978. Po letniej sesji egzaminacyjnej byliśmy już studentami trzeciego roku. Po drugim roku nie było praktyk. Jeśli dobrze pamiętam, wyjechaliśmy z Bosmanem nad morze. Potem mieliśmy rozstać się na miesiąc. Pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy. Ja wyjeżdżałam do Londynu, do wujka Stasia, brata mamy, i do dziadko-stryjka Stasia Jasińskiego — młodszego brata dziadzia Piotra. Staś Jasiński także mieszkał w Londynie, gdzie trafił po wojnie, podobnie jak Staś Ferster. Nazywałam go stryjcio Staś. Mieszkał z żoną Wilmą i kilkoma kotami w willowej dzielnicy Londynu, Kilbourn.

Staś Jasiński i dziadzio Piotr Sumiński mieli różnych ojców, ale tę samą matkę, moją prababkę Sabinę, z domu Oczosalską, Sumińską, a potem Jasińską. Stryjcio Staś był w czasie wojny kimś w rodzaju komandosa wojsk alianckich. Zrzucano go, oczywiście ze spadochronem, na tereny okupowane przez Niemców w celu przygotowania gruntu do ofensywy na dany teren. Podczas jednej z takich akcji dostał odłamkiem w głowę. Pozostała mu pamiątka w postaci ubytku w kości czaszki, podobna do tej, jaką szczycił się pan Zagłoba. W związku z tym stryj zawsze nosił małą czapeczkę, podobną do mycki, i tak jak pan Zagłoba lubił opowiadać historię „dziury w głowie”. Był bardzo pogodnym i życzliwym człowiekiem. Znał doskonale rodzinne historie i miał mnóstwo starych zdjęć. Koniecznie chciał podzielić się ze mną swoją wiedzą. Jego specjalnością były skandale. Miałam prawie dwadzieścia jeden lat i inne zainteresowania. Słuchałam tylko przez grzeczność. Teraz bardzo « tego żałuję, tym bardziej że były to zazwyczaj mocno pikantne *

SE

opowieści. Kiedyś pokazując przedwojenne grupowe zdjęcie młodego, dzieży, wskazał palcem młodą pannę i kawalera. „Wyobraź sobie, że mieli stosunek w budce telefonicznej” — powiedział. Skąd o tym wiedział? Nie był wszak kawalerem z fotografii, więc albo 179 podglądał, albo plotkarstwo nie jest tylko domeną pań.

W Londynie mieszkowałam trochę u jednego, trochę u drugiego Stasia. Stryjcio i Wilma bardzo dbali o moje wygody. Polubiliśmy się jeszcze bardziej, gdy odkryli, że nie mam pretensji do ich kotki o imieniu starożytnej bogini (chyba Izis) o to, że co noc robi kupę w nogach mojego łóżka. Nie miałam do niej pretensji i nie skarżyłam się, tylko co rano sprzątałam kocie prezenty. Kiedyś Wilma zajrzała do pokoju, gdy jeszcze spałam, i wszystko się wydało. Powiedziałam, że nie chcę wypraszać kotki z pokoju, bo lubi spać na mojej głowie, a że żołądek ma zdrowy... ostatecznie sprzątanie nie sprawia mi kłopotu. Poczułam wtedy, że całkowicie zdobyłam serca obojga, stryjcia i Wilmy. Może ich także obdarzała takimi prezentami?

Przed wyjazdem do Londynu dostałam od Bosmana koraliki i pierścionek. W tamtym okresie modne były „precjoza” przypominające porcelanę — malowane na wzór starych filiżanek korale, pierścionki i klipsy. Moje miały białe miniróżyczki z zielonymi

listkami. Wyglądały naprawdę ślicznie, a pierścionek pasował jak ulał. Nosiłam je cały czas. Codziennie pisałam list do Krzyśka i prawie codziennie dostawałam list pełen zapewnień o tęsknocie i miłości. W drugiej połowie miesiąca Krzysztof miał wyjechać z ojcem do Bangkoku. Zrozumiałe, że w tym czasie listy nie przychodziły, ale ja miałam swoje korale. Patrzyłam na małe różyczki i prosiłam, żeby czas szybciej płynął. Zazwyczaj podczas wakacyjnych pobytów w Londynie mogłam podreperować swój marnutki budżet. Wujek Staś, czyli po prostu Stasiulek, załatwiał mi pracę. Miał wiele znajomości w kasynach. W lecie kelnerki brały urlopy i mogłam je zastępować. To była znakomita praca, ponieważ ci, którzy wygrywali, dawali kelnerom sowite napiwki. Pracowałam i liczyłam dni. Krzysiek miał wrócić z Bangkoku dwa dni przed moim powrotem do Warszawy.

Na osiem dni przed powrotem stałam w łazience i myłam zęby nad umywalką. Nagle, bez żadnego powodu, pękł rzemyk, na którym nawleczone były korale. Wpadły do umywalki i potłukły się w drobny mak. Nawet teraz, kiedy to piszę, po dwudziestu dziewięciu latach, wraca uczucie niepokoju. Spojrzałam na potłuczone skorupki i wiedziałam, że coś się stało. Co dziwniejsze, wiedziałam, co o się stało. I nie myliłam się, choć czekając na powrót do Polski, starałam się odpędzać złe myśli. Mówiłam sobie „ty głupia, przesądna babo”, ale na dnie duszy zostawał niepokój graniczący z pewnością, że „puzzle” się rozsypały.

Mój samolot wylądował na Okęciu. Wtedy sala przylotów przedzielona była szybą, za którą stali ludzie oczekujący na przyjezdnych. Krzysiek był wysoki. Zobaczyłam go w tłumie. Trzymał czerwoną różę, ale ja wiedziałam, że jej czerwień nic już nie znaczy, a przynajmniej niewiele. Nawet nasze powitanie, choć niby czułe, zaprawione było jakimś fałszem.

Pojechaliśmy do jego domu. Rodzice przywitani mnie bardzo radośnie, ale wyczuwałam coś dziwnego. Po chwili poprosiłam, aby Krzysiek odprowadził mnie do mamy i Beby, które też chciały zobaczyć mnie jak najszybciej. Na ulicy zapytałam: „Jak nazywa się ta dziewczyna?”. Zatkanęło go. Patrzył na mnie z otwartymi ustami. Powtórzyłam pytanie. „Elżbieta — powiedział. Potem dodał — ale to już skończone”.

Ja też poczułam się skończona. Kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, nie wybacza się zdrady. Kochałam go całą sobą, każdą komórką mojego ciała, każdym promyczkiem duszy. Nie mogłam, nie umiałam pogodzić się z tym, że spodobała mu się inna. Jak mógł zapomnieć o mnie? Jak mógł objąć inną kobietę? To było nie do przeżycia. W tajskim słońcu na złotej plaży spodobała mu się młoda stewardessa, a on spodobał się jej. Ot i tyle. Niby nic wielkiego, a dla mnie wszystko. To najgorsze, co można zrobić kochającej osobie.

Płakałam całą noc, tuląc się do kolan Beby. Beba płakała razem ze mną i szeptała: „Zabiję go, zabiję”.

Nie zabiła, a ja musiałam iść na zajęcia. Bałam się, jakbym musiała wejść w inny, obcy świat. Świat bez Bosmana.

Trzeci rok studiów był dla mnie najtrudniejszy. Nie z powodu nauki, ale dlatego, że nie miałam przy sobie Krzyśka. Widywałam go czasem, ale uciekałam przed nim gdzie pieprz rośnie. Zadzwoił. Proponował spotkanie, ale ja nie umiałam wybaczyć. Chciałam zrobić coś, co na zawsze zamknie drzwi do powrotu, choć kochałam go równie mocno jak na początku. Nie wiedziałam wtedy, że nie wolno rozdzierać własnego serca. Nie wiedziałam, że honor i miłość czasem nie mogą iść w parze.

Wyszłam za mąż — zaraz wracam

Nadeszły zimowe ferie. Na wydziale zorganizowano obóz studencki w Rytrze. Wyjechała nas cała gromada. Jedni wzięli nar-182 ty, inni sanki. Ja bardzo dobrze jeździłam na nartach i uczyłam tych, którzy mieli z tym kłopoty. Moim uczniem był kolega z grupy, Paweł Stachowiak. Biedak, nie był typem sportowca, ale pewnie chciał pokazać się z jak najlepszej strony. Przypiął narty i desperacko walczył z prawem grawitacji. Wywracał się co chwilę, ale wstawał i koziołkował kolejny raz. Tak się poobijał podczas Jazd próbnych, że już po pierwszej lekcji stracił zdolność samodzielnego poruszania się, a jego ciało zsiniało jak śliwka

węgierka. Robił dobrą minę do „bolesnej gry” i przy pomocy kolegów towarzyszył nam w narciarskich wyczynach, tyle że bez nart. Siedział na saneczkach i pojękiwał z cicha. To była zima stulecia. Rok 1979. Wybuchła warszawska Rotunda, a my nie mogliśmy wrócić z zimowiska, bo zasypało tory i pociągi nie kursowały. W końcu podstawiono pociąg do Warszawy. Stawał na każdej stacji i wszyscy chcieli doń wsiąść. Trudno sobie wyobrazić, co działo się w środku. Takiego tłoku nie widziałam nigdy przedtem i nigdy potem. Kobiety mdlały, dzieci płakały, narty trzeszczały pod naporem stłoczonych ciał. Wystarczy tylko powiedzieć, że w samej toalecie znalazło miejsce osiem osób. Zapamiętałam, że na umywalce siedziała dziewczyna i jadła kanapkę. Podróż z Rytra do Warszawy trwała wiele godzin. Nie wiem, na ile przyczynił się do tego tłok i mróz zimy stulecia, ale do Warszawy wróciliśmy z Pawłem jako para. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

§

Nie pamiętam, jaki to był dzień. Nie pamiętam, jak byłem ubra- III na, ale w lipcu 1979 roku wzięłam ślub cywilny z Pawłem Stacho- 2

eb

wiakiem. Zaraz potem wyjechaliśmy na praktyki do Wojewódzkiej Lecznicy dla Zwierząt w Piotrkowie Trybunalskim. tS Było nas czworo. My i Mariola Bogucka z

Darkiem Badowskim. « Oni niedługo po nas też wzięli ślub. Poza tym, że byli naszymi

§ przyjaciółmi, stanowili trochę nietypową, ale bardzo sympatyczną E parę. Darek był znacznie drobniejszy od swojej narzeczonej, a mimo to mówił do niej „Myszko”.

183

Lecznica w Piotrkowie Trybunalskim dysponowała niezwykle nowoczesną jak na tamte czasy salą operacyjną dla dużych zwierząt. Na zapleczu tego cudu medycyny weterynaryjnej znajdowała się malutka kuchenka, dla nas jednak był to teren zakazany. Co gorsza, był to również teren zakazany dla zwierząt. Sala służyła tylko temu, aby pokazywać ją rozlicznym odwiedzającym to miejsce delegacjom. Podczas naszego miesięcznego pobytu w Piotrkowie nie wykonano ani jednego zabiegu.

Jak to zwykle z praktykantami bywa, tak i w naszym przypadku przydzielano nam prace, których nikt nie lubił wykonywać. Mnie i Marioli przypadło w udziale szczepienie świń w terenie. Rano któryś z lekarzy wywoził nas do jednej z okolicznych wsi i zostawiał wraz ze sprzętem medycznym. Po paru godzinach przyjeżdżał i zabierał nas z powrotem. My w tym czasie chodziłyśmy od zagrody do zagrody. „Czy ma pani świnię? Szczepimy przeciw różycy . Zazwyczaj gospodyni, bo gospodarz pracował w polu, patrzyła na nas ze zdziwieniem — dziewczyna weterynarz to było wtedy niemal curiosum. Potem odpowiadała, że nie ma żadnych świń. Mówiliśmy: „To bezpłatne szczepienie”, i zaraz znajdowało się kilka sztuk. Wpuszczano nas do chlewika i pół wsi przybiegało popatrzeć, jak sobie baby radzą. Jakoś sobie radziłyśmy.

W jednym z gospodarstw świnię trzymano w ruinach starego domu. Było ich kilkanaście i nie dawały się złapać. Miałyśmy specjalne automatyczne strzykawki, które przypominały pistolety. Postanowiłyśmy zmienić taktykę. Zamiast ganiać za każdą świnią, potęgując radość wiejskiej publiczności, Mariola zatarasowała otwór wyjściowy (drzwi tam nie było), a ja usiłowałam dopaść kolejną uciekinierkę próbującą staranować Mariolę. Jedna świnią chciała czmychnąć między nogami mojej koleżanki i uniosła ją na grzbiecie. Widok był nieprzeciętny. Mariola z rozwianym włosiem, w białym fartuchu galopowała tyłem na grzbiecie różowego knurka. Wymachiwała automatyczną strzykawką i krzyczała wniebogłosy. Żałuję, że wówczas nie przeczytałam jeszcze Mistrza i Małgorzaty Bułhakowa. Może gdybym znała już treść tej książki, dosiadłabym miotły, którą trzymałam w charakterze „pomocy medycznej”, i odleciałybyśmy w przestworza.

Podczas wędrowek po wiejskich zagrodach odkryłyśmy dwa psie nieszczęścia.

Ośmiotygodniowe szczeniaki wyżła niemieckiegozymane na łańcuchu. Dwie butelki

czystej wystarczyły, aby obie suczki były nasze. Ja z Pawłem wzięliśmy jedną, a Mariola z Darkiem drugą. Fama, tak nazwałam suczkę, okazała się nadpobudliwym szczeniakiem. Miała takie psie ADHD. Niestety, nigdy jej to nie przeszło, a nawet z czasem się pogłębiło. Zaraz po powrocie z praktyk, we wrześniu 1979 roku, wzięłam ślub kościelny z Pawłem. Dlaczego? A dlatego, że tak chcieli rodzice, a ja chciałam chcieć. W tamtym czasie nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z konsekwencji pewnych działań. Szłam tunelem wytyczonym przez konwenanse, zwyczaje i tradycję. Chciałam kochać swojego męża. Chciałam mieć dobry dom. Chciałam pokazać, że umiem być dorosła. Byłam zbyt niedojrzała, aby wiedzieć, że wychodząc za męża, zemszczę się nie na Bosmanie, ale przede wszystkim wyrządę krzywdę samej sobie. Tak naprawdę niewiele wiedziałam o życiu i jeszcze nie do końca znałam Dorotę Sumińską. Małżeństwo z Pawłem nie mogło być dobre. Sądzę, że zrobiło wiele złego nam obojgu. Rozwiedliśmy się w 1985 roku, ale zanim to się stało, przyszła na świat nasza córka. Marta urodziła się 25 października 1980 roku.

Być mamą

Kiedy poczułam, że jestem w ciąży, byłam naprawdę szczęśliwa. Pierwsza ciąża to taki zaczarowany stan, kiedy czeka się niecierpli-186 wie na coś, kogoś, o czym, o kim nie wie się nic.

Podczas ciąży byłam nie do zdarcia. Codziennie jeździłam na zajęcia. Nie opuszczałam żadnych ćwiczeń. Badanie krów na ciel-ność, różne zajęcia w stajni i cały szereg innych atrakcji. Mieszkaliśmy wtedy w okolicy Okęcia i aby dotrzeć do szkoły, trzeba było pokonywać ogromne odległości. Paweł kupił za osiemset złotych starą syrenę 102. Miała dziury w podłodze po stronie pasażera — trzeba było przykrywać je stopami, bo inaczej podczas jazdy błoto chlapało w twarz. Poza tym brakowało zbiornika paliwa. Jego rolę pełniła pięciolitrowa butelka po calvadosie, zabezpieczona trzema cegłami. Mimo to kochana syrenka wozila nas codziennie z Okęcia na Grochów, potem przeprowadziła nas do następnego wynajętego mieszkania, na Bednarską 23. Po przeprowadzce syrenka się zepsuła. Stała sobie na Bednarskiej, a my nie bardzo wiedzieliśmy, co z nią zrobić. Liczyliśmy na to, że ktoś ją w końcu ukradnie, a że była ubezpieczona, mogliśmy spodziewać się jakiegoś mini-odszkodowania. Pewnego dnia wyszłam rano z Famką na spacer, a tu po syrence ani śladu.

„Ukradli syrenkę!!!” Z takim okrzykiem

wpadłam do mieszkania. Nasza radość trwała jednak krótko. Okazało się, że w związku z Wyścigiem Pokoju nasz wehikuł został zabrany na milicyjny parking i musieliśmy jeszcze za to zapłacić.

Kobiety w ciąży są już na pół matkami, rodzi się w nich całe mnóstwo uczuć, których wcześniej nie znały. Tak było i ze mną. Miałam w tym czasie świętą cierpliwość, bez niej nie wiem, jak poradziłabym sobie z Famą. Z jednej strony była kochanym młodym wesołkiem, a z drugiej potworem, czołgiem, wulkanem i tajfunem. Miała skłonności niszczyielskie i niepohamowany apetyt. Kradła wszystko, co było w jej zasięgu, a zasięg miała bardzo duży. Otwierała szafki, wskakiwała na stoły i półki. Poza tym była bardzo serdeczna i łagodna. Nosiłam już całkiem duży brzuch, gdy wybrałam się z Famką do pralni po odbiór ubrań. Pralnia mieściła się na Krakowskim Przedmieściu. Ulica Bednarska sąsiaduje z Mariensztatem, skąd schodami można było się dostać na miejsce. Wracaliśmy, schodząc po schodach. W jednej ręce trzymałam smycz z Famą na końcu, w drugiej niosłam paczkę z bielizną. W tym momencie Fama zobaczyła jakiegoś psa i rzuciła się w jego stronę, a ja wykonałam salto i poleciałam jak bombowiec w dół schodów. Wylądowałam na chodniku. Leżałam i nie mogłam wstać. Jakiś młody człowiek zaczął mnie podnosić. „Psa, niech pan łapie psa!” — wołałam. Chłopak złapał Famkę i pomógł mi doczłapać do domu. Skręciłam nogę, ale mój brzuch nie ucierpiał wcale.

Czas się wypełnił, a moje dziecko nie miało zamiaru wyjść na świat. W tamtych latach badanie USG zarezerwowane było tylko dla mnogich ciąż i nie miałam pojęcia, kto siedzi w moim brzuchu. Było już dwa tygodnie po terminie. Wieczorem szliśmy z mamą ulicą Bednarską, a ja zobaczyłam w myślach małą dziewczynkę z ciemnymi włosami upiętymi w dwa kucyki. Wtedy wstąpiła we mnie pewność, że będę miała córkę. Tej samej nocy Marta postanowiła przyjść na świat. Urodziła się w szpitalu na ulicy Inflanckiej. Szpital był ohydny, a moja córka najpiękniejsza.

W roku 1980 szpitale położnicze nie były przychylnie noworodkom i ich mamom. Zaraz po porodzie zabierano dziecko. Nie mogłam nawet dokładnie zobaczyć swojej córeczki. Położono mnie w sali z innymi mamami. Im przywieziono dzieci do karmienia, a mnie nie. Wzbierał we mnie okropny niepokój. Mimo że podczas porodu zrobiono mi niezamierzoną blokadę nerwu kul-szowego i nogę miałam bezwładną, zwlokłam się z łóżka i trzymając się ściany, dokuśtykałam do sali noworodków. Tam jak jaskółki w gniazdkach jedno przy drugim leżały ludzkie pisklęta. Stałam i płakałam. „Które jest moje? Ja chcę moje dziecko!!!” Przechodziły obok mnie bezduszne manekiny, pielęgniarki o stalowych oczach, aż nagle podeszła jakaś starsza kobieta w fartuchu i powie-188 działa: „Nie płacz, dziecko. Zaraz ci przyniosę twoje maleństwo”, i zaprowadziła mnie do łóżka. Wyglądałam poduszkę i czekałam. Przyniosła zawiniątko. Położyłam je na środku poduszki i mimo zakazu zaczęłam rozwijać warstwy ciasnych pieluch. W środku leżało długie, cienkie, różowe i kompletnie bezbronne moje dziecko. Nie umiem opisać tego, co wtedy poczułam. Ale inne mamy mnie rozumieją. To była ogromna fala wzruszenia, nie znanej dotąd miłości i całkowite zahipnotyzowanie. Płakałam i całowałam małe rączki, nóżki i brzuszek.

Od tej chwili macierzyństwo zawładnęło mną bez reszty. Cały mój świat zamknął się w niespełna czterech kilogramach zawiniętych w kolorowe szmatki, z których co chwila dobywało się ćwierkanie. Noworodki wydają przedziwne dźwięki, taki prawdziwy płacz można usłyszeć dopiero po kilku dniach. Na początku brzmi to jak skrzeczenie sroczki i miauczenie myszkołowa.

Na trzeci dzień mogłyśmy wrócić do domu. Do końca nie był to nasz dom. Wynajęte mieszkanie na poddaszu, a tak naprawdę — część przedwojennego dużego mieszkania. Po wojnie przedzielono

Od tej chwili macierzyństwo zawładnęło mną bez reszty, 1981.

je ścianami, uzyskując w ten sposób kilka klitek. Wchodziło się do czegoś, co było kuchnią, korytarzem i pokojem jednocześnie. Prócz tego był jeszcze jeden pokój i łazienka, oddzielona od reszty ścianą z dykty. Sąsiedztwo też było nie do pozazdroszczenia. Obok mieszkała pani handlująca wódką i swoim mocno już nadwężonym ciałem. Jej klienci czasem mylili się i walili w nasze drzwi, a prawie codziennie na naszej wycieraczce spał jakiś jegomość o mocno podejrzanym wyglądzie. Zresztą kto inny mógłby sypiać na wycieraczce? Kłopot w tym, że drzwi otwierały się na zewnątrz i trzeba było użyć siły, aby je odtarasować. Wszystko to jednak było nieważne. Miałam swoje cudo i patrzyłam, jak zaciska piąstki, śpiąc w drewnianym łóżeczku ze szczebelkami.

Marta była bardzo ładnym noworodkiem. Miała zgrabną „egipską” główkę, gładką cerę, czarne brwi i włoski. Pierwszy wieczór w domu był jak święto. Siedziałyśmy z mamą, wpatrując się

190

Marta była bardzo

ładnym noworodkiem

— w wynajętym mieszkaniu

z Pawłem Stachowiakiem,

1981.

w dziecko, a ja zapytałam: „Mamo, jak myślisz, czy jest jej u nas dobrze?”. „Najlepiej” — odpowiedziała mama i przytuliła swoje dziecko.

Tak wiele mówi się o miłości macierzyńskiej i o tym, że jest to uczucie wyższe, przypisane gatunkowi ludzkiemu. Nie zgadzam się z tym ani trochę. Uczucia popychające matkę do oddania życia za małą istotę niczym nie różnią się od desperacji suczki broniącej szczeniąt czy małpki, która nie może pogodzić się ze śmiercią swojego dziecka i tygodniami nosi martwe ciało. Miłość macierzyńska jest potrzebna tam, gdzie od matki zależy dalszy los jej potomstwa. Wszystkie ssaki rodzą się niezaradne i zginęłyby bez matczynego mleka i ciepła. U wszystkich ssaczych matek zaraz

po porodzie uruchamia się pewien hormonalnie uwarunkowany mechanizm: „jestem po to, aby moje dziecko przeżyło”. U różnych gatunków różnie się to przejawia, ale pobudki są te same. Zdrowa psychicznie matka ludzka, psia, kocia, mysia i słoniowa ma w głowie jedno: DZIECKO. U kobiety stan „uzależnienia” od własnego potomka trwa około czterech lat. Potem dochodzi do głosu miłość rozważniejsza, mniej „chemiczna”.

Ja byłam wzorcowym przykładem ssaczej matki. Uruchomiły się we mnie pokłady energii, o którą nigdy bym się nie podejrzewała. Mogłam nie spać, a nie byłam śpiącą. Nie czułam zmęczenia, gdy taszczyłam ciężki wózek na trzecie piętro. A cały mój intelekt skierował się na przewidywanie i usuwanie ewentualnych zagrożeń z życia mojego dziecka.

1-

Następnego dnia po powrocie ze szpitala odwiedzili nas moi teściowie — dziadkowie Marty. Przyjęłam ich w naszym salono- 191 -kuchnio-korytarzu. Marta spała w pokoju obok. Piliśmy herbatę, rozmawialiśmy, w pewnym momencie teściowa wstała ze słowami: „Chodźmy zobaczyć naszą wnusię”. Zerwałam się i jak Rejtan zatarasowałam drzwi. „Marta śpi” — orzekłam i to, co miałam w oczach, kazało teściowej się zatrzymać. Nie wpuściłam ich do pokoju z moim skarbem. A może byli zagrypieni? A może chcieliby dotknąć dziecko brudnymi rękami? Można to jedynie skwitować stwierdzeniem, że oszalałam. Byłam zwariowaną kwoką. Bezpośredni dostęp do Marty mieli, oprócz mnie, moja mama, Beba, babcia Irena, mój mąż Paweł, ale pod moją kontrolą, i Fama. Z czasem zaszczytu dostąpili teściowie, ale musieli trochę poczekać.

Bardzo mi pomagała babcia Irena, kiedy po dwóch tygodniach postanowiłam wrócić na studia. Przyjeżdżała codziennie o siódmej rano i zostawała z prawnuczką. Miałam do niej ogromne zaufanie. Jak nikt umiała opiekować się niemowlakiem. Przy niej dziecko nie miało powodu, aby zakwilić. Tak naprawdę to Marta

W lipcu 1981 roku Marła została ochrzczona... chrzczył ją ks. Jerzy Popiełuszko.

przy nikim nie kwiliła dłużej niż minutę. Była dzieckiem „naręcznym”, noszonym i karmionym na żądanie, czyli co chwilę.

Fama przyjęła nowego członka rodziny z radością, a mój stosunek do maleństwa udzielił się jej natychmiast. Cały czas spędzała pod łóżeczkiem Marty i nikomu poza nami nie pozwalała zbliżyć się z nadmierną bliskością. Moja wariacja nie ograniczała się do strachu przed „złym okiem”.

Mieszkałam na pochyłej ulicy i miałam obsesję, że wózek z dzieckiem może mi się wysliznąć i odjechać. Przywiązywałam więc sobie wózek do ręki albo, jak kto woli, rękę do wózka.

Prawie do czwartego roku życia Marty spałam razem z nią, nie tylko po to, aby być na każde zawołanie, ale także, żeby słyszeć, jak oddycha.

Powrót na zajęcia nie był łatwy. Karmiłam Martę piersią i co dwie godziny „urywałam się” z ćwiczeń lub wykładów, aby dojechać do domu i nakarmić małą pijawkę. Nie miałam samochodu

i wymagało to dużego wysiłku. Mimo to udało mi się skończyć studia z bardzo dobrym wynikiem. Moja przyjaciółka z roku, zwana Borówką, opowiedziała mi niedawno coś, czego nie zapamiętałam. Podobno kiedy po moim porodzie spotkałyśmy się na wydziale, zapytała

mnie o dziecko. Spojrzałam na nią rozmarzonym wzrokiem i powiedziałam tylko jedno słowo: „piękna”. Tak, byłam pod absolutnym urokiem mojej córki.

W lipcu 1981 roku Marta została ochrzczona imionami Marta Magdalena. Chrzcił ją ksiądz Jerzy Popiełuszko. Nasz starszy kolega Piotrek Szpotański leczył psa księdza Jerzego i choć on sam nas nie znał, to my nie tylko go znaliśmy, ale i podziwialiśmy. Na ojca chrzestnego wybrałam mojego kuzyna Alka, syna siostry mojego ojca — Mii. Matką chrzestną była nieżyjąca już ciotka Pawła, siostra teścia. Zaraz potem wyjechałam na wakacje z moją siedmio-miesięczną ślicznotką do miejscowości Urle, 80 km od Warszawy.

W tamtym czasie było to popularne miejsce letniego wypoczynku warszawskich mam z dziećmi. Jak okiem sięgnąć, Urle pełne były dziecięcych wózków, rowerków i krzątających się wokół mam i babć. Miejsce na letnisko w Urlach, u państwa Grod-kowskich, wyszukała moja mama. Dwa drewniane budynki, pamiętające przedwojenne czasy, zajmowane w lecie przez rodzinę właścicieli i letników. Gospodyni, pani Grodkowska, zażywna i bardzo wesoła, robiła wrażenie groźnej. W rzeczywistości była to kobieta o złotym sercu. Jej mąż, szczuplutki, zapalony majsterkowicz i wędkarz. Córka Ania z mężem Eugeniuszem i kilkuletnią córeczką Małgosią. No i jeszcze suczka, pudelka Kisa. Polubiliśmy się ogromnie. Czułam się tam jak w domu. Państwo Grodkowscy już nie żyją, ale z ich córką i zięciem mam kontakt do dziś.

Dziecko, psy, papugi, kury, kaczkę i królik

Zaraz po studiach Paweł wyjechał na kilka miesięcy do Niemiec. Teść „załatwił” mu tam pracę na budowie. Zarobił trochę pieniędzy-194 dzy i przy znaczącej pomocy jego rodziców kupiliśmy mieszkanie. Tak naprawdę to wyboru mieszkania dokonali teściowie. Ja zobaczyłam nasze lokum, gdy było już kupione. Mimo to polubiłam i mieszkanie, i miejsce — ulica Klaudyny, warszawskie Bielany. Trzy pokoje, widna kuchnia, łazienka, toaleta i duży balkon. Wszystko na piątym piętrze. Przeprowadziliśmy się w przeddzień ogłoszenia stanu wojennego, 12 grudnia 1981 roku.

Nigdy nie zapomnę zmrożonego, niedzielnego ranka i przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego. Poczulałam to, co większość Polaków — strach. Trzymałam na ręku Martę i patrzyłam przez okno na zaśnieżony Lasek Bielański, do którego wjeżdżały czołgi. To idiotyczne uczucie. Uzbrojeni żołnierze w miejscu spacerów matek z dziećmi. W pewnej chwili coś zamigotało zielenią na naszym balkonie. Jakby wiosenny listek spadł z zielonego drzewa. Do wiosny było jeszcze daleko, a poza tym wiosenne liście nie spadają z drzew. Wyjrzałam, a na parapecie siedziała zziębnięta papużka falista. Samczyk, taki sam jak ten, który przyleciał na Wspólną, gdy miałam może trzy lata. Tamten też przyleciał w grudniu. Wzięłam

w ręce drżącą z zimna kruszynę. Papużek zamknął oczy i wtulił się w ciepło mojej dłoni. Musiał wyfrunąć komuś przez okno, może podczas przedświątecznych porządków. Na szczęście miałam klatkę. Po paru dniach dokupiłam mu żonę i szybko dochowaliśmy się kilku papużek.

Papużki faliste to, moim zdaniem, poza nimfami jedyne papugi, które można więzić w mieszkaniach. Moda na duże papugi, takie jak żako, kakadu i ary, to bardzo zła moda. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że papuga jest ptakiem słońca, zielonego lasu i członkiem licznej społeczności, bez której trudno jej żyć. Serce mi pęka, gdy widzę te piękne ptaki pozamykane w klatkach dla zaspokojenia ludzkiej próżności. Jesteśmy paskudnym gatunkiem.

Moje papużki miały do dyspozycji całe mieszkanie. Klatka była zawsze otwarta, a one z upodobaniem obskubywały brzegi książek stojących na półkach. Miały zamiłowanie do literatury, interesowała je sztuka kulinarna i podróże. Wszystko, co nadawało się Na spacerze z Martą i Famą, 1982.

do czytania. Nawet poezja nie uszła ich uwagi. Ten, kto wymyślił powiedzonko o ptasim mózdzku, na pewno nie znał papużek falistych.

Obok naszego bloku był sklep Agromax. (Dziś to samo miejsce zajmuje sklep Globi). Pogoda była zła, ale trzeba było coś jeść, więc wsadziłam Martę do wózka i poszliśmy do sklepu. Przed wejściem stała mała trzęsąca się suczka. Taki ratler olbrzymi albo miniaturowy doberman. Spędziłyśmy w sklepie trochę czasu, licząc na to, że „rzucą” jakąś mortadelę lub ser. Nie rzucili. Wyszłyśmy ze sklepu i widzę, że przy drzwiach dalej waruje i trzęsie się chude biedactwo. „Czekasz na kogoś?” — zapytałam. „Na ciebie” — odpowiedziała i dziarsko pomaszerowała z nami do domu. Famka przyjęła nową „siostrę” z pełną aprobatą. Żunia, Żorzeta, Madame Żuzu, a kiedy uciekała lub robiła „demolkę” w mieszkaniu — Rzeżączka. Tyle imion dostała czarna podpalana suczka w białych rękawiczkach. Żunia była niezwykłym psem. Lubiła robić sobie samodzielne wycieczki. Ludzie widywali ją w autobusie na trasie do śródmieścia. Zawsze wracała, aby za kilka tygodni znowu wypuścić się „w miasto” na kilka godzin. Poza tym miała jakiś psychiczny defekt zmuszający ją do demolowania mieszkania podczas nieobecności ludzi. Z uporem zrywała wszystko, co wisiało, a znalazło się w jej zasięgu. Firanki, ubrania powieszona na wieszakach. Umiała otwierać sobie drzwi do szafy i dotąd skakała na wiszącą tam garderobę, dopóki wszystko nie spadło na podłogę. Było to niesłychanie uciążliwe, ale skończyło się, gdy moja Bebunga porozmawiała z Żunią.

Beba bardzo lubiła psinę i czasem zabierała ją do siebie na Wspólną. Pewnego razu musiała wyjść i zostawić Żuzę samą. Przyklekła obok fotela, na którym spała suczka, i powiedziała: „Żuniu, muszę na chwilę wyjść. Bardzo cię proszę, nie zniszcz niczego”. Od tamtej pory madame Żuzu jakby zapomniała o swoich niszczyielskich skłonnościach.

/

Fama przyjęła nowego członka rodziny z radością.

i

197

Po skończeniu studiów wzięłam urlop wychowawczy, chciałam poświęcić cały czas mojemu dziecku. Nie straciłam jednak kontaktu z zawodem, gdyż w niedziele i święta brałam dyżury w Katedrze Chirurgii Małych Zwierząt na Grochowie. Była to praca na umowę zlecenie, mogłam więc od wiosny do jesieni przebywać z Martą w Urlach. Wkoło lasy, obok czyściutki Liwiec — rzeka stworzona dla dzieci. Mieliśmy wtedy małego fiata. Można, a raczej nie można sobie wyobrazić, jak wyglądał ten mały samochodek wypakowany sprzętem i jedzeniem na kilka miesięcy. Między poduszkami i gankami dziecko, dwa psy, klatka z papugami i dwoje dorosłych ludzi. Dziś nie wiem, jak udawało się to wszystko zmieścić. Po prostu nasz fiacik był z gumy.

Bardzo lubiłam wakacje w Urlach. Nie było tam żadnych wygod. Przez szpary w ścianach widziałam, jaka jest pogoda. Wodę trzeba było czerpać ze studni z najprawdziwszym żurawiem.

J

861

Bardzo lubiłam wakacje w Urlach — mała Marta.

Wynajmowaliśmy dwa pomieszczenia. W jednym była kuchnia z glinianym piecem — lepka, a w drugim sypialnia — dwa łóżka z prawdziwymi siennikami wypchanymi pachnącym sianem. Wstawałam raniutko, aby napalić w lepce, nabrać wody w studni i zacząć szykować jedzenie dla Marty i psów. Potem odbywało się pranie pieluch. Najpierw grzanie wody do prania w wielkim garze, a płukanie już w lodowatej, studziennej. Cały dzień upływał mi na fizycznej pracy. Wieczorem byłam tak zmęczona, że chodziłam spać z kurami. Może nie do końca z kurami, bo z psami w łóżku i kaczkami pod łóżkiem.

Pani Grodkowska hodowała trochę drobiu. Kaczor i kaczka wprowadziły się do mnie pod łóżko, widać uznały, że jest to doskonale miejsce na nocleg. Mimo że trochę brudziły, przystałam na ich towarzystwo. Były bardzo sympatyczne i przed zaśnięciem 200 szeptaly i skrzypiały w kaczym języku. Fama i Żunia nie miały Pierwsze urodziny Marty, 25 października 1981.

Marta z Famą i Madame Zużu, 1982.

nic przeciw nowym lokatorom, więc i ja nie oponowałam. Fama mimo swej nerwowości nie wykazywała żadnych objawów agresji w stosunku do innych zwierząt i małych dzieci. Doszło do tego, że gdy wylegiwała się na ścieżce, którą szły kaczki, te nie omijały jej, tylko gramoliły się przez grzejące się na słońcu cielsko. Kury też szybko zorientowały się, że duża tłustawa wyżlica po prostu je lubi. Nie zapomnę widoku, gdy kura zażywała piaskowej kąpieli, opierając się o plecy Famy.

Nie pamiętam już, podczas którego z pobytów w Urlach jakiś jegomość chciał sprzedać dorodnego królika na pieczeń. Niedoszła pieczeń łypała błyszczącym oczkiem, a moje serce krzyknęło NIE! Kupiłam królika i nie tylko nie zrobiłam z niego pieczeni, ale umieściłam go w rogu kuchni, odgradzając jego miejsce deskami. Miał tam siano i mnóstwo smakołyków, a w ciągu dnia galopował po trawie w towarzystwie psów. Już po paru dniach z królika zrobił się prawdziwy tyran. Gryzł psy i atakował ludzi, łapiąc ich za nogi.

202

Moja mama z Martą, święta Bożego Narodzenia, 1984.

Jedyną osobą, którą darzył specjalnymi względami, była Marta. Siadywali razem w piaskownicy i coś tam sobie szeptali.

Zwykle cały tydzień spędzałyśmy z Martą i zwierzętami same, a w sobotę wieczorem i w niedzielę zjeżdżała rodzina z wałówką. Poza tym przyjeżdżali znajomi i sobotnie wieczory upływały przy ognisku. Zazwyczaj było nas naprawdę dużo. Cała podłoga zasłana była materacami i śpiworami, a każdy chciał do śpiwora psa, bo noce bywały chłodne. Ostatnie moje długie wakacje w Urlach były bardzo smutne. Marta miała wtedy cztery lata. Famka zaczęła miewać ataki padaczki i ataki niekontrolowanej agresji. Nagle dostawała „szklanych oczu”, nic do niej nie docierało, potrafiła wtedy rzucić się z zębami na człowieka. Pogryzła teściową i Pawła, a kiedy zaatakowała koleżankę Marty, postanowiłam zrobić to samo, co kiedyś z Minią. Miałam rozdarte serce. Kochałam Famę, ale wiedziałam, że przy ówczesnym stanie wiedzy weterynaryjnej nic nie da się zrobić. Widziałam, że suczka ma niepokojące, pogłębiające się zaburzenia w zachowaniu. Dałam jej ogromny puc mięsa nafaszerowany środkiem uspokajającym, a gdy przysnęła, podałam środek usypiający. Potem zupełnie świadomie złamałam dane sobie przed laty przyrzeczenie. Upiłam się. Siedziałam na podłodze nad zawiniętym w prześcieradło ciałem mojej suczki, piłam prosto z butelki i płakałam. Czułam się okropnie. Następnego dnia czułam się jeszcze gorzej. Żunia patrzyła na mnie, jakby mówiła: „Nie chcę być sama. Gdzie jest Fama?”. Kac i spojrzenie Żuni zmusiły mnie do działania. Pojechałam do Warszawy i kupiłam jamniczkę. Dunia, Duniasza, Dunieczka — brązowa, okrągłutka kiełbaska na krótkich nóżkach. Zaprzyjaźniły się z Żunią i przeżyły razem piętnaście lat, z czego większość pod kołdrą lub na mojej poduszce.

203

Dunia i Żunia

«

Duniasza była przedziwną istotą. Trafiła do mnie, gdy miała siedem tygodni. Malutka jak szcurek i strachliwa jak pisklę przepiór-204 ki. Nigdy nikt nie podniósł na nią nawet głosu, a Dunia bała się tak na wszelki wypadek. Chciałam dać jej na imię Wanda, ale mama się nie zgodziła, bo miała Wandę koleżankę. Rodowodowo jamniczka zwała się Anda Trilby. Anda-Wanda, Wandunia-Dunia, i tak zostało. Kiedy przywiozłam ją do domu, była przerażona i

uciekła pod łóżko. Dopiero wieczorem, gdy wyjęłam pościel, Dunia się rozpromieniła i zameldowała pod kołdrą. Poszliśmy spać. Następnego dnia jechałyśmy do Urli. Rano po obudzeniu szukam szczeniaka w pościeli, a tu nic. Nie ma psa. Podnoszę poduszkę, a pod nią leżą „sprasowane zwłoki” jamnika. „Boże! Zadusiłam psa”, pomyślałam przerażona, a tu zwłoki łypią na mnie brązowym oczkiem i koniuszek ogonka podryguje radośnie: „Jak ci się spało? Bo mnie znakomicie”. Żunia była zachwycona nową, młodszą siostrą. Dunia na wszelki wypadek bała się Żuni, ale bardzo krótko. Szybko zorientowała się, że Żuza, choć nieduża, to dzielna i życie odda za swoich. W jej towarzystwie Duniasza czuła się znacznie pewniej i pozwalała sobie nawet na obszczekiwanie obcych. Zawsze jednak dwa kroki za plecami Żuni.

Były zupełnie inne i chyba na magnetycznej zasadzie „plus ciągnie do minusa” pokochały się niezwykle mocno. Dunia — doma-torka, „podkołderna”. Żuza — ciekawa świata, odważna indywidualistka.

Dunia nie lubiła wychodzić na spacer. Uważała, że to bardzo niebezpieczne. Poza domem można spotkać agresywną wronę lub kaczkę. Można zostać napadniętym przez stado gołębi albo wy-chłostanym przez złośliwą gałąź wierzby. A już zupełnie nie do przyjęcia są zimowe spacer. Śnieg włazi między palce i mrozi brzuszki. Wiatr smaga cienkie jamnicze uszy i w ogóle ZIMA JEST OKROPNA. Mimo takiej opinii Duni na temat spacerów w zimowe dni wynosiłam ją na dwór choć na chwilę. Szybko robiła siusiu i parę kroków, po czym wywracała się na plecy i wyla tak, jakby ją poturbował mechaniczny potwór. Ludzie patrzyli na mnie jak na oprawcę, kiedy niosłam do domu zawodzącego przeraźliwie jamniczka. Dopiero w ciepłych piernatach Dunia dochodziła do siebie i przestawała łkać.

Dunia dożyła piętnastu lat. Żyłaby dłużej, gdyby nie trucizna na szczury rozkładana na naszym osiedlu przez okrutnego wroga życia. Poza upodobaniem do leniuchowania w pościeli miała Dunia prawdziwą pasję —jedzenie. Była zawsze głodna i smakowało jej wszystko. Spleśniały chleb dla gołębi rozrzucony po trawniku, papier po maśle albo zużyta, żeby nie powiedzieć, zżuta guma do zucia. Trudno się dziwić, że nie oparła się kawałkowi mortadeli nafaszerowanej trutką na szczury. Nie myślałam, że tak bardzo będzie mi jej brakowało.

Praca

Myślę, że jestem uzależniona od pracy. Dla mnie praca jest sposobem na życie i lekarstwem na wiele dolegliwości. Cały kłopot 206 w tym, że nie znoszę tak zwanej pracy pozorowanej — siedzenia „na stanowisku” od ósmej do czwartej i udawania, że się pracuje. Dziś jest to już rzadsze zjawisko, ale kiedyś działało się tak nagminnie. Na moje szczęście wtedy, gdy jeszcze nie pracowałam na własny rachunek, nie musiałam pracować „pozornie”.

W czasie urlopu macierzyńskiego odbyłam staż i przyjmowałam dyżury świąteczne w Klinice Chirurgicznej na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej. Marzyłam, aby dostać tam etat. Niestety zmarł nagle nasz wspólny nauczyciel — profesor Żakiewicz, ówczesny szef chirurgii, a jego następcy nie znaleźli dla mnie miejsca. Wtedy było mi bardzo przykro, tym bardziej że profesor Żakiewicz zapewniał mnie, że przydam się w jego zespole. Dziś wiem, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, bo trafiłam w 1984 roku do Kliniki Chorób Zakaźnych w Katedrze Epizootiologii. Poznałam tam wspólnych ludzi i nauczyłam się bardzo dużo. Wielka szkoda, że czas zabiera nam wspólnych ludzi, bez których nic już nie będzie tak samo. Wydział mieścił się na ulicy Grochowskiej 272. Wtedy była to jeszcze prawdziwa warszawska

Praga. Choć większość warszawiaków miała jak najgorsze zdanie

o tej dzielnicy i jej mieszkańcach, to nasze kontakty z Pragą wcale nie były takie złe. To prawda, że mieszkała tam cała elita światka spod ciemnej gwiazdy, ale był to zupełnie inny światek niż dziś. Przychodzili do nas z psami kieszonkowcy, sutenerzy i Bóg jeden wie, kto

jeszcze. Zawsze płacili za leczenie swych pupili i odnosili się do nas ze specyficzną, właściwą im kurtuazją.

Zazwyczaj na wieczornym dyżurze siedziałyśmy z Teresą Richter. Z nami tylko pan Czesio, pełniący funkcję sanitariusza. Strój pana Czesia nie bardzo pasował do gabinetu chorób zakaźnych — kufajka i gumofilce. Sławne gumofilce pana Czesia. Jeden z nich wydawał podczas chodzenia dźwięk do złudzenia przypominający miauczenie kota. Można sobie wyobrazić, co działo się w poczekalni pełnej psów, gdy pan Czesio wchodził ze słowami: „Następny proszę”. Poza nami na całym wydziale tylko stróż przy bramie.

1 zaczynał się korowód przedziwnych postaci szukających pomocy dla swoich podopiecznych.

Wysoki, chudy, z ufarbowanymi na czarno włosami i wąsem sutener ze swoim „wilkiem”. Lekki rudy odrost ujawniał prawdziwy kolor włosów i zarostu, a na szyi zawsze pysznił się czerwony krawat z chińskim smokiem. Już od drzwi słyszałyśmy: „Witam, moje królowe!”. Potem wyłuszczał psi problem, a na koniec zawsze zachęcał nas do zmiany profesji. „Co wy tu zarabiacie, królowe złote. Takie kobity u mnie jak w raju by miały”. Dziękowałyśmy za ofertę, a on w końcu przyznawał nam rację, bo kto by mu psa leczył, i zawsze zapewniał, że my na Pradze nie musimy się niczego bać. Byłyśmy pod specjalnym nadzorem praskiej elity. Przychodzili dwaj kieszonkowcy z ratlerkiem. Zawsze „na bani”. Często brakowało im pieniędzy, ale zaciągnięty dług skrupulatnie zwracali. „My honorowe chłopaki. Tylko skoczmy na miasto i zaraz się zwróci”.

Przychodziła pewna mieszkanka Pragi z kurą. Kura była już stara, ale zdrowa. Jej opiekunka nie chciała nam wierzyć, że pogorszenie kondycji kury wynika z leciwego wieku.

Skierowaliśmy oczywiście ją i kurę do profesora. Ten zalecił zmianę klimatu. Wyjechały do Zakopanego, ale stan kury nie polepszył się ani na jotę. W końcu gdy kura zeszła z ziemskiego padołu, jej nieszczęsna właścicielka nie umiała się z tym pogodzić i szukała cudotwórcy, który wskrzesi ulubienicę.

Najwięcej emocji dostarczała nam nieżyjąca już pani Drzewiecka. Prowadziła na Pradze niewielkie przytulisko dla psów. Naprawdę kochała zwierzęta, lecz niedomagająca z organizacją swojej ochronki. Upodobała sobie mnie i Teresę. Zwoziła do nas schorowane psie nieszczęścia, a my robiłyśmy, co w naszej mocy, aby im pomóc. Pewnego razu jacyś podli ludzie zniszczyli jej minischronis-ko. Pani Drzewiecka była kobietą czynu. Przyjechała na wydział, zabrała panu Czesiowi klucze do zwierzętarni i we wszystkich pustych klatkach i boksach umieściła swoich podopiecznych. Nikogo nie wpuszczała do wydziałowych budynków. Pan Czesio bał się jej trochę i zdecydował interweniować u szefostwa. Pamiętam, że i tak nie poszło łatwo, bo profesorom nie udawało się przekonać zdesperowanej kobiety, że to państwowa instytucja. W końcu poszli na kompromis i część psów została u nas. Pani Drzewiecka była od tego czasu tak wdzięczna, że postanowiła mnie i Teresę dożywiać.

Przynosiła nam zawinięte w gazetę ciastka i zachęcała: „Jedzcie, takie chudziny z was, moje złote”. Doszło do tego, że musiałyśmy się chować przed jej natarczywą troską. Na hasło „Drzewiecka” zamykałyśmy się już to w szafie, już to w toalecie.

Mieliśmy w katedrze etatową koteczkę myszołapa. Co prawda niespecjalnie wywiązywała się ze swoich obowiązków, ale i tak była ulubienicą wszystkich pracowników. Koteczka miała już swoje lata, ale mimo to zrobiła nam prezent — urodziła kociaka. Zaraz następnego dnia dzieci przyniosły do gabinetu dwa ślepe wiewiórcze noworodki znalezione w parku po burzy. Decyzja była natychmiastowa — podkładamy kotce.

Kotki to najlepsze mamki na świecie. Przyjęłyby nawet żabę, aby tylko chciała ssać. Tak było i tym razem. Co prawda kotka trochę się zdziwiła, skąd nagle z jednego dziecka zrobiła się trójka, ale zaraz zajęła się toaletą malutkich wiewiórek. Kociak rósł i wiewiórki rosły na kocim mleku. Kiedy zaczęły już baraszkować i skakać po maminej głowie, kotka przyglądała

się całej trójce z pytaniem w oczach: „Czyja aby dobrze pamiętam wszystkie prywatki, na które chodziłam?”.

Wiewiórki szybko dorosły i trzeba je było zabrać z matczynych objęć. Nie pamiętam, kto wziął samiczkę. Ja wzięłam samczyka. Wychowany przez kota i ludzi, nigdy nie poradziłby sobie na wolności. Nazwałam go Józef. Na cześć pradziadka Józefa. Najpierw zamieszkał w dużej klatce w kuchni. Był jeszcze „dzieckiem” i taki dziecinny pokój mu wystarczył. Czas upływał, a Józio potrzebował coraz większych przestrzeni. Kiedy wypuszczałam go „na pokoje”, psy dostawały kręćka, a Józio ze spokojem demolował mieszkanie. Psy mu w tym zresztą pomagały. Na szczęście znalazła się osoba chętna do zameldowania Józefa u siebie. Koleżanka i sąsiadka — Joasia. Nie miała zwierząt, dla wiewiórki osiatkowała balkon i okna. Józef był zachwycony przeprowadzką, miał całe mieszkanie dla siebie. Nie tęsknił, bo odwiedzałam go prawie codziennie, a jego nowa pani pokochała go całym sercem. Nie dało się nie kochać Józefa. Był przyklepnym figlarzem, tłustym wiewiorem, który biegał po człowieku jak po drzewie, a rano budził swoją opiekunkę, podnosząc jej powieki małymi łapkami przypominającymi dłonie.

Całe mieszkanie przeszło we władanie Józia. Miał na szafie swoją dziuplę — domek dla kota, i kilka innych małych dziupli w szafach. Gromadził tam wszystkie przedmioty, które przypadły mu do gustu. Bieliznę domowników, przybory toaletowe i biżuterię. Gdy coś się zapadziało, wiadomo było, że jest u Józefa. Kradł,

c

o»

III I W f co się dało, a wiktuały zakopywał

jT ft j škł w doniczkach z kwiatami. Joasia

żartowała: „My na pewno z głodu nie zginieemy, bo w doniczkach mamy jedzenia na rok”.

Józio był bardzo towarzyski.

Uwielbiał gości, których używał

jako drzew treningowych. Był bar-

1 (i Hi^ ^* dzo duży i ciężki jak na wiewiórkę

i miał ostre pazurki, więc jeśli ktoś miał cienkie ubranie, zabawa z nim była podbarwiona krwią. Nikt jednak nie miał mu tego za złe. Bo jak można gniewać się na kogoś, kto za chwilę wtuli się pod pachę i zaśmieje jak ufnie dziecko, a poza tym jest jednym z piękniejszych boskich dzieł.

Józio nie dożył sędziwego wieku. Jak wiele dzikich zwierząt trzymany w niewoli, zginął z powodu nie do przewidzenia przez Matkę Naturę. Zjadł tabletki nasenne, które udało mu się wydostać z szafki. Na szczęście nie cierpiał. Za to z tego powodu bardzo cierpiała Joasia.

Choć minęło już wiele lat, zawsze gdy się spotykamy, rozmawiamy o Józiu.

Choć praca w klinice dostarczała mi dużo radości, sprawy domowe nie układały się najlepiej. Moje małżeństwo sypało się i skończyło się rozwodem.

210

W roku 1988 zaczęłam pracować w Katedrze Rozrodu Zwierząt, na tak zwanym Położnictwie, u pana profesora Zdzisława Boryczki. Jeżeli istniałaby skala człowieczeństwa w ramach bycia szefem i obejmowałaby stopnie od jednego do dziesięciu, to pan profesor dostałby dziesięć i pół. Ze wzruszeniem wspominam ten czas i wiecznie spieszącego się profesora. Mam nadzieję, że on też wspomina mnie z sympatią.

Było to chyba najmiłsze miejsce pracy, jakie można sobie wyobrazić. W tym czasie pracowali tu bardzo dobrzy lekarze i — co rzadko się zdarza — wszyscy się nawzajem lubili. Miałam szczęście uczyć się od najlepszych, a oni z przyjemnością dzielili się swoją wiedzą. Dziś taka sytuacja należy do rzadkości. To, że jestem sprawnym położnikiem i chirurgiem, zawdzięczam między innymi Wojtkowi Karczewskiemu, Kubie Jędruchowi, Andrzejowi Maksowi i Ali Wikosz. No i oczywiście profesorowi, który przyjął mnie do swego zespołu, a

nie było to zwyczajne zatrudnienie pracownika. Nie byłem „pełnosprawnym” pracownikiem, a mimo to profesor podjął ryzyko.

Kiedy odchodziłam z Epizootologii, byłam bardzo chora. Nie mogłam normalnie pracować. Kłopoty związane z rozwodem i jego konsekwencjami, co prawda po dwóch latach, ale odbiły się na moim zdrowiu. Dziś pewnie nazwano by to depresją. Pan profesor Boryczko mimo moich obiekcji przyjął mnie i powiedział: „Przyjdiesz do pracy wtedy, gdy będziesz czuła się na siłach. Kiedy poczujesz się gorzej, po prostu idź do domu”. Myślę, że życzliwość ludzi i przyjazność miejsca wyleczyły mnie szybciej niż leki, które i tak przestałam przyjmować dużo wcześniej, niż zalecano. Dziękuję Wam wszystkim.

Cofnijmy się o dwa lata.

Stara miłość nie rdzewieje...

Nastał dzień Nowego Roku 1986. Siedziałam na dyżurze w Klinice Chorób Zakaźnych. Pacjentów było niewielu, bo wszyscy od-212 sypiali sylwestrowe szaleństwa. Koło południa zadzwonił kolega z roku. Wyraźnie jeszcze pod wpływem noworocznego szampana trajkotał jak najęty. Namawiał mnie na karnawałowe spotkanie absolwentów naszego roku. Pomysł był wyśmienity, więc i mnie udzielił się jego zapał. „Mam już ze dwudziestu chętnych, a ty dzwoń zaraz do reszty, to za kilka dni zabalujemy” — zachęcał. Skończyliśmy rozmowę i zaczęłam myśleć, do kogo mam numer telefonu.

Jestem pewna, że w tamtej chwili zadziałał jakiś mój dodatkowy zmysł. Tak jak przed wielu laty w Londynie. Przez siedem lat nie zamieniłam z Bosmanem ani słowa. Nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje. Czy się ożenił, czy ma dzieci, gdzie mieszka, po prostu nic. Ale w tym momencie przypomniał mi się telefon do jego rodziców i zadzwoniłam. To było zupełnie nieprzemyślane, taki odruch bezwarunkowy, jak uderzenie serca lub mrugnięcie powieką. Nie wiem, kogo spodziewałam się usłyszeć, i nie planowałam tego, co powiem. Po prostu wykręciłam numer i czekałam. Dziwne, ale wcale mnie nie zaskoczyło, gdy usłyszałam głos Krzyska.

jfIL. ___ ~MW

Powiedziałam coś o planowanym karnawałowym spotkaniu, a on zapytał: „Co u ciebie?”. „Jestem po rozwodzie”. „Ja też. Gdzie jesteś?” — spytał. „Na wydziale” — odpowiedziałam. Przyjechał w ciągu pół godziny. Nie wiem, jak to zrobił, bo nawet taksówką był to nie lada wyczyn. Są tacy, którzy mówią, że odgrzewane kotlety są niesmaczne. Tu powiem, że nie znają się na kotletach i pewnie nie umieją ich odgrzewać. Odgrzewane kotlety są jeszcze

:

smaczniejsze niż świeże.

a

Zamieszkaliśmy razem, a 7 marca 1987 rokują i Krzysiek wzię-

~

■w

liśmy ślub. Zaczął się szczęśliwy i tak bardzo potrzebny mi wtedy czas. Marta zaakceptowała bez oporów nową sytuację. Miała niepełna sześć lat, a zachowała się jak dojrzała panna. Bardzo polu-

II

II

s

ee biła Bosmana i myślę, że była w tym jego duża zasługa. Wprowa-

S

wg

dziliśmy się do niewielkiego mieszkanka w tym samym budynku przy ulicy Klaudyny, w którym mieszkałam dotychczas. Przypadło 213 mi w wyniku rozwodowego podziału poprzedniego lokum. W tym małym mieszkanku przeżyłam najszcześniejsze chwile w swoim życiu. Znowu wszystko zaczęło układać się w puzzle malowane pastelami. Mieliśmy mnóstwo przyjaciół, a przez nasz dom poza stałymi psimi mieszkańcami przewijały się potrzebujące pomocy zwierzęta.

Był wśród nich młody zajaczek i wspomniany wcześniej wie-wiór Józef, niezliczone ilości wypadniętych z gniazd piskląt, no i różne szczeniaki. Krzysiek bardzo lubił zwierzęta. Na pewno nie mniej niż ja. Pracował w wiejskiej lecznicy, gdzie miał do czynienia głównie ze

zwierzętami gospodarskimi. Po powrocie z pracy „padał na pysk” i wcześniej kładł się do łóżka. Psy natychmiast meldowały mu się pod kołdrą. Układały się koło brzucha jak oseski przy karmiącej zwierzęcej mamie. Może z powodu częstych kontaktów z trzodą chlewną mój mąż, odchylając kołdrę, mówił: „Zobacz. Ja to zupełnie jak karmiąca maciora”. A „maciora” miała kogo karmić.

214

Mój ślub z Krzysztofem Wójcickim (Bosmanem), 7 marca 1987.

i

Postanowiliśmy rozmnożyć Dunię. Była bardzo piękną jamniczką. Na wystawach uzyskiwała doskonałe noty i dostała uprawnienia hodowlane. Pierwsza jej ciąża przeciągała się w nieskończoność, prawie jak moja. W siedemdziesiątym dniu zaczęłam rozważać cesarskie cięcie. Psia ciąża trwa około 63 dni, ale ja zwlekałam, bo Dunia nie wykazywała żadnych objawów patologii. Po 72 dniach Duniasza, choć z oporami i z moją znaczącą pomocą, powiła swoje pierwsze dziecko. Szczeniak był jeden, ale za to, i pewnie dlatego, olbrzymi. Ledwo wydusiliśmy z Krzyśkiem tego grubasa z miniaturowej jamniczki. Psy rodowodowe muszą mieć zapisane w papierach rodowe imiona. Był jamnikiem miniaturowym, więc należało mu się „duże” imię. I dostał takie — Grom z Krywania.

Szczeniaki, kociaki i Pusia

Grom rósł jak na drożdżach. Nie miał konkurencji do matczynej jadłodajni, a poza tym Żunia tak się przejęła rolą cioci, że też za-216 częła produkować mleko i wspomagała przyjaciółkę w obowiązkach karmicielki.

Zawsze chodziliśmy w mieszkaniu boso. Były tego dwa powody. Pierwszy to taki, aby nie nadepnąć zbyt mocno na jakieś zwierzę pętające się pod nogami, a drugi bardziej higieniczny. Psom zdarzało się zostawić gdzieś śmierdzącą pułapkę. Kiedy trafi się w toto bosą nogą, nie ma mowy, aby nie poczuć, inaczej można roznieść na podszewie po całym domu.

Mały Grom liczył już ze cztery tygodnie i niezdarnie maszerował po całym mieszkaniu.

Miałam wolny dzień od pracy i uwijałam się, aby nadrobić domowe braki w sprzątaniu i praniu. Biegając tak, pośliznęłam się na dywaniku i starając się utrzymać równowagę, całym ciężarem oparłam się na drugiej stopie. A moja stopa wylądowała na malutkim szczeniaczku. Poczulałam, jakby coś pękło w środku jego ciała, a mnie pękło serce, dusza i mózg. Piesek leżał bez oznak życia. Płacząc, przeniosłam go do koszyka i kompletnie straciłam rozum. Łkałam i bałam się zajrzeć do psiego kosza. Złapałam za telefon i rycząc jak zarzynany bawół,

dzwoniłam do mamy i do Krzyśka. „Zabiłam psa!!!” — krzyczałam w słuchawkę. Przerazili się nie na żarty i „na sygnale” przyjechali do domu. Pierwszy dotarł mój mąż. Najpierw starał się mnie uspokoić, tuląc i wycierając twarz, a potem zapytał: „Zaglądałaś, może żyje?”. „Nie, nie żyje. Coś w nim pękło” — odpowiedziałam i znowu wpadłam w szloch. Za chwilę pojawiła się mama i moja rozpacz od nowa osiągnęła szczyt, gdy opowiadałam, co się stało. Bałam się nawet patrzeć w stronę koszyka ze

I

fiu

szczeniakiem.

Z

JM

Gdy wszyscy siedzieliśmy na kanapie, lejąc łyż, domniema- •§ ny nieboszczyk wysunął główkę z koszyka i jeszcze chwiejnym * krokiem, ale z ogonem zadartym do góry, ruszył w naszą stronę. Możecie sobie wyobrazić reakcję wezwanej „ekipy ratunkowej”! g Patrzyli na mnie jak na przybysza z kosmosu po awarii wehikułu czasu. Krzyśiek podniósł malucha i obmacał jego ciało. „Zdrowy 217 jak byk” — orzekł, a mały popędził do kuchni i z zapałem wymiółł wszystko, co znalazł w psich miskach. Pomimo to, że wyszłam na histerycznego głupka, byłam bardzo szczęśliwa. Grom pewnie zemdlał pod nagłym ciosem

mojej nogi, ale ponieważ byłam bardzo chuda, a on bardzo elastyczny, nic mu się nie stało. Nie pamiętam, co na to wszystko powiedziała Dunia, a Grom trafił do moich teściów. Niestety zakończył życie bardzo wcześnie. Miał dwa lata, kiedy przejechał go samochód. Następna ciąża Duni przebiegała zupełnie inaczej. Brzuch miała dużo większy i nosiła się z godnością. Był dopiero 58 dzień jej pełnego nadziei stanu. Spokojnie poszliśmy spać. W nocy nic nas nie niepokoiło. Jak zwykle wstaliśmy wcześnie. Już Krzysiek miał wyjść na spacer z psami, ale zdziwił się, że Dunia nie czekała ramię w ramię z Żunią pod drzwiami. Zaglądamy do wiklinowej psiej budki, a tam Dunieczka z dumą karmi cztery dorodne suczki. Patrzyła tak, jakby chciała powiedzieć: „No i co, śpiochy, poradziłam sobie sama”. Dzielna, malutka suczka urodziła swoje dzieci tak cichutko, że nawet Żunia nie wychyliła nosa spod kołdry. To dopiero była radość! Oboje z Krzyśkiem uwielbialiśmy zapach szczeniąt. W niedzielę rano, kiedy nigdzie nie trzeba się było spieszyć, obkładaliśmy się w łóżku szczeniakami. Dunia z Żunią rozkładały swoje jadalnie na naszych poduszkach, a my wsłuchiwalismy się w szczenięce ciamkanie i wzdychanie. To było trochę jak powrót do własnego niemowlęctwa. Mieliśmy przyjaciół — Jasia i Jolantę. Janek nazywa się Kor-ban, więc oboje zostali do dziś Korbasiami. Jaś, starając się poprawić wówczas trudną dla wszystkich sytuację materialną, od czasu do czasu prowadził wymianę handlową z obywatelami ZSRR. Miał tam znajomych hodujących psy rasowe. Kupował na zamówienie 218 czarne rosyjskie teriery albo owczarki kaukaskie, przywoził do Polski i tu sprzedawał je z zyskiem. Zaczął namawiać nas na taki jednorazowy biznes. Oboje z Krzyśkiem nie mieliśmy talentów w tym kierunku, ale brakowało nam pieniędzy. Dobrze byłoby wymienić starego malucha na nowego. Obaj panowie postanowili wydelegować mnie na tę eskapadę. Nie mogli wybrać gorzej. W Związku Radzieckim bardzo chętnie kupowano perskie koty. Miałam zawieźć tam na zamówienie konkretnej rodziny dwie perskie kotki i za pieniądze uzyskane z ich sprzedaży kupić szczeniaka kaukaza. Na psy tej rasy było w Polsce wielu chętnych, płacili dobre pieniądze za puszystego malucha. Jaś załatwił kupno ślicznych kociaków z rodowodem. Jedna kotka była niebieska, druga biała. Nasza Dunia na widok kota dostawała trzęsawko-dygotki i wyła bez ustanku. W związku z tym koty do dnia wyjazdu „zameldowałam” na Wspólnej. Mama była gdzieś w rozjazdach i Beba z ochotą zajęła się persami. Kociaki to słodkie istoty, a Beba umiała docenić ich urok. Spały jej na głowie i w ogóle robiły, co chciały. Nadszedł dzień mojego wyjazdu. Zapakowali mnie do pociągu z koszem pełnym kotów. Na szczęście towarzysze podróży byli bardzo sympatyczni i zgodzili się, aby koty skakały im po głowach. W Moskwie czekali na mnie znajomi Jasia — Natasza i Wołodia. Nataszę poznałam już wcześniej, gdy odwiedziła Warszawę. Byli to uroczy ludzie. Gościli mnie jak królową. Jak na radzieckie warunki, mieli całkiem spore mieszkanie blisko centrum miasta. Jeśli pamiętam, Natasza była nauczycielką, a Wołodia fotografem i oboje kochali psy. Po ich mieszkaniu biegało dwadzieścia osiem psich łap. Tak, mieli siedem psów, a wśród nich pekińczyki. Nie przyznałam się jeszcze do dziecinnego marzenia. Chyba od piątego roku życia, kiedy to pierwszy raz zobaczyłam płaski pyszczek i taneczny chód, zaczęłam marzyć o pekińczyku. Nawet bałam się do tego przyznać. Ja, córka i wnuczka ludzi lasu, myśliwych, chcę kanapowego szczekacza! Potem jakoś nigdy nie nadarzyła się okazja, aby spełnić marzenie. Pekińczyków prawie się nie spotykało. W Moskwie,

4 %

kiedy tuliłam kudłate ciała, tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że pekińczyk to pies dla mnie.

Moi gospodarze zajęli się sprzedażą przywiezionych przeze mnie kociaków. Dostałam za nie całkiem sporą sumkę. Mieliśmy jechać po szczeniaka kaukaza, gdy Natasza zapytała, czy nie

chciałabym obejrzeć małych pekińczyków. Oczywiście, że chciałam. U jej koleżanki pekinka oszczeniła się przed sześcioma tygodniami. Każdy, kto widział szczeniaki pekińczyka, zrozumie to, co stało się później. Padłam na kolana przed stworzonkiem, które wyglądało jak krzyżówka małpki marmozety z misiem koalą. Jak łatwo się domyślić, nie kupiłam kaukaza. Prawie wszystkie pieniądze wydałam na pół kilo ciała okrytego srebrnym futerkiem, uwieńczonego białym ogonkiem. Myślę, że Pusia ważyła mniej niż pół kilo. Tak naprawdę nazywała się Opuncja, ale to kaktus, a Punia była aksamitnym puszkim. Moje serce rozpiekało szczęście. Całowałam mały nosek, wreszcie miałam pekińczyka!

Wracałam z Moskwy do Warszawy potwornie zatłoczonym pociągiem. Był to ostatni dzień, gdy wolno było wywozić z Rosji nieograniczoną ilość telewizorów. Jakiś szal opanował ludzi. Cały pociąg wypełniały pudła z telewizorami. Celnicy patrzyli na mnie trochę podejrzliwie. Nie miałam nawet anteny do telewizora, ale gdy pokazywałam moje cudo, „wymiękali” i dawali mi spokój. Na warszawskim dworcu czekał Krzysiek z Jasiem. „A gdzie pies?” „Tutaj” — powiedziałam wskazując na koszyk, w którym nie zmieściłaby się nawet głowa kaukaza.

Diabli wzięli nowego malucha. Wydaliśmy wszystkie oszczędności na kocio-psią eskapadę, ale gdy pokazałam Krzyškowi mój skarb, nie gniewał się, choć to on w owym czasie miał największy udział w utrzymaniu naszej rodziny. Pusia zawładnęła sercami ludzi i psów. W jej malutkim ciele siedział istic napoleoński duch. Miała rzadko spotykaną nawet u człowieka charyzmę. Spojrzenie lekko wyłupiastych oczu Puni miało niepojętą moc. Wystarczyło, że malutki, podobny do maskotki szczeniak raz popatrzył na dwie dorosłe suczki, i już były pod jego pazurkiem. Żunia i Dunia nie tylko pokochały pekinkę, ale były jej całkowicie podporządkowane. Pusia umiała wzrokiem powstrzymać atakującego ją dużego psa. Wiem, że to brzmi jak opowieść rozhisteryzowanej baby, ale naprawdę tak było.

W naszym domu panował nastrój radości. Było dużo zwierząt, mieliśmy też wielu przyjaciół. W naszym domu często bywały rów- 1
fiu

nież dzieci Krzyśka z pierwszego małżeństwa, Elżunia i Andrzejek. Z. Siostra Krzyśka, Lucyna, miała córeczkę w wieku Marty, Bogusię. •§ Cała czwórka bardzo się lubiła i dawała nam do wiwatu. Rodzice *

im
mojego męża stali się dziadkami Marty, moja mama babcią reszty fj dzieci. To był czas, do którego często wracam myślami, bo mimo § różnych przeciwności losu czułam się bezpiecznie. Potem już nigdy nie miałam w sobie takiej ufności w to, że cokolwiek by się 221 stało, to i tak będzie dobrze.

Jak dobrze mieć sąsiada

Kiedy w roku 1986 wprowadzaliśmy się do nowego mieszkania, spotkało nas nie najmiłsze powitanie ze strony sąsiadów. Przepro-222 wadzka była o tyle niezwykła, że polegała na przenoszeniu mojego niewielkiego dobytku z jednej klatki schodowej do drugiej w obrębie tego samego budynku. Brali w tym udział moi znajomi i rodzina. Każdy coś taszczył i niejednemu coś wypadło. Mama rozbiła na naszej nowej klatce schodowej butelkę sanostolu — witamin dla dzieci w syropie. Pozbierała szkło, ale plama z syropu została. W końcu wszystko leżało i stało w nieładzie w naszym nowym lokum, a my popadaliśmy pokotem, też w nieładzie. Wtedy do drzwi zapukała zbulwersowana sąsiadka. Otworzyła mama i usłyszała, że nasze psy nabrudziły na klatce i mamy natychmiast posprzątać. Zofia posłusznie poszła z papierem, tłumacząc, że to nie psia kupa, tylko syrop dla dzieci. „Nieźle wam się sąsiedztwo zapowiada”

— powiedziała po uprząnięciu resztek sanostolu.

Ze „strażniczką porządku publicznego”, Małgosią Raszkowską i jej mężem Jurkiem, przyjaźnię się do dziś. Na naszym piętrze

— parterze, znajdowały się trzy mieszkania. Poza nami i Raszkowskimi mieszkali tam jeszcze Grażyna i Darek Sarti. Wszyscy mieliśmy małe dzieci, wszyscy byliśmy młodzi i wszyscy przypadliśmy

sobie do gustu. Drzwi się nie zamykały, gdy wracaliśmy z pracy. Czasy były trudne i co kto miał, tym dzielił się z innymi. Darek, z pochodzenia Włoch, świetnie gotował. Był lekarzem i zdarzało się, że wracał z dyżuru bardzo późno. Pichcił po nocy włoskie specjały, a potem budził nas, abyśmy też skosztowali. I tak zaspana gromada w piżamach siedziała u Sartich i konsumowała mocno spóźnioną kolację. W ogóle Darek miał szalone pomysły. Pewnego razu podczas konnych pokazów na Kępie Potockiej zaprzyjaźnił się z dżokejem. Zaprosił go na kolację. Dżokej nie miał gdzie zostawić konia, więc wprowadzili go do domu.

Wierzchowiec był znakomicie ułożony, z gracją wspinał się po schodach i wszedł do mieszkania. Ustawiono go w salonie, a Darek ze swym nowym przyjacielem zaczęli biesiadować w kuchni. Można sobie wyobrazić minę Grażyny, gdy weszła do domu i ujrzała mocno już podchmielony duet męski, a w salonie prawdziwego konia. Nie wiedziała, jak zareagować — po prostu zatkąło. A koń? Koń jak koń, zarżał i zrobił wielką kupę na dywan.

Nie jestem w stanie wymienić wszystkich ludzi, którzy przekraczali próg naszego domu. Było ich naprawdę bardzo dużo i wszyscy byli ważni. Miałam szczęście poznawać ludzi wartościowych, którzy wnosili w moje życie więcej, niż mogłabym się spodziewać. Z większością przyjaźnię się do dziś. W tamtym czasie poznałam Kaję — Klarę Barszczewską. Los tak zrządził, że z kolei ona u mnie poznała swojego obecnego męża, a moją koleżkę z Hoffmanówki — Jacka Wołowskiego. Potem przez wiele lat nie tylko przyjaźniłyśmy się, ale pracowałyśmy razem.

Agatę Kulicką poznałam jeszcze przed urodzeniem Marty. Przez prawie trzydzieści lat „maszerujemy” przez życie, wspomagając się w kłopotach i dzieląc radościami. Była ze mną we wszystkich trudnych chwilach i wiem, że mogę na niej polegać jak na Zawiszy. Dzięki Agacie mogłam zaznać radości żeglowania. Jej mąż,

Andrzej Banaszekiewicz, był miłośnikiem Mazur i żagli. Andrzej przyjaźnił się z Krzyskiem i mnóstwo czasu spędzaliśmy razem. Kilka lat temu w sylwestra zadzwonił telefon. Siostra Agaty, Ela Kulicka, jakimś dziwnym głosem powiedziała: „Andrzej nie żyje”. „Jaki Andrzej?” — zapytałam. „Nasz” — usłyszałam w odpowiedzi. Tak, on był nasz, bo takiego przyjaciela można spotkać bardzo rzadko. Zmarł nagle. Miał czterdzieści jeden lat. Był rosnym, zdrowo wyglądającym mężczyzną. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że jego serce jest chore i nagle powie „pas”. Może to serce nie mogło pomieścić miłości, jaką darzył ludzi i zwierzęta. Najwięcej jej było dla sześciolatniego synka Karola i żony. I to oni do dziś nie umieją pogodzić się z jego odejściem, choć minęło już osiem lat. Ja też nie mogę uwierzyć, że za chwilę nie wpadnie Andrzej i nie zawoła: „Duśka, pakuj się, jedziemy na łódki”.

Wróćmy jednak do czasów, kiedy nikt z nas nie myślał o śmierci. W 1987 roku Marta zaczęła chodzić do szkoły. Tak naprawdę to w pewnym sensie obie zaczęłyśmy, bo była to szkoła muzyczna i towarzyszyłam jej w czasie lekcji fortepianu. Zupełnie nie miałam pojęcia o grze na instrumentach i chciałam się czegoś dowiedzieć, aby potem móc wspomagać moje dziecko podczas domowych ćwiczeń.

A u Korbasiów? W roku 1988 urodziła im się córeczka, Zuzia. Mimo że byli doskonałymi specjalistami w swoich dziedzinach, nie mogli wyżyć z lichych pensyjek. Postanowili wyemigrować do Australii. Mieszkają tam do dziś i niestety widujemy się bardzo rzadko.

Przed ich wyjazdem my też postanowiliśmy podreperować naszą sytuację materialną. Krzysiek pracował w wiejskiej lecznicy i poza śmiesznymi powiedzonkami swojego asystenta, kogoś w rodzaju weterynaryjnej pielęgniarce, niewiele, choć i tak więcej niż ja,

przynosił do domu. Tenże pielęgniarz mawiał: „Panie doktorze, a co ten burak przy panu interpretuje?”. Miało to znaczyć: „A kim on przy panu jest?”.

Pierwsza Komunia Marty, z tyłu widoczny Piotr Sumiński (jedno z ostatnich jego zdjęć), 1989.

Ja pracowałam na uczelni i zarabiałam jeszcze mniej. Ratowałam sytuację, dorabiając prywatnie jako lekarz domokrażca. Postanowiliśmy, że Krzysiek wyjedzie za ocean, aby tam zarobić lepsze pieniądze. Potem kupimy większe mieszkanie i może nam też urodzi się mały człowiek?

Zaraz po Wielkanocy 1989 roku, podczas której Marta przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej, mój mąż wyjechał do USA. Kiedy trzymałam go na lotnisku za rękę i gdy już miał przejść na drugą stronę, mój dodatkowy zmysł powiedział mi, że widzę go ostatni raz. Przez pierwsze lata jego nieobecności odrzucałam przecucie, że Krzysiek nie wróci. Nikomu nie mówiłam o swoich lękach. Znajomi i przyjaciele nie dawali mi czasu na martwienie się, moja intuicja jednak i tym razem mnie nie zawiodła.

Na własny rachunek

Dzięki pracy na Wydziale Weterynarii nauczyłam się być lekarzem. Studia to stanowczo za mało, aby uczciwie pomagać pacjen-226 tom. Trzeba uczyć się od tych, którzy mają już praktykę. Po dziesięciu latach spędzonych w uczelnianych klinikach zapragnęłam zrobić coś na własny rachunek.

Pomysł na otwarcie prywatnego gabinetu wydawał się mało prawdopodobny do zrealizowania. Nie miałam wystarczająco dużo pieniędzy, aby wynająć lokal i kupić potrzebny sprzęt, ale zawsze lubiłam trudne wyzwania. Ze swoich planów zwierzyłam się Kai. Ona też miała braki finansowe i chętnie zrezygnowałaby z pracy w laboratorium analitycznym. Skończyła szkołę dla analityków medycznych i mogłaby bez przeszkód zostać analitykiem weterynaryjnym. Największym wyzwaniem było znalezienie lokalu.

Był początek lat dziewięćdziesiątych i bardzo wielu ludzi próbowało robić coś na własne konto. Nie miałyśmy pieniędzy, a czynsz za jakikolwiek lokal przekraczał znacznie nasze możliwości. W końcu trafiłyśmy na miejsce, które na pierwszy rzut oka mogłoby zniechęcić każdego. Ale nie nas. W budynku, w którym mieszkałam, odkryłyśmy dwoje tajemniczych drzwi. W biurze spółdzielni mieszkaniowej powiedziano nam, że to jakiś zapomniany

227

magazyn, pomieszczenie pierwotnie przeznaczone na toaletę. Najwięcej kłopotu było ze znalezieniem klucza do choćby jednych z dwójga drzwi. Kiedy wreszcie klucze się znalazły, mogłyśmy wejść do środka. To znaczy nie mogłyśmy, bo wewnątrz zalegały sterty gruzu z odpadłych tynków ze ścian i sufitu, sięgające do kolan. Poza tym ten klozeto-magazyn wypełniały zardzewiałe druty i stare framugi okienne.

Otworzyłyśmy jednak gabinet w starym „kiblu”. Założyłyśmy spółkę sprawiedliwą — 50%:50%. Zrobiliśmy generalny remont, kupiłyśmy niezbędny sprzęt i w sobotę 15 maja 1992 roku odbyła się uroczystość otwarcia gabinetu weterynaryjnego „Pod Spłuczką Klozetową”. Oczywiście nie nazwałyśmy go tak, ale doszłyśmy do wniosku, że nie musimy mieć obaw, bo jak interes się nie rozkręci, to zawsze możemy zostać babkami klozetowymi. Szybko okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Jako niedoszła babka klozetowa po roku zrezygnowałam z pracy na uczelni. Żał mi było tego miejsca i ludzi, ale nie dawałam rady pracować rano na uczelni, a wieczorem w gabinecie. Marta była jeszcze mała i potrzebowała mojej obecności. Przez pięć lat wspólnej z Kają pracy było nam wspaniale. Kaja robiła analizy, ja operacje. Miałyśmy podobne poczucie humoru i stosunek do życia, toteż w przerwach między wizytami pacjentów nieraz dostawałyśmy tak zwanej głu-pawki, czyli śmiałyśmy się do rozpuku.

Samodzielna praca lekarza nauczyła mnie pokory wobec tego zawodu, Matki Natury i moich pacjentów. Zwierzęta wiedzą i widzą dużo więcej, niż mogłoby się nam wydawać. Podobnie

jak ludzie, tak i one czasami chcą żyć i leczyć się, a czasami rezygnują. Wtedy nie pomogą nawet najnowsze osiągnięcia medycyny.

Do dziś zajmuję ten sam gabinet, choć nieco już zmodyfikowany. Przez 27 lat pracy w zawodzie lekarza mogłam zauważyć, jak bardzo zmieniła się medycyna i jak przybywa chorób, na które chorują zwierzęta. I nie ma co ukrywać, my też. Z jednej strony fascynują nowe odkrycia w zakresie metod leczenia i leków, z drugiej przybywa lawinowo chorób dręczących nowoczesne społeczeństwa i towarzyszące ludziom zwierzęta. Dlaczego? Bośmy, kochani, sprzedali nawet zdrowy rozum, a wraz z nim uczucia i wiarę. Mówi się „wiara czyni cuda”, i jest to jedno z najmądrzejszych stwierdzeń, jakie znam. Cały kłopot w tym, że nie tyle przestaliśmy wierzyć w ogóle, ale zaczęliśmy pokładać nadzieję w „złych bogach”. Oko i szkiełko, przez które widzimy obraz telewizyjny lub komputerowy, stały się dziś bogami. Wielka szkoda, że odebrały nam rozum tak doskonale działający dopóty, dopóki nasza cywilizacja nie wdrapała się na piedestał. Nie wiem, czy można mieć nadzieję, że któregoś dnia ludzie się przebudzą. I znowu uwierzą, że plan Matki Natury był doskonały. Wszystkie żywe organizmy to doskonałe maszyny życia. To, że dziś są coraz mniej doskonałe, wynika z większej wiary na przykład w „mydełko antybakteryjne” niż w naturalne mechanizmy obronne.

Smutne to rozważania, a przecież czas pracy z Kają był wesoły, choć przerywały go także tragiczne chwile. W ciągu tych kilku lat wydarzyło się tak dużo, że trudno mi wydobyć z pamięci to, co w tym czasie było najważniejsze. Po prostu wszystko było ważne.

Pożegnania

Beba już od dawna chorowała na serce. Zdiagnozowano anginę pectoris. Jej matka i babka zmarły w wieku 62 lat, w lutym. Bied-230 na Beba, od tego lutego, gdy skończyła 62 lata, co roku szykowała się na śmierć. Pierwsze poważne dolegliwości ze strony serca wystąpiły u niej w okresie moich studiów. Babcia trafiła wtedy do szpitala, ale potem nastąpiła poprawa i wszystko wróciło do normy. Po jakimś czasie znowu się jej pogorszyło. Zdarzało się, że traciła przytomność. Cały czas czuwał przy niej ojciec Jacka, Igor Dziaczkowski. Pamiętam, jak po osłuchaniu jej chorego serca przyszedł do kuchni i powiedział do mamy: „Zosiu, przygotuj się, twoja mama może odejść nawet dziś”. Kiedy Igor wyszedł, usłyszałyśmy całkiem mocny głos Beby: „Dzidziu (tak nazywała mamę), Dudeczku!”. Popędziłyśmy do jej łóżka, a Beba spojrzała na nas całkiem przytomnie i powiedziała: „Wszystko słyszałam. Nic z tego. Jutro wstaję”. I wstała.

Po kilku latach Beba znowu trafiła do szpitala z powodu sercowych dolegliwości. Wydawało się, że jest bardzo źle. Lekarka prowadząca poprosiła nas do gabinetu. „Niewiele możemy zrobić. Rokowanie jest złe” — powiedziała. Następnego dnia Beba zupełnie rześkim głosem kazała mamie kupić dwa torty i kwiaty,

bo — jak oznajmiła — zamierza przed opuszczeniem szpitala obdarować lekarzy i pielęgniarki. I tak się stało. Znowu moja kochana babcia wystrychnęła na dudka kostuchę i lekarzy.

Kiedy w 1993 roku kolejny raz poważnie zaniemogła — mając w pamięci poprzednie przypadki, byłyśmy dobrej myśli. Mnie wydawało się, że Beba jest niezniszczalna. Miałam w sobie jakąś dzieciinną wiarę w stałość istnienia ludzi kochanych.

Leżała w szpitalu na Banacha. Odwiedzałyśmy ją z mamą codziennie. Czowała się fatalnie, miała zaburzenia krążenia obwodowego i związane z tym straszne bóle nóg. Na domiar złego zginęła jej górna sztuczna szczeka. To ją kompletnie przybiło. Chcąc poprawić jej nastrój, próbowałam ją oszukać, pokazując dolną szczękę schowaną w szufladzie — raz jako górną, a raz jako dolną. W tym stanie dołączyły się różne halucynacje i coraz częściej traciła kontakt ze światem. Stopniowo nic nie chciała jeść. Był lipiec. Za oknami długie jasne wieczory.

Jednego takiego dnia przyjechałam do szpitala koło szóstej. Beba siedziała w łóżku i uśmiechając się, zażądała jedzenia. Pobiegłam do sklepu i nakupiłam wszystkiego, co

wydawało mi się najsmaczniejsze. Jadła z apetytem. Potem z uśmiechem oświadczyła mi, że była na własnym pogrzebie. „Wiem, że leżę w szpitalu, Dudeczku, nie wiem, jak tam byłam, ale byłam”.

W ten wieczór Beba miała doskonały humor i opowiadała mi surrealistyczne historie, balansując jak na linie między rzeczywistością a fantazją. Niby zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji, ale równocześnie opowiadała mi wrażenia z tego, co się nie stało, a jednak stało się — w jej wyobraźni. „Wyobraź sobie, Dudeczku, że w trakcie mojego pogrzebu Edzio (jej zięć — mój ojciec) przyjechał konno i rozwinął regiment... Pięknie wyglądali. Wszyscy w mundurach”. Bebunia miała przedwojenne patriotyczne uwielbienie dla munduru. Choć mój ojciec nigdy nie był w wojsku, Beba ubrała go w mundur na swój pogrzeb. Śmiałyśmy się przez łzy.

Bebunia tryskała radością i zabrała mnie nad Niemen do Grodna. Tańczyłyśmy na balu z generałem Maczkiem. Rzeczywiście tańczyła z nim kiedyś mazura i została nawet królową balu. Potem powiedziała, że chce spać i kazała mi iść do domu.

Wychodząc ze szpitala, miałam mieszane uczucia. Chciałam wierzyć, że to przełom w chorobie i że tak jak to było dotychczas, Beba zwycięży.

Zmarła we śnie.

Mam nadzieję, że tańczy teraz mazura. Kocham ją tak samo jak wtedy, gdy była blisko. To nieprawda, że zmarłych nie można już kochać. Można, tym bardziej że, moim zdaniem, oni w jakiś niezwykły sposób są z nami.

Zaraz po śmierci Beby przyszła straszna wiadomość z Londynu. Jej przybrany syn, Staś Ferster, doznał wylewu. Zawiadomili nas ludzie, którzy mieszkali u niego. W ciągu kilku dni udało mi się załatwić formalności i mogłam jechać do Stasiulka. Nie wiedziałam, czy jest jeszcze w szpitalu, czy już w domu. Na miejscu wyszła na jaw smutna prawda. Staś, jak to Staś, znowu zlitował się nad potrzebującymi rodakami. Przyjechali do Londynu, nie znali języka, nie mogli znaleźć pracy. Załatwił im pracę. Pozwolił zamieszkać u siebie. Kiedy zabrało go pogotowie, nie zawiadomili nikogo. Dopiero gdy odzyskał przytomność, przestraszyli się i zadzwonili do nas. Tymczasem opróżnili do zera jego konto, do którego w swojej naiwności i wierze w człowieka Staś dał im pełnomocnictwo, aby mogli opłacać czynsz.

Gdy przyjechałam, Staś był już w domu. Dawno nikt nie ucieszył się na mój widok tak jak on wtedy. Z trudem, ale mógł mówić. O chodzeniu i jakiegokolwiek samodzielności nie było mowy. Najważniejsze, że byliśmy razem. Robiłam wszystko, aby czuł się jak najlepiej, a on niewiarygodnie szybko wracał do zdrowia. Po powrocie ze spaceru, na jaki codziennie wozilałam go wózkami, wstawał i robił kilka kroków do swojego fotela. Myślę, że zdrowiał dla mnie. Tak bardzo cieszyłam się z każdego malutkiego zwycięstwa — nad łyżką, która przestała wypadać z ręki — że płakałam, a on wraz ze mną. Nigdy z nikim nie czułam takiego braterstwa dusz jak ze Stasiem. Codziennie gadaliśmy do późnej nocy. Robiliśmy plany. Chciałam zabrać go do Polski. Mieliśmy zamieszkać wszyscy razem w małym domku w pobliżu lasu, hodować kupę psów, kotów i otaczać się przyjaciółmi. Staś wierzył, że mój Krzysiek wróci z Ameryki. Bardzo go lubił.

Czas szybko leciał. Po miesiącu miała mnie zmienić mama. Ja musiałam wracać do pracy i od razu po powrocie chciałam zająć się załatwianiem Stasiowej przeprowadzki do Polski.

B

Już na drugi dzień po moim wyjeździe Staś poczuł się gorzej. -g Mama mówiła, że gasł z dnia na dzień. Znowu trafił do szpitala. Mama nie odstępowała go ani na chwilę. Nie poznawał jej. Cały czas 233 zwracał się do mnie. Odszedł z moim imieniem na ustach. Stasiu, mam domek pełen psów i kotów, taki jak sobie wymarzyliśmy. Tylko Ciebie tu brakuje.

Mama przywiozła prochy Stasia do Warszawy. Teraz Beba, mama i Staś leżą razem na Powązkach.

Rok 1993 zabrał mi nie tylko kochane osoby. Zaraz po moim powrocie z Londynu jakiś potwór zaczął rozkładać na skwerach naszego osiedla kiełbasę nafaszerowaną trutką na szczury. Był tak gorliwy w swojej trucicielskiej misji, że śmiercionośny ładunek wrzucił nawet na mój balkon. Mieszkałam na parterze, więc nie musiał się trudzić, wystarczyło położyć. Mieliśmy wtedy cztery dorosłe psy i cztery szczeniaki. Punia po raz trzeci została mamą. Ojcem jej dzieci był nasz Picuś. Piękny pekińczyk; dożył prawie dwudziestu lat, odszedł w zeszłym roku. Picuś Glancuś naprawdę nazywał się Bob Andrea, ale nikt nie zważał na jego rodowodowe imię i został Picusiem, Picuniem i Picandrem. Uwielbiał swoją małżonkę Pusię i tak samo jak Dunia i Zunia był pod jej pazurkiem. Łatwo można się domyślić, kto zjadł truciznę. Oczywiście Punia.

Mimo szybko wszczętej akcji ratunkowej nie udało się jej uratować. Tego było już za wiele. Nie umiałam sobie poradzić. Płakałam nad jej małym ciałkiem, w którym zegnałam wszystkich, którzy odeszli. Wszystkich, których nie mogłam już przytulić. To niewiarygodne, ale dopiero po śmierci Puni poczułam się okropnie sama. Mówi się, że tak naprawdę człowiek jest zawsze sam. Ja się z tym nie zgadzam. Wiem na pewno, że miłość jest jedynym skutecznym lekarstwem na samotność. Ktoś, kto kocha i jest kochany, nigdy nie jest sam. Nagle przypomniało mi się, że nie ma już dziadzia Piotra i pani Ali. Dziadziuś zmarł kilka lat przed Bebą. Potem odeszła pani Ala. 234 Teraz opłakiwałam ich stratę dużo bardziej niż w dniu pogrzebu.

Wiem na pewno, że miłość jest jedynym skutecznym lekarstwem na samotność — z kotką Krysią, pekińczykiem Picusiem i shar peiką Kiwi.

я3

ES

RS

Cypka Drypka — najmniejsza córeczka Puni.

=■,

o

Punia zostawiła cztery śliczne sześciotygodniowe szczeniaki. Picuś kochał Punię, ale wyraźnie brzydził się szczeniętami i unikał 235 ich jak ognia. Po jej odejściu zaskoczył mnie zmianą stosunku do swoich dzieci. Stał się najbardziej troskliwym ojcem, jakiego widziałam w psim świecie. Ten dzielny mały piesek do końca swoich dni nie spojrzał na inną suczkę. Tylko raz zakochał się w śwince morskiej, ale była to miłość platoniczna. Tego wieczoru, gdy Punia umarła, leżałyśmy z Martą w łóżku i płacząc, postanowiłyśmy, że zostawimy sobie jej córeczkę. Najmniejszą — Cypkę Drypkę. Cy-peczka żyła siedemnaście lat. Truciciela nie złapano, co więcej — po latach znowu dał o sobie znać.

Lek na samotność

Po śmierci Beby mama została sama. Mama i Beba mieszkały razem na Wspólnej. Mimo że miała wielu znajomych, na Wspólnej 236 zrobiło się pusto. Zofia i jej mama nie były wzorem córki i matki. Często się kłóciły, ale trwały razem. Nie wiem, dlaczego mama nigdy na stałe nie związała się z żadnym mężczyzną. Była bardzo ładna i miała wielu adoratorów. Myślę, że nie miała odwagi. A może nigdy tak naprawdę się nie zakochała? Może kochała tylko Edzia i potem nikt nie mógł go zastąpić? Nie wiem.

Moja kochana Zocha była trochę snobką. Lubiła blichtr. Podobały jej się eleganckie samochody i rasowe psy. Postanowiłam kupić jej psa, którego sobie wybierze. W 1993 roku w Polsce nie było takiego wyboru psów rasowych, jaki jest dziś. Na jakimś zdjęciu zobaczyłyśmy szczeniaki rasy shar pei. Obie uległyśmy urokowi pomarszczonych pluszowych istot, które mało przypominają psy. Znajoma hodowczyni sprowadziła dwa kilkumiesięczne shar peie z Czech. Kupiłam czarną suczkę.

Kiwi miała być lekiem na samotność mamy. Była typowym przedstawicielem swojej rasy. Shar peie to uparciuchy w iście oślim stylu. Jak chcą coś zrobić, to „po trupach”, i zrobią. Mają szalony temperament, co w kombinacji z uporem jest trudne do

Kiwi była wspaniałym, kochającym psem.

opanowania. Zocha wyobrażała sobie, że będzie spacerować ulicami Warszawy z pieskiem na smyczy, a ludzie będą się oglądać i podziwiać niezwykłą urodę suczki. Owszem, oglądali się, ale za wykonującą salta panią uwiązaną na końcu smyczy, przypiętej do psa z turbodoładowaniem. Mama miała odarte ze skóry kolana, ręce powyrywane ze stawów i mimo wrodzonej powściągliwości nauczyła się kłąć.

Kiwi w końcu trafiła do mojej psiarni. Była wspaniałym, kochającym psem. Moim lekiem na samotność. Co prawda w moim domu psów nigdy nie brakowało i nie groziła mi samotność, ale...

Krzysiek wyjechał w 1989 roku, a więc mijały już cztery lata. Miał wrócić po pół roku, potem po roku, rzekomo cały czas nie mógł znaleźć dobrej pracy. Termin jego powrotu ciągle się oddalał, a ja zamiast powiedzieć mu: „Niech szlag trafi pieniądze. Wracaj!”, liczyłam na poprawę bytu. Kilka razy doszło między nami do telefonicznych spięć. Czas mijał, a jego powrót stawał się coraz bardziej niepewny.

Kiedys ksiądz Tischner powiedział, że każdy człowiek musi być czyjś. Każdy z nas, nawet gdy ma liczną rodzinę, ale nie ma tego kogoś, do kogo mógłby należeć cały, i dostać kogoś także w całym

237

wymiarze, szuka. Można szukać biernie i czynnie. Ja szukałam nie tylko biernie, ale i bezwiednie. Nie miałam czasu. Praca i zajęcia domowe pochłaniały mi dziewięćdziesiąt procent dnia. Resztę przeznaczałam dla znajomych i przyjaciół.

Jeszcze przed wyjazdem mojego męża do Ameryki poznałam Małgosię Jarzęcką. Wtedy nazywała się inaczej, dziś nazywa się jeszcze inaczej, ale została tą samą Małgosią — moim wielkim przyjacielem. Można powiedzieć, że poznały nas zwierzęta. Poprosiła mnie o domową wizytę. Nie pamiętam już, ale wydaje mi się, że chodziło o nowo narodzone kocięta. Małgosia miała śliczne malutkie mieszkanko na dziesiątym piętrze. Po podłodze pełzał jej roczny synek—Tomek, w towarzystwie mopsa Buldusia, a w dzieciennym kojcu siedziała kotka z kociętami. Trudno się dziwić, że bardzo szybko zaprzyjaźniłyśmy się i zaczęłyśmy spędzać ze sobą 238 dużo czasu. Choć dużo nas różniło, znalazłyśmy prawdziwe braterstwo dusz w „byciu kobietą”. Czasem dyskutowałyśmy na ten temat do białego rana.

W tym czasie grono moich znajomych powiększało się. Przybywało też adoratorów. Nie byłam samotna, ale byłam niczyja. Bardzo chciałam być czyjaś. Przede wszystkim bardzo tęskniłam za Krzyśkiem. Lecz na to, że wróci, nie tylko się nie zanosilo, ale w rozmowie telefonicznej powiedział mi, że on już „należy do Ameryki”. Nie bardzo rozumiałam, jak można należeć do kraju, w którym jest się zaledwie kilka lat, ale widocznie zaraził się „amerykańskim wirusem”, którym zresztą zaraziło się bardzo wielu Polaków. Starłam się, by pojechać do USA, ale nie dostałam wizy.

Miałam trzydzieści parę lat.

Rozwiodłam się z Krzyśkiem w 1995 roku. Kiedy dowiedział się, że nie jest już moim mężem, zadzwonił. W ciągu sekundy cofnął się czas. Jest to dowód na prawo działania „uciekającego króliczka”. Gdy coś tracisz, to „coś” nabiera wartości. Nagle mój byłby mąż

zaprzagnął znowu być mężem. Znowu mnie kochał i tęsknił za mną. Nie tylko uwierzyłam, ale oszalałam ze szczęścia. Dzwonił kilka razy dziennie. Odnajdywał mnie u znajomych. Pytał, czy wyjdę za niego jeszcze raz. „Tak, tak!!!” — krzyczałam w słuchawkę telefonu i płakałam. Miał zaraz wracać, ale nie wracał.

W owym czasie skontaktował się ze mną nasz wspólny kolega ze studiów, Maciek Pietrak. Maciek w kilka lat po uzyskaniu dyplomu wyjechał do Emiratów Arabskich, gdzie pracował jako lekarz weterynarii w dubajskiej lecznicy. W 1995 roku udało mu się wejść w spółkę z obywatelem arabskim i otworzyć w Dubaju prywatną przychodnię dla zwierząt.

Zaproponował mi pracę w owej lecznicy. Bardzo się ucieszyłam, ale postawiłam warunek — bez Kai nie jadę. Szczęśliwie jego arabski partner zgodził się zatrudnić moją przyjaciółkę. Miałyśmy wyjechać w grudniu 1996 lub w styczniu 1997, na rok.

W tym właśnie czasie robiłam specjalizację z zakresu chorób psów i kotów. Była to pierwsza tego rodzaju możliwość po zmianach ustrojowych, jakie zaszły w Polsce i w polskiej weterynarii po 1989 roku. Nauki było bardzo dużo, bo polegało to w zasadzie na powtórce przedmiotów ze studiów, tyle że w nowszym wydaniu. Dzięki temu nie tylko odświeżyłam swoją wiedzę, ale i odnowiłam uczelniane znajomości. Egzaminacje specjalizacyjne miałam zdawać po powrocie z Emiratów.

Jak dziś pamiętam słowa Krzyśka: „Duśka, na sylwestra będziemy bawić się razem przy góralskiej albo arabskiej muzyce”. Wierzyłam, że „za chwilę” go zobaczę. Jeśli nie w Polsce, to w Dubaju.

Nie zobaczyłam. Telefon zadzwonił w środku nocy. Jakimś dziwnym, głuchym głosem Krzysiek powiedział dwa słowa: „Nie wracam”, i odłożył słuchawkę. Nawet nie poczekał na jedno moje słowo: „Dlaczego?”. Potem usłyszałam od jego mamy: „Zapomnij o nim”.

Pustynia wcale nie jesi pusta

Po co ty jedziesz na tę pustynię? — pytali znajomi.

Chciałam oderwać się od codzienności. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo będę tęsknić za Martą, mamą, przyjaciółmi, psami, kotami i w ogóle wszystkim, co zostawiałam.

Traktowałam wyjazd jak nowe wyzwanie zawodowe. Miałam głowę naładowaną świeżutką wiedzą i chciałam ją wykorzystać w zupełnie nowych, nie znanych mi warunkach. Wydawało mi się, że ten wyjazd wiele odmieni w moim życiu, a zwłaszcza że pozwoli mi nabrać dystansu do tego, co działo się ostatnio w moim domu i sercu. W sercu też była pustynia. Nie tylko straciłam nadzieję na powrót kochanego człowieka, ale straciłam dwie ukochane suczki. Tym razem Dunia i Zunia padły ofiarą osiedlowego truciciela. Na nic zdała się moja wiedza. Trutka na szczury działa z opóźnieniem i gdy wystąpią objawy, zazwyczaj jest już za późno. Wiele psów z naszego osiedla straciło życie z ręki szaleńca, który rozkładał zabójcze „smakołyki”. Policja zainteresowała się tą sprawą, ale i tak nic nie mogło wrócić życia naszym ulubieńcom.

Wyjeżdżając, pozostawiłam pod opieką mamy moją córkę Martę i trzy psy: Picusia, Cypkę i Kiwi. Mama przeprowadziła się do mojego mieszkania. Nie miała łatwo, bo Marta weszła w tzw. trudny wiek, wiek buntu. Nawet ubrania nosi się wtedy „na lewą stronę”. Dlaczego? Bo tak!!! A mnie było za kim tęsknić.

Siódmego stycznia 1997 roku na Okęciu Kaja i ja zegnałyśmy się z rodziną i przyjaciółmi. Wsiadłyśmy do samolotu w bardzo dobrych nastrojach. Wtedy jeszcze samoloty latały bezpośrednio z Warszawy do Dubaju. Była to moja pierwsza tak daleka wyprawa. Wcześniej podróżowałam tylko po Europie i raz odwiedziłam « Abchazję. Nigdy nie widziałam prawdziwej pustyni.

a.

Szybko przekonałam się, że pustynia wcale nie jest pusta, 5. a poza tym, że jest niewyobrażalnie piękna. Jej wygląd zmienia się wraz z porami roku i nieraz bywa zupełnie niepustynnie zielona.

s

Na świecie są różne pustynie — piaskowe, skaliste, słone, lodo-we i gorące; żółte, czarne, czerwone i prawie białe. Prawie wszystkie tętnią utajonym, ale bogatym życiem. Na Półwyspie Arabskim 241 można znaleźć ogromne piaskowe wydmy i góry Hajar. Piasek, jeśli rozpoczynamy wędrówkę od Zatoki Perskiej, zmienia się z prawie białego w żółty, żółtoszary, a nawet czerwony. W zimie pustynia zaczyna kwitnąć. To niesłychane, ale z

piasku wyrastają, podobne do hiacyntów, żółte i fioletowe kwiaty. Nie mają liści, tylko łodyga obsypana jest kwiatami. U schnięte patyki stają się zielonymi drzewami i krzewami. Na piasku płożą się zielone suchorośla z daleka przypominające trawę. Jeśli przysiadzie się gdzieś cichutko, można zaobserwować przemykające jaszczurki, śmieszne czarne żuki z bardzo długimi nogami i niewielkie zielone papugi kryjące się w dziuplach pustynnych zarośli. Jednak najbardziej urzekły mnie wielbłądy. Dostojeństwo, z jakim się poruszają i spoglądają człowiekowi w twarz, każe się na chwilę zatrzymać. Tak jakby chciały powiedzieć: „Dokąd się spieszysz, człowieku? Wszak to, żeś się urodził, świadczy o tym, że i tak jesteś już spóźniony”. Wielbłądy, nawet gdy naprawdę się spieszą, wyglądają tak, jakby nie były przekonane o konieczności pośpiechu.

Maciek i jego żona Iza zabrali nas na pustynię do zaprzyjaźnionego poganiacza wielbłądów. Pojechali z nami ich dwaj synowie, Tomek i Marek. Marek, młodszy, miał wtedy nie więcej niż pięć lat. Wsiedliśmy z samochodu przy prowizorycznej zagrodzie pełnej ogromnych wielbłądów. Przy niektórych dreptały malutkie wielbłądziałka. Mareczek bez zastanowienia wbiegł za ogrodzenie. Stał trochę onieśmielony ilością i wielkością zwierząt. Wielbłądzice odwróciły głowy w jego kierunku i bardzo powoli zaczęły podchodzić. Po chwili mały chłopczyk stał w kręgu może dwudziestu olbrzymów. Ich głowy delikatnie pochylały się nad jego główką. Wąchały jasne włoski i coś sobie szeptały. Pewnie mówiły: „Zobaczcie, to ludzkie dziecko. Uważajcie, aby go nie nadepnąć”. O dziwo, Marek wcale się nie przestraszył. Stał spokojnie, a po chwili zaczął głaskać miękkie nosy wielbłądzich cioć. Obie z Kają pozazdrościłyśmy Mareczkowi i też dałyśmy susa między wielbłądzice. Najpierw spojrzwały na nas ze zdziwieniem: „A wy tu po co?”, ale po chwili byłyśmy otulone ciekawskimi szyjami i głowami. Były bardzo spragnione drapania, a przy okazji mogłyśmy powyciągać im kleszcze — pustynną zmorę wielbłądów.

Nie wszystkie wielbłądy są tak przyjazne ludziom. Te były wyjątkowo dobrze traktowane przez swoich opiekunów, ale niestety nie wszędzie tak jest. Poza tym wielbłądzice są łagodniejsze. Samiec wielbłąda może być niebezpieczny. Szczególnie wtedy, gdy jest zakochany.

W 1997 roku Dubaj był jeszcze niedużą miejscowością. Dopiero zaczynał się rozbudowywać. Byliśmy świadkami rozpoczęcia budowy słynnego hotelu „Burdż al-Arab”. Powstał obok pięknej, dzikiej plaży, której dziś już nie ma. W ogóle dziś nic już nie pozostało z tamtej dzikości Dubaju.

Świetnie wyposażona lecznica, w której zaczęłyśmy pracę, mieściła się w obszernej arabskiej willi, w bardzo dobrej dzielnicy o nazwie Jumeira. Praca polegała na tym samym, czym zajmowałyśmy i III

Maciej i jego żona Iza zabrali nas na pustynię do zaprzyjaźnionego poganiacza wielbłądów z Kają na Półwyspie Arabskim, 1997.

'£661 'nf«qn(jM.

IE-I

'O IIIYi |.89l.8fr:13±

3INI13 AIIIIIIIJI BIY3OOM

SUS! lii?

się w Polsce, tyle że zwierzęta i ludzie odwiedzający lecznicę byli nieco inni. W krajach muzułmańskich pies nie cieszy się sympatią. Dlatego Europejczycy mają swój pozytywny udział w zmianach, jakie zachodzą tu w patrzeniu na psa. Pod ich wpływem lokalni mieszkańcy zaczęli hodować i trzymać psy w domach. Najczęściej nie bardzo wiedzieli, jak się z nimi obchodzić, ale w wielu przypadkach mieli dobre chęci. Mam nadzieję, że pod tamtą szerokością geograficzną ludzie coraz lepiej będą traktować psy.

Mieszkańcy arabskich miast najczęściej mają w domach ptaki. Zazwyczaj są to papugi, ale też kury i gołębie. Kiedyś zobaczyłyśmy z samochodu przedziwny widok. Na ogrodzeniu jednej z posesji siedziało kilkanaście ptaków o zupełnie nieziemskich kolorach. Różowe, niebieskie i amarantowe! Okazało się, że były to farbowane gołębie. Zielone lub czerwone bywają też kury. Jednak żadna farbowana kura nie może konkurować z sokołem. Polowanie z sokołem to w Emiratach sport narodowy.

Sokół jest symbolem Dubaju i ma tam nawet swój szpital. Nowoczesna klinika, w której pracują najlepsi na świecie specjaliści, troszczy się o zdrowie arabskich sokołów. Jest też w Dubaju plac Sokoła. Na środku stoi pomnik tego ptaka, ale jakoś dziwnie mało go przypomina. My nazywaliśmy plac „Rondem Kurczaka”.

Poza ptakami dobrą opinią cieszą się koty. Nie zmienia to jednak faktu, że kotów bezdomnych jest tu równie dużo jak u nas. Wieczorem w każdym ulicznym śmietniku można ich spotkać co najmniej kilka.

Na pustyni hoduje się nie tylko wielbłądy, ale kozy i krowy. Arabskie krowy mają tak duży temperament, że nadawałyby się na corridę. Nie wiem, jak oni w ogóle potrafią je doić. Mimo że z pustynią kojarzy się nam przede wszystkim wielbłąd, to jednak dla mieszkańców Emiratów Arabskich najważniejsze są konie.

Hodowla koni to sięgająca daleko w przeszłość tradycja i pasja mieszkańców Półwyspu Arabskiego. Wspaniałe tory wyścigowe Świetnie wyposażona lecznica mieściła się w obszernej willi w dzielnicy Jumeira — operujemy z Kają.

i stajnie. Wielka pompa towarzysząca wszystkim końskim imprezom. Niejedna koronowana głowa zapraszana jest na największe z nich.

Ogromne wrażenie zrobił na mnie koński szpital szejka Mak-tuma. Czegoś takiego nawet nie można sobie wyobrazić. Myślę, że nawet głowy największych mocarstw nie mają takiej opieki medycznej jak konie w Dubaju. Zwyczajny śmiertelnik może sobie tylko pomarzyć, aby wejść na teren szpitala. No, chyba że ma konia. My konia nie mieliśmy, ale Maciek znalazł głównego końskiego lekarza i mogliśmy wejść do środka. Było to ponad dziesięć lat temu i pewnie dziś jest jeszcze nowocześniej, ale nawet gdyby się nic nie zmieniło, to i tak jest czego pozazdrościć. Najnowsza aparatura medyczna, monitorowane boksy, specjalna antypoślizgowa sprężynująca podłoga, sale operacyjne przypominające kosmiczne pojazdy kryte szklaną kopułą, aby z góry można było śledzić przebieg operacji. Wspaniała, urządzona w staroangielskim stylu biblioteka, gdzie można znaleźć wszystko, cokolwiek w dziejach o koniach napisano. Pokoje dla personelu wyposażone tak, aby przez całą dobę można było śledzić stan każdego z podopiecznych. No i ludzie. Personel złożony z najlepszych specjalistów. W szpitalu leczone są nie tylko szejkowskie rumaki.

Nikogo nie dziwi, że dobre konie wyścigowe na całym świecie mogą uzyskiwać zawrotne ceny. Wystarczy pojechać na aukcję do Janowa Podlaskiego. Wyścigi koni to sport bez granic. Często też bez granic finansowych. Jednak tylko na Półwyspie Arabskim można podziwiać wyścigi wielbłądów i tylko tu „garbate rumaki” też mogą kosztować fortunę. To także sport narodowy, tak jak polowanie z sokołem. Biegący z naprawdę dużą szybkością wielbłąd wygląda jak samolot, który za chwilę wystartuje. Wyciąga szyję do przodu, ale na jego obliczu nie widać emocji. Nawet podczas szalonej gonitwy wielbłąd pozostaje niewzruszonym filozofem pustyni.

Kobieta w Arabii

Emiratach Arabskich większość skrzyżowań to runda. Nie bardzo wiedziałam, jakie zasady obowiązują kierowców na arabskim rondzie. Zapytałam o to znajomego „lokala” — tak nazywaliśmy obywatele Emiratów. Powiedział: „A po co chcesz to wiedzieć? Jesteś kobietą. Jeździsz, jak ci się podoba”.

Większość ludzi myśli, że kobiety w krajach muzułmańskich są w każdej dziedzinie życia dyskryminowane. Jestem trochę innego zdania. Ale na temat traktowania kobiet muzułmańskich powinny wypowiadać się one same. Ja mogę tylko powiedzieć, że jako kobieta nigdzie nie czułam się tak dobrze jak podczas rocznego pobytu w Dubaju. Co prawda białe kobiety wtedy traktowano tam trochę jak nieodpowiedzialne dzieci, ale było to dla nas dość wygodne. Wchodziłam do sklepu i natychmiast zjawiała się opieka w męskiej postaci. Pracownik sklepu zabierał mi torebkę i chodził za mną jak cień. Dlaczego? Z prostego powodu. Miał pewność, że niczego nie zgubię i potem go nie oskarżę, że coś nie tak poszło w jego sklepie. Tak naprawdę to sprzedawcy woleli, aby kobieta w ogóle nie wysiadała z samochodu, tylko czekała na przyniesienie zamówionych zakupów. Cudownie było prowadzić samochód. Kobieta za kółkiem zawsze miała pierwszeństwo, była „królową szos”. Teraz wszystko się zmieniło. Zbyt wiele kobiet prowadzi samochody. Kiedy Iza, żona Maćka, była w drugiej, widocznej już ciąży, miała dość niezwykłą przygodę. Pojechała po zakupy. Kiedy parkowała samochód pod sklepem, źle wymierzyła odległość i stuknęła w jedno z zaparkowanych aut. Ze sklepu wypadł oburzony właściciel poturbowanego pojazdu i zaczął wymyślać skruszonej Izie. Natychmiast pojawił się policjant. Kiedy zobaczył, że w awanturze bierze udział kobieta, i to w ciąży, przestraszył się nie na żarty. Ostro uspokoił właściciela uszkodzonego auta i wystawił mu man-

CS
dat. „Za co?” — rozpaczał poszkodowany. „Za to, że tu stałeś!” •« — odpowiedział policjant i zwrócił się do Izy: „Bardzo przepraszam za tego gburę. Proszę się nie denerwować i jechać do domu. Może panią odwiedzić?”.

Były i mniej przyjemne strony „bycia kobietą”. W 1997 roku 249 plaże Dubaju należały jeszcze do pięknych i dzikich. Woda w zatoce roiła się od różnych stworzeń. Ryby papuzie, płaszczki, rekiny, węże morskie, kalmary, żeglarki, kolorowe kraby i ślimaki — całe mnóstwo mieszkańców morskiej krainy żyło w cudownie cieplej, słonej i wręcz aksamitnej wodzie. Każdą wolną chwilę spędzałyśmy z Kają na plaży, penetrując przybrzeżne wody. Miałyśmy swoje ulubione miejsce. W tamtym upalnym klimacie przerywa się pracę na kilka godzin w najgorętszej porze dnia. Ludzie ucinają sobie wtedy drzemkę w klimatyzowanych mieszkaniach, jedzą lunch, a potem wracają do pracy. My zamiast wypoczywać zabierałyśmy maski do nurkowania i jechałyśmy na naszą plażę. W krajach arabskich dniem świątecznym w tygodniu — wolnym od pracy — jest piątek. Wtedy plaże są zaludnione. W dni powszednie nad morzem było zupełnie pusto. Czasem tylko trafił się podobny do nas tropiciel morskiego życia. Gdy w dzień powszedni wjeżdżałyśmy na pustą plażę i zrzucałyśmy ubrania, już za chwilę jakby znikąd pojawiały się samochody. Większość czasu spędzałyśmy w wodzie, ale czasem kładłyśmy się na piasku, aby odpocząć. Wtedy samochody wolniutko zbliżały się do nas. Przyciemniane szyby opuszczały się nieznacznie i widać było lornetkę. Kierowcy nie wychodzili z aut, ale podglądali nas przez lornetkę z odległości dwóch metrów. Przenosiłyśmy się z miejsca na miejsce, ale oni wiernie podążali za nami. Było to bardzo krępujące. Po pewnym czasie odkryłyśmy, że wystarczyło głośno wyrazić swoje niezadowolenie, używając magicznego słowa „policja”, i natręci zmywali się jak niepyszni. Przed wyjazdem do Dubaju nasłuchiwałam się różnych opowieści o zagrożeniach czyhających na kobietę w krajach arabskich. Mówiono mi, aby nigdzie nie oddalać się w pojedynkę, bo może to być niebezpieczne. Któregoś dnia Kaja czuła się nie najlepiej. Pojechałam na plażę sama. Zaparkowałam samochód i ruszyłam brzegiem zbierać muszle. Po chwili obok mojego samochodu zatrzymało się inne auto. Wsiadł z niego typowo ubrany — w białą disz-daszę (długą koszulę) i charakterystyczne nakrycie głowy „lokal”. Ruszył w moim kierunku. Przyspieszyłam kroku. On też. Zaczęłam biec. On też. Wkoło żywego ducha, tylko pustynia, morze, on i ja. Już żegnałam się z życiem, a serce waliło mi jak młot. Biegł szybciej niż ja. Dogonił mnie, złapał za rękę i krzyknął: „Patrz, zostawiłaś samochód na światłach! Za chwilę

nie będziesz mogła odjechać!". Byłam tak zdyszana, że nie mogłam wypowiedzieć słowa, by mu podziękować. Samochód rzeczywiście pozostawiłam z włączonymi światłami. Gdyby nie ten człowiek, zostałabym z rozładowanym akumulatorem na pustyni.

Od tamtego wyjazdu minęło już jedenaście lat. W tym czasie wracałam nad Zatokę Perską jeszcze kilka razy. Ostatni raz rok temu. Nie ma już dzikich plaż. Nie ma już dzikiej pustyni. Jest wielkie nowoczesne miasto. Coś podobnego do Las Vegas. Najbardziej żal mi morza. Wszędzie wybudowano sztuczne wyspy. Wyginęły miliony zwierząt morskich. Zostały chyba tylko barrakudy. To smutne. Cały ten sztuczny świat, choć piękny, jest jednak bardzo przygnębiający.

"f -i

Wracałam nad
Zatokę Perską jeszcze kilka razy.

— ja i Marta,

ел

Jo

a

im

s

-o

UJ

N

251

Nowe życie

Czterdzieste urodziny obchodziłam w Dubaju. Wydaje mi się, że to dla mnie jakaś magiczna liczba. Moje życie po czterdziestce 252 bardzo się zmieniło. Ja się zmieniłam. Chyba dorosłam. Dorosłość spada na człowieka w bardzo różnym wieku. Na niektórych nigdy. Wtedy człowiek żyje jakby nie do końca świadomie. Robi coś tylko dlatego, że robił tak ojciec, dziadek i pradziadek, ale nie z własnego wyboru. Dla mnie dorosłość to pewien stan świadomości.

Mówi się, że tylko młodzi ludzie dzielą świat na czarny i biały. Dobry i zły. To prawda. Potem okazuje się, że świat jest szary i gdzieś tam widać jaśniejsze lub ciemniejsze plamy. Tylko małe punkciki pozostają białe i czarne. Dorosłość to taki stan, w którym na powrót zaczynamy dostrzegać te punkciki i ŚWIADOMIE wybierać między nimi. Bycie dorosłym to najtrudniejsze wyzwanie, jakie stawia przed człowiekiem życie. Dziś pośród tylu pokus i gadżetów, jakie podsuwa nam cywilizacja, bardzo trudno wydorosnąć. Po powrocie do Polski wpadłam z powrotem w wir nauki i co prawda za drugim podejściem, ale zdałam egzamin specjalizacyjny. Materiał do opanowania był ogromny. Choroby psów i kotów to zaledwie kilka słów, ale mieści się w nich „kobyła” medycznej wiedzy. Choroby zakaźne, choroby pasożytnicze, dermatologia,

^^^^^^^^^III^^^^^III

kardiologia, położnictwo, pediatria, geriatryka weterynaryjna i wiele innych. Nie ma się co oszukiwać. Aby zdać taki egzamin, trzeba nie tylko dużo wiedzieć, ale i mieć dużo szczęścia. Nie ma nikogo takiego, kto czułby się mocny w każdej dziedzinie. Moją piętą achillesową była część interny, zwłaszcza kardiologia. Za pierwszym razem miałam pecha. Wyciągnęłam pytania właśnie z tej dziedziny. Przy drugim po-

Bal po egzaminie specjalizacyjnym. dejszcie modliłam się do Beby: „Proszę, wyciągnij pytania dla mnie. Może być położnictwo, choroby zakaźne, parazytologia, kości, zęby, żołądek, nerki, ale nie serce”. Bebunga nie

zawiodła. Zdałam bardzo dobrze. Tak naprawdę byłam rzetelnie przygotowana i pewnie nawet z sercem bym sobie poradziła, 253 ale dzięki Bebie poszło dużo łatwiej.

Potem postanowiłam poważnie pomyśleć o realizacji mojego marzenia — domku na wsi. To marzenie wynikało nie tylko ze znużenia miejskim tłokiem i pośpiechem. Chciałam mieć dom dla moich psów i kotów. Chciałam dać im zakosztować takiego życia, na jakie zasługuje każdy obywatel Ziemi. Troszkę wolności. Troszkę przestrzeni, słońca, deszczu, wiatru i własnej trawy. A potem wieczór przy ciepłym piecu, na kanapie obok swojej pani. Myślałam, że jeśli zostawię mieszkanie Marcie, zmobilizuję ją do „dorosłości” i odpowiedzialności. Wyobrażałam sobie, jak przyjeżdża do mnie na niedzielne obiady. Zaczęłam szukać jakiegoś skrawka taniej ziemi blisko Warszawy. W Dubaju nie zarobiłam wiele, ale dla mnie było to i tak dużo. W końcu udało się. Kupiłam niecałe dwa tysiące metrów kwadratowych łąki trzydzieści kilometrów od Warszawy. Moja ziemia. To było niesamowite uczucie. Chyba drzemie we mnie dusza obszarnika. Zabrałam garstkę tej „mojej ziemi”, wsypałam do dzbanuszka i postawiłam przy łóżku.

Zwierzęta radiowe

W marcu 1998 roku zaczęłam prowadzić audycje radiowe o zwierzętach w radiu TOK FM. To był początek mojego „mediał-254 nego życia”. Wcześniej tylko okazjonalnie brałam udział w jakichś „zwierzęcych” programach. Regularne autorskie audycje to było coś. Prowadziłyśmy je razem z Dorotą Szuszkiewicz, wspaniałym radiowcem i koleżanką. Rozumiałyśmy się doskonale, miałyśmy podobne poczucie humoru. Dzięki temu audycje były żywe i zajmujące. Co prawda czasem obie dostawałyśmy ataku śmiechu zwanego głupawką, ale myślę, że nie przeszkadzało to słuchaczom, a nawet wręcz odwrotnie. Do dziś żałuję, że już nie pracujemy razem.

W radiu TOK FM miałam do dyspozycji całe dwie niedzielne godziny. Przez pierwszą mogłam opowiadać, a to o jeżu, a to o miłości w świecie zwierząt. Druga godzina była dla słuchaczy. Dzwonili i zadawali pytania. Zazwyczaj pytali o zdrowie swoich podopiecznych, psów, kotów, chomików, kanarków i innych braci mniejszych. Niektórzy chcieli tylko opowiedzieć o swoim zwierzęcym przyjacielu, ale byli i tacy, którzy szukali sposobu na kreta niszczącego rabatki w ogrodzie. Pewnej niedzieli zadzwonił pan z Gdańska lub Gdyni. Zapytał: „Co mam zrobić z tygryskiem?”.

Myślałam, że żartuje albo że jego kot tak ma na imię. Zaczęłam się dopytywać, co to za tygrysek. Usłyszałam: „Przywiozłem dzieciom tygrysiątko z Tajlandii”. Nie do końca uwierzyłam i odpowiedziałam: „Musi pan bardzo nie lubić swoich dzieci”. Niestety, co do tygryśki — to była prawda. Jak udało się temu bezmyślnemu człowiekowi przemycić tygrysię dziecko do Polski? Nie wiem. Kazałam natychmiast odnieść „kotka” do ogrodu zoologicznego.

Praca w radiu przysporzyła mi pacjentów. Kaja została dłużej w Emiratach i doskwierała mi gabinetowa samotność. Zatrudniłam młodziutką, tuż po studiach, lekarzkę weterynarii — Małgosię Zawadę. Był rok 1998. Dziś Małgosia nazywa się Brzóska, ma córeczkę Sarę i dalej pracuje u mnie. Jest dobrym lekarzem. Myślę, że wynika to nie tylko z wiedzy, jaką posiada, ale przede wszystkim z tego, że naprawdę lubi swoich pacjentów, bardziej niż pieniądze.

Maria — moja córka

Długo zastanawiałam się, czy w ogóle pisać o sprawach trudnych i złych. O wielu nie napisałam. Nie chciałam nikogo skrzywdzić ani 256 urazić. Moja córka jest ostatnią osobą, którą chciałabym skrzywdzić. I właśnie dlatego piszę o tym, o czym wcale nie chciałabym pisać. Może dzięki temu Marta zbudzi się ze złego snu i zacznie nowe, „obudzone” życie. Moja córka zabłądziła gdzieś między jedną a drugą „balangą”. Dziś ma 28 lat, ale jej czas zatrzymał się dziesięć lat temu.

Marta była nie tylko śliczną, ale i nie sprawiającą kłopotów wychowawczych dziewczynką. O takich dzieciach mówi się „łatwe”. Lubiła chodzić do przedszkola i do szkoły. Uczyła się

dobrze. Nie trzeba jej było pilnować, aby odrobiła lekcje. Nie trzeba było przestrzegać, aby nie nabroiła. Miała koleżanki i kolegów. Była lubiana. Znajomi zazdrościli mi takiego dobrego dziecka, a ja byłam z niej dumna. Marta chodziła do szkoły muzycznej. Grała na fortepianie, potem na perkusji. Szło jej znakomicie. W szkole średniej zaczął się czas buntu. Wiek dorastania każdego z nas naznaczony jest konfliktem pokoleń. To normalne. I normalne też było w przypadku mojej córki. Zaczęły się prywatki i randki. Nic w tym dziwnego. Kiedy ma się szesnaście, siedemnaście lat, za wszelką cenę chce się być dorosłym. „Pomagają” w tym szalone prywatki, papierosy i alkohol. Rodzice się złością, dzieci i tak robią swoje. Taki czas. Niestety, w przypadku Marty było trochę inaczej. Kiedy miała siedemnaście lat, poznała dużo starszego od siebie, prawdę mówiąc, starszego ode mnie mężczyznę. Bo ja wiem, czy mężczyznę? Trudno nazwać mężczyzną człowieka, który będąc więcej niż w dojrzałym wieku, uwodzi siedemnastolatkę. „Młodzi” ujawnili się, Marta była śliczną,

gdy Marta stała się pełnoletnia. Ow sta- me sprawiącą kłopotów
rzejący Się pan Utwierdził moją Córkę dziewczynką — na wakacjach
z Jasiem Dziaczkowskim, 1987.

w przekonaniu, że matki słuchać nie musi. Jest dorosła i może robić to, co sama chce, a nie to, czego oczekuje- 257 je mama. Jeszcze jakimś poślizgiem Marta bardzo dobrze zdała maturę i dostała się na Akademię Muzyczną. Co z tego? Bardzo szybko dała się przekonać swojemu „ukochanemu”, że studia muzyczne na nic nie są jej potrzebne. Pracę po nich znaleźć trudno, a ona stworzona jest do wyższych celów. Zabierał ją na wspólne wyjazdy i bankiety. Marta była gwiazdą, wolną od pretensji matki. Bawiła się bez ograniczeń. Szybko jednak okazało się, że gwiazda zgasła. Między nami przerwała się więź łącząca matkę i córkę. Marta nauczyła się „balować”. Nie nauczyła się żyć. Nie chciała się uczyć ani pracować. Dziś myślę sobie, że zawiniłam, bo kiedy była mała, „zaprzyjaźniłyśmy się”. Mniej byłam mamą, a bardziej koleżanką. Teraz wiem, że tak nie wolno. Mama ma pozostać mamą. Dużo łatwiej „zerwać” z koleżanką niż z matką. Marta jest bardzo bystrą osobą o ogromnym potencjale życiowym, ale straciła wiarę w swoje siły i możliwości. Idzie po najmniejszej linii oporu, czekając, aż coś „samo się stanie”. Wierzę, że moje dziecko nie tylko zbudzi się ze złego snu, ale naprawdę weźmie los w swoje ręce.

Karol

I tym razem długo myślałam, czy pisać o tym chłopcu, czy lepiej

■
zapomnieć. Piszę, bo nigdy go nie zapomnę i miałabym poczucie, 258 że nie skończyłam
mojej opowieści, gdybym go pominęła.

Wiele lat wcześniej, gdy podczas choroby moje dwuletnie życie wisiało na włosku, mama, modląc się, złożyła Panu Bogu obietnicę: „Jeśli Dorota przeżyje, zaopiekuję się sierotą”. Wyzdrowiałam. Zaczęły się poszukiwania. Wcale nie było łatwo znaleźć dziecko w moim wieku, które rodzice mogliby adoptować. Uruchomiono różne znajomości. Mama jeździła po sierocińcach, ale wszędzie okazywało się, że albo jesteśmy za biedni, albo nie ma dzieci do adopcji. W którymś z sierocińców prowadzonych przez zakonnice spotkała na korytarzu młodego, może czteroletniego dżentelmena, który z zapałem oblizywał łyżkę po dżemie. „Jak masz na imię?” — zapytała. „Józio” — odpowiedział i zajął się łyżką. Podczas rozmowy z zakonnica odpowiedzialną za adopcje mama wspomniała o chłopcu. „Może on mógłby być moim synem?”. „Nie, Józio jest nasz” — odpowiedziała zakonnica z jakimś dziwnym błyskiem w oku.

W końcu poszukiwania uwieńczone zostały połowicznym sukcesem. Pozwolono rodzicom brać na wakacje i wolne dni dziewczynkę w moim wieku. Nazywała się Janinka. Poza tym, że Janinka była bardzo chorą dziewczynką, niewiele pamiętam. Miała padaczkę i szereg innych dolegliwości. Mimo to nie

wydano zgody na jej adopcję. Próby przekonania władz o „zdolności wychowawczej” moich rodziców spaliły na panewce. Traktowani byli jak „wrogi element”.

Może to obietnica mamy zapadła gdzieś w moją podświadomość, bo zawsze miałam coś w rodzaju poczucia winy, że, ja mam, a inni nie”. Chciałam się dzielić z kimś, kto potrzebuje. W 2001 roku postanowiłam pomóc dziecku z domu dziecka. Było mi obojętne, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, i jak będzie wyglądał lub wyglądała. Chodziło mi o człowieka, który nie ma nikogo, na kim mógłby się wesprzeć. Przyjechałam do domu dziecka, w którym miał czekać na mnie Karol. Byłam okropnie zdenerwowana. „Czy mu się spodoba? Czy zechce, abym była jego ciocią?” Nie wiedziałam, ile ma lat. Już w holu czekała na mnie gromada chłopców. Jeden z nich wyjął mi z rąk torebkę i wsadził sobie pod pachę. Niósł ją za mną do pokoju pani wychowawczynie. To był Karol. Bał się, że ktoś mi coś ukradnie. Wyglądał na może dziesięć lat. Miał czternaście. Na początku miałam zabierać go do mnie w wolne dni.

Marta zawsze lubiła dzieci. Razem ubolewałyśmy nad losem tych, których nikt nie chce. Miałam nadzieję, że Karol obudzi w mojej córce te uczucia, których kiedyś pełno było w jej sercu. Zawsze chciała mieć rodzeństwo. Wcześniej, choć nie widywałyśmy się często, mówiłam jej o swoich planach. Zaaprobowała i obiecała pomoc. Nie powiem, na początku pomagała w nawiązaniu kontaktu z małym „kosmitą”. Potem jednak straciła zapał. Nie mam jej tego za złe.

Komuś, kto nie miał kontaktu z domami dziecka, powiem, że **TRZEBA JE ZLIKWIDOWAĆ I ZASTĄPIĆ RODZINAMI ZASTĘPCZYMI!!!**

Karol, choć miał czternaście lat, wyglądał na dziewięć, może dziesięć. Chodził do normalnej podstawówki, ale nie umiał czytać ani pisać. Nie umiał posługiwać się zegarkiem. Nie potrafił dobrze wyliczyć dni tygodnia ani miesięcy. Wiem, że to się nie mieści w głowie, ale jakoś przechodził z klasy do klasy. Jak? Nie wiem, ale przechodził. Karol nie był „niedorozwinięty”, ale potwornie zaniedbany. Pod każdym względem. Nie umiał rozmawiać. Odpowiadał jedynie na proste pytania. Sam pytał rzadko. Jedyнным tematem, na który chciał rozmawiać, był jego tata. Opowiadał o nim tak, jak umiał. Był zafascynowany tatą i jego złodziejskim fachem. Wyliczał, ile razy tatę złapali, a ile razy mu się udało. Słuchałam i tłumaczyłam, że kradzież nie jest dobrym sposobem na życie. To był mój jedyny warunek. Nie wolno kraść. Przez rok próbowałam przekonać Karolka do zmiany zainteresowań. Był wobec mnie uczciwy. Powiedział wprost, że nie chce do mnie przyjeżdżać, ale chciałby dostać rower. Dostał rower. Myślę, że mnie lubił. Nie okradł mnie. Zapewne nudziło go moje gadanie, nauka pisania i czytania. Umówiliśmy się, że jeśli zmieni zdanie, odezwie się.

Widocznie do tej pory nie zmienił zdania. Dziś jest już pełnoletni i pewnie wrócił do taty.

Dzięki temu chłopcu zrozumiałam znacznie więcej na temat „sierot społecznych”. To zupełnie co innego niż dziecko osierocone biologicznie.

na życie

Nam dom

„Tam dom mój, gdzie serce moje”. To prawda. Mój dom jest tam, gdzie moi bliscy, a moi bliscy to nie tylko ludzie, ale i cała rzesza zwierząt. To śmieszne, ale czuję się związana nie tylko z moimi psami, kotami, jeżami, ale i ze zwierzętami autochtonami, które mieszkały na moim terenie, zanim ja tu przybyłam. Mam w moim ogrodzie stałą rezydentkę — ropuchę szarą, z bielmem na oku. Mieszka gdzieś w fundamentach ganku. Kiedyś znalazłam ją podczas pielienia. Miała uszkodzone oko. Zaczęłam wpuszczać jej krople. Oko szybko się zagoiło, ale bielmo pozostało. Teraz łatwo ją rozpoznać. Nie jest młódką, bo znamy się od sześciu lat, a była już dorosła, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Jest jeszcze pani zaskronica (zaskroniec), także z bielmem na oku. Może myślą, że jestem okulistą i dlatego trzymają się blisko mnie? Zaskroniec z uporem maniaka wraca do ogrodu, narażając się na

ataki kotów. Ciągłe wynoszę tę smukłą „dame” (myślę, że to samica) za ogrodzenie, gdzie jest staw i mnóstwo żab, a ona zawsze wraca. Też ją lubię.

Po moim powrocie z Emiratów Arabskich mamie zaczęło się psuć zdrowie. Na początku były to dolegliwości związane z wiekiem, jak na przykład osteoporoza. Potem dołączyły się inne, utrudniające, a nawet uniemożliwiające samodzielne życie. Stało się to dodatkowym dopingiem do zbudowania domu. Wiedziałam, że za chwilę będziemy musiały zamieszkać razem. Trudno mi było działać na dwa domy, a mama co pewien czas dość poważnie zapadała na zdrowiu.

Postanowione. Buduję dom.

To było najtrudniejsze wyzwanie w moim życiu. Nie wiem, jak mi się udało, ale się udało. Sprzedałyśmy mieszkanie na Wspólnej i zaczęło się, oj, zaczęło. Nigdy nie myślałam, że większość ekip budowlanych składa się z innego gatunku homo sapiens. Zresztą chyba to nie homo sapiens, tylko homo cementus, a może betonus, ale na pewno gorzałkus.

Nie będę pisała o wszystkich trudnościach, jakie wynikały z niemożności nawiązania kontaktu werbalnego z budowniczymi domu. Nie starczyłoby papieru. Opiszę tylko jeden epizod — budowę kominów. Szef ekipy budowlanej sprowadził specjalistów w tej dziedzinie aż spod Białej Podlaskiej. Kupiłam odpowiednią cegłę, zgodnie z zamówieniem fachowców. Kominy zaczęły rosnać, ale pod koniec ich wznoszenia się ku niebu zauważyłam, że jeden jest w ciąży, a drugi przypomina wieżę w Pizie. „Panowie! Te kominy są krzywe” — zauważyłam nieśmiało. „Kierowniczko, trzeba patrzeć z innej strony, a dlatego troszkę nie trzymają pionu, bo cegła była krzywa”. Przysięgam. To prawda.

Kierownik budowy wprawdzie zainkasował należność za nadzór budowlany, ale ani razu się nie pojawił, dopóki nie zaczęłam nękać go telefonami. Przyjechał i ocenił „nie jest źle”.

Kominy trochę poprawili. Przynajmniej na tyle, żeby się nie wywróciły. Potem przyjechał kominiarz i na piśmie potwierdził, że kominy są OK.

Zmieniałam ekipę budowlaną trzy razy.

Jeden z kominów przeznaczony był do kominka, który miałam zbudować w przyszłości, gdy zarobię trochę grosza. Po roku zapragnęłam zamiast kominka zamontować mały piec kaflowy.

Taki pół piec, pół kominiek. Miałam wtedy bardzo solidnego budowlańca znalezionego drogą selekcji. Doradził, jaki piec kupić, i obiecał, że montowanie potrwa tylko kilka godzin. Przywieźli piec i w trakcie instalowania go okazało się, że komin nie jest pusty w środku. Ot, taki słupek z wąskim, krzywym korytarzem wewnątrz. Montowanie pieca trwało pięć dni. Trzeba było pruć ściany i rozkuwać komin. Tak naprawdę to częściowo budować go od nowa. Gdyby nie umiejętności i fachowość inżyniera Wykowskiego, nigdy nie miałabym pieca, a w zimnym kominie nawet świerszcz by nie zamieszkał.

Dodam tylko, że budowa domu to doskonała kuracja odchudzająca. W ciągu trzech miesięcy schudłam siedem kilo. Nie byłam gruba, więc po wszystkim mimo wzrostu 175 cm nosiłam ubrania nr 34. 264

W grudniu 2002 dom stanął. Gdyby nie wsparcie przyjaciół, stanąłby znacznie później. Najbardziej pomogła mi Marysia Łętowska —kobieta wulkan, która była kiedyś pedagogiem w domu poprawczym i umie rozmawiać nawet z budowniczymi kominów. Marysia należy do małej garstki ludzi na świecie. Niepotrzebne jej są żadne deklaracje i umizgi. Wystarczy jedno słowo: „pomocy!”, i Marysia jest za pięć minut. Przyjedzie nawet z końca świata. I co najbardziej niezwykle, zawsze umie pomóc. Nie widujemy się często. Czasem jesteśmy innego zdania na różne tematy, ale zawsze, zawsze mogę na nią liczyć. Mam nadzieję, że ona na mnie też. To jest prawdziwa przyjaźń. To wielki dar niebios, że mogę jej doświadczać.

Choć dom stał, to nie było w nim jeszcze pełnego, potrzebnego do życia wyposażenia — na przykład schodów. Na piętro prowadziła drabina. Jednak to, co było, mogłoby stanowić dla złodziei gratkę. Postanowiłyśmy z mamą, że zanim przeprowadzimy się z całym dobytkiem,

ja przeniosę się na nowe włości z trzema psami — Kiwusią, Picusiem i Cypką, natomiast mama z Martą, kotami — Zulą, Maciusiem, Zosią, Itą i młodym, czteromiesięcznym Czuję się związana nie tylko z moimi psami, kołami, jeżami, ale i ze zwierzętami autochtonami, które mieszkały na moim terenie, zanim ja tu przybyłam — z Bogusią i bocianem.

psem Ciapkciem, zostaną jeszcze w Warszawie. Dopiero po skończeniu wszystkich prac miałam przywieźć mamę ze zwierzętami i całym dobytkiem do nowego domu, Marta natomiast zamierzała objąć w posiadanie nasze dotychczasowe mieszkanie na Bielanach. Żywiłam nadzieję, że własne mieszkanie będzie dla niej wystarczającym bodźcem do zmiany stylu życia. Myliłam się, ale to już całkiem inna opowieść.

Kocia mama — Kiwusia

Kiwi — Kiwunia, Kiwusia, Kiwcia, Kivasiki, Kiwaczek. Tyle imion miała shar peika, która po nauczaniu mamy lotów ślizgowych po ulicy Marszałkowskiej została moim ukochanym psem. Kiwi, jak większość psów tej rasy, była uparta jak dwa osły i chętna do wszczynania awantur. Jak już wspominałam, mieszkałam na parterze. Z klatki schodowej wychodziło się bezpośrednio na duży skwer nie graniczący z ulicą. Moje psy nie znały smyczy. Były zupełnie niekonfliktowe i mogłam z nimi spacerować bez obaw, że dojdzie do psich kłótni. Kiedy zamieszkała z nami Kiwusia, przestałam wychodzić na spacer z książką i lekkim sercem. Zamiast tego miałam oczy dookoła głowy i smycz na wszelki wypadek. Kiwi, gdy zauważyła obcego psa na horyzoncie, startowała jak torpeda. Jeśli pies nie warknął, dawała mu spokój, ale byle zaczepka stawiała się dla niej sygnałem do awantury. Zawsze wychodziła na tym jak Zabłocki na mydle, bo użębienia nie używała, tylko bodła głową, a na dodatek skóra shar peia drze się jak stara szmata. Nawet mały piesek zostawiał na Kiwusi spore dziury. Ona nigdy nie uszkodziła żadnego psa. Ani psa, ani innego zwierzaka. Nic nie pomagało moje nawoływanie. Shar pei to shar pei, co chce, to robi. Postanowiłam użyć mentalnej sztuczki.

Kiwi (po prawej) jak większość psów rasy shar pei była uparta jak dwa osły i chętna do wszczynania awantur — z córeczką Liki.

Psy to barometry ludzkich uczuć. Wiedzą lepiej niż my, co nam po głowie chodzi. Podczas każdego spaceru drżałam, aby nie spotkać psa, z którym Kiwi ma na pieńku. Ona o tym wiedziała. Wysłałam więc z „głową w chmurach” i myśli zaprzętnęłam wizją ceglanego muru. Starłam się wyobrazić sobie każdą cegłę z osobna. Nie rozglądałam się wcale. Szłam, a za mną psy. Kątem oka zauważyłam, że Kiwi startuje. Szybko zmieniłam kierunek marszu na odwrotny do jej startu. Nie dopuściłam do zmiany moich myśli. I co? I nic. Nie było żadnej utarczki. Kiwi po chwili była przy mnie. Od tamtej pory przestałam się bać psich starć, a Kiwi przestała się w nie wdawać. Nie znaczy to wcale, że stałam się twardogłowa, a moje myśli zostały zamurowane.

Kiwi była przysłowiowym „psem na koty”. Kiedy zobaczyła kota, z jej gardła dobywał się diabelski gulgot, a łapy uruchamiały piąty bieg. Nigdy nie dogoniła kota i miałam nadzieję, że nie dogoni.

U mojej koleżanki było nadprogramowe kociątko z chorym okiem. Ot, taka nieszczęsna kocina z piwnicznej matki. Postanowiłam ją zabrać mimo tego, że Kiwi była już u mnie. Wierzyłam w moje z Kiwcią porozumienie. Mama była przerażona, gdy zwierzyłam się jej przez telefon. „Co ty robisz? Skazujesz kota na śmierć!” — krzyczała w słuchawkę. Przyniosłam kociaka w plastikowym transporterze i postawiłam na podłodze. Kiwi oszalała. Jęczała i biegała wkoło, wciągając nosem jak najwięcej kociego zapachu. Tyle, ile się dało przez kratki i otwory transportera. Noc spędziłyśmy nerwowo. Kot w pudełku obok łóżka, Kiwi raz w łóżku, raz na pudełku, raz obok, a ja jako bierny, przysypiający obserwator. Miałam psy od „przed urodzeniem” i znam trochę ich zachowania. Już następnego dnia czułam, że u Kiwi głównym motorem kociomanii jest ciekawość, a nie chęć mordy. Wyjęłam

kociaka z pudła i zakrywając dłońmi, posadziłam sobie na kolanach. Kiwi zatopiła nos w kocim futerku. Narkotyzowała się wymarzoną zapachem. Była w transie. Starła się wciągnąć nosem całego kota. Po chwili postawiłam kota przy jej przednich łapach. Oniemiała. Spojrzała na mnie pytająco: „To naprawdę mój kot?”.

Koteczka wcale nie przejęła się psim nosem, który co chwilę unosił w powietrze jej tylną część ciała, i pomaszlowała zwiedzać mieszkanie. Kiwi szła za nią krok w krok. Zajęłam się czymś innym i w pewnym momencie usłyszałam dziwne mlaskanie dochodzące z pokoju obok. Weszłam do swojej małej sypialni i co widzę? Na łóżku leży Kiwi z wypiętym tłustym brzuchem, a do jej sutki przyssana jest szarobura koteczka i mlaska głośno jak prosiaczek. Koteczka dostała imię Krysia i nawet kiedy była dorosła, biegła do swojej przybranej mamy, aby skorzystać ze smoczka. Kiwi stała się prawdziwą kocią mamą. Od tamtej pory jej specjalnością było odchowywanie kociąt i opieka nad kotami o zwichrowanej psychice.

Kiedy zamieszkałyśmy w domu z ogrodem, Kiwi była już chora, ale jeszcze miała siłę, aby nacieszyć się królowaniem w ogrodzie. Na początku musiałam siłą sprowadzać ją na noc do domu. Uwielbiała biegać przy ogrodzeniu i głośno: „To moje włości!”.

Kiwunia była mądrą, dobrą osobą. Tak, osobą. Psy to też osoby, tyle że na

Czterech nogach. Spała ze Kiwi stała się prawdziwą kocią mamą
mną. Lubiła trzymać gło- z oteczką ysią' 269

wę na poduszce. Tak jak ja. Ostatnie miesiące jej życia były walką z ciężką, nieuleczalną chorobą. Kiwi nie trzymała moczu. Spałyśmy więc na ceracie podłożonej pod prześcieradło, które trzeba było co dzień zmieniać. Dziękuję losowi, że mogłam to robić i sprawić, aby jej chorowanie było jak najbardziej komfortowe.

Kiwi umarła w lipcu 2005 roku. Zasnęła pod swoją ulubioną brzoźką i pod nią jest pochowana. To dziwne, ale czasem w nocy słyszę, jak stuka pazurkami po podłodze.

Ci, którzy mówią: „Nie mogę patrzeć na cierpienie, nie mogę wziąć zwierzęcia, bo jestem zbyt wrażliwy, aby znieść jego śmierć”, wcale nie są wrażliwi. Są egoistami najgorszego gatunku. „Ty cierp w samotności. Giń z głodu i tęsknoty, bo ja nie mogę na to patrzeć”. Potem robią sobie kolację, włączają telewizor i idą spać w poczuciu swojej wrażliwej wielkości. Nie lubię takich ludzi. I nie polubię.

Ha — mój anioł

I Ц I

W styczniu 2000 roku przyszła do mojego gabinetu hodowczynie kotów rasowych z wielkim zwojem z koców. Położyła tę stertę na 270 stole i zaczęła rozwijać kilkanaście warstw. Jak Kleopatra ze zwoju dywanu, tak Ita wyłoniła się w całej swojej krasie. Kleopatra była zdrowa i strojnie ubrana, a Ita bardzo chora i goła. Była kotem bezwłosym — sfinksem dońskim. Zakochałam się w niej. Była tak bezradna i delikatna, że strach było jej dotknąć. Właścicielka łysej koteczki zauważyła mój zachwyt. Przy następnej wizycie ofiarowała mi kotkę ze słowami: „Pani będzie lepiej niż ja dbać o jej zdrowie”. Nie spodziewałam się takiego daru i do końca życia będę tej pani wdzięczna. Inaczej nigdy nie dowiedziałabym się, że istnieją anioły w kocim ciałku.

Nazwałam mojego anioła Ita od E.T., bohatera filmu pod tym samym tytułem. Twarz Ity do złudzenia przypominała oblicze przybysza z kosmosu. Trudno mi pisać o kimś, kogo kochałam (Ita to był ktoś), a kogo już nie ma.

Ita umarła na niewydolność nerek w grudniu 2005 roku. Miała tylko dziewięć lat. Od tamtej pory co wieczór, gdy kładę się do łóżka, czegoś mi brak. Całą noc i większą część dnia Ita spędzała wtulona w moją poduszkę, nakryta kołdrą. Kiedy kładłam się spać,

wBBfcy

НЯНЯ

ИИИИИВ*^

Ita — była tak bezradna i delikatna, że strach było jej dotknąć.

zawsze dotykała mojej twarzy, tak jakby mnie całowała, a potem wtulała się w moją szyję. Miała najdelikatniejszą zamszową skórę. Była ciepłutka i delikatna. Itunia nie miała w sobie krztyny agresji. Co tam agresji, ona nawet nie umiała się zbuntować. Była ufna jak malutkie dziecko. Kot, nie kot, bo co to za kot, który spada ze stołka i wywraca się na pierwszej nierówności terenu.

Itunia bardzo lubiła biegać. Kiedy przeprowadziłyśmy się na wieś, miała ochotę pobiegać po trawie. Jednak rzadko schodziła z tarasu, bo brzydziła się piasku. Przykleja się taki do łapek i potem trzeba nimi trząść, aby się go pozbyć, a wtedy można się

Wielkanoc w naszym domu — ja z Itą, mama i Marta.

przewrócić. Wynosiłam ją na trawę, a ona rozpędzała się jak łysy kangur. Czasem podczas tego cwału trafiała na dołek i wywijala orła, a raczej sfinksa. Biegłam za nią, brałam na ręce i pocieszałam. Za jakiś czas znów przychodziła jej ochota na udawanie kangura. Niezwykle było to, że od pierwszego dnia pobytu I ty w moim domu wszystkie zwierzęta rozpoznały w niej kosmitę. Zawsze jest tak, że kiedy przynosi lub przyprawdza się do domu „nowego”, zarówno psy, jak i koty bez pardonu wtykają nosy w nieswoje futerko. Tu co prawda nie było futerka, tylko różowoszarawa skórka, ale przecież też można ją wachać, a one nic. Obejrzały, pochodziły trochę wkoło i zaczęły traktować I tę jak porcelanowe cacko. Nigdy nikt nie okazał jej cienia niechęci. Tak naprawdę to nigdy nie dała ku temu powodu, ale koty tak jak i ludzie czasem złością się bez przyczyny. Na Itę nigdy nikt się nie rozzłościł.

Poza spaniem pod kołdrą Itunia lubiła wtulać się w tłusty brzuch wielkiego czarnego kota Maciusia. On obejmował ją łapą i leżał bez ruchu tak długo, jak jego dama sobie życzyła. Wyglądali jak „piękna i bestia” w wersji black and white. Branie Ity na ręce wiązało się z tym, że domagała się, aby wsadzić ją pod ubranie. W związku z tym domownicy dość często „chodzili w ciąży” z Itą pod swetrem lub bluzą.

Nerki Ituni odmówiły pracy z powodu przeciążenia wieloma chorobami, które przeszła w młodości. Na szczęście nie cierpiała długo. Odeszła cichutko i skromnie, tak samo jak żyła. Nie da się przelać na papier tego, co mam w sercu, kiedy ją wspominam. Nigdy jej nie zapomnę.

„Zwierzowiec”

W moim życiu wiele ważnych wydarzeń zdarzało się lawinowo. Niedawno odkryłam, że jeśli o czymś intensywnie myślę, o czymś 274 marzę, a jest to niezależne od innego człowieka, to spełnia się. Marzyłam, aby popływać z delfinami — popływałam. Marzyłam o rozmowie ze słoniem — „pogadałam”. Nie marzyłam o własnym programie w TV, ale bardzo chciałam przekazać ludziom to, czego dowiedziałam się od zwierząt, i zdarzyło się.

W 2003 roku zadzwonił do mnie miły starszy pan i zapytał o rozwiązanie problemu zdrowotnego swojego psa Kajtka. Nawiasem mówiąc, dziś Kajtek — Kajto, jest moim psem, ale o tym potem. Rozmawiało nam się bardzo miło i po psich problemach zeszło na inne tematy. „Dlaczego nie ma pani programu w telewizji?” — zapytał. „Nikt mi tego nie zaproponował” — odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Tak zaczęła się trwająca do dziś przyjaźń z Maciejem Malickim i jego żoną Krystyną. Napisałam z Krystyną, a przecież kilka dni temu Krystyna odeszła na zawsze. Piszę to gdy... za chwilę będzie jej pogrzeb. Jestem jednak pewna, że mimo to przyjaźnimy się nadal. Maciej był i jest moim dobrym duchem medialnym. Przed laty pracował w WFD (Wytwórnia Filmów Dokumentalnych) i zostało mu

znakomite „oko” do dokumentu. Zaraz po rozmowach z nim na temat możliwości znalezienia telewizyjnych kontaktów, dostałam propozycję prowadzenia autorskiego programu w TVP 1. Nie wierzyłam w swoje szczęście. Program został ochrzczony „Zwie-rzowcem”. Jego producentem od początku jest Robert Kaczmarek.

Przygoda z kamerą. Piękna przygoda, bo dzięki kamerze mogłam być blisko zwierząt, do których inaczej trudno byłoby mi podejść. Kamera otwiera wiele drzwi, a dla mnie otwiera

czasem nawet kraty. Przez pierwszy rok „Zwierzowiec” opowiadał głównie o dzikich zwierzętach i relacjach między nimi. Był to okres tak wielu zdarzeń, że dziś trudno mi wybrać te najważniejsze.

Pojechaliśmy na przykład do Kadzidłowa na Mazurach. Jest tam miejsce zwane Parkiem Dzikich Zwierząt, w którym, zgodnie z nazwą, spotkać można ogromną liczbę gatunków rodzimej i zagranicznej fauny. Kręciliśmy odcinki o łosiu i o rysiu. Serca wszystkich zawojował łoszak (dziecko łosia) o imieniu Bajkał. Karmiłam go smoczkiem z wielkiej butli po wodzie mineralnej. Był już całkiem spory, ale na widok butelki z mlekiem, co tam butelki, nawet kartki białej jak mleko, Bajkał wpadał w trans „smoka mlekopija”. Podążał za bielą, mamrocząc po łosiowemu: „Mamo, jestem głodny!”. Wspaniale było choć na chwilę stać się mamą łoszaka i całować delikatną jak końskie chrapy pyzę — górną wargę łosiowego dziecka. Poza Bajkałem na terenie parku lasu mieszkała dorosła łosza — kłępa

Nawiasem mówiąc, dziś Kajtek I[^]Jga. —

Kajło, jest moim psem.

275

Była zima. Śniegu po pachy, a cała nasza ekipa z ciężkim sprzętem musiała ruszyć w las na poszukiwanie Tajgi. Uprzedzono nas, że Tajga wcale nie musi być zadowolona z naszej wizyty. Mamy bardzo uważać, bo jak zechce nas przepędzić, to nie będzie wesoło. Znalezienie łosiowej damy nie było trudne. Kręciła się przy paśniku. Na pewno była przyzwyczajona do ludzkich odwiedzin. Przyjeżdża tam wielu turystów i dużo wycieczek. Mimo to wyraźnie zainteresowała się naszą krzątanicą wokół telewizyjnego sprzętu. Nagle w jej oczach zapaliły się niepokojące iskierki. Obaj nasi kamerzyści mieli niebieskie puchowe kurtki. Tajgę urzekł błękit, a może nie chodziło o błękit kurtek, lecz o samych panów. Może zapragnęła zostać gwiazdą i to ich profesja wyzwoliła w niej namiętność? Łosza rażno ruszyła w kierunku jednego z nich i zaczęła napierać na błękit kurtki. Robiła „wcierki” głową i bokiem najpierw w jednego, a potem w drugiego kamerzystę. Nie mogliśmy kręcić, bo Tajga nie pozwalała operatorom podjąć dzieła. Już, już wydawało się, że nasyciła swoje żądze, a tu błysk w oku i wszystko od nowa. W końcu znudziło ją uwodzenie błękitnych dżentelmenów — Pawła i Bartka. Odeszła na bok i zaczęła ocierać się o gałąź. Mogliśmy zacząć nagrywać. Podeszłam bliżej Tajgi i zaczęłam mówić do kamery. Kątem oka zauważyłam, że łosza patrzy na mnie niespecjalnie przychylnie, jakby miała na końcu języka: „A ta baba tu po co?”. Chciałam jej powiedzieć, po co, ale nie miałam niebieskiej kurtki ani nie byłam operatorem kamery i kłępa nie miała zamiaru mnie wysłuchać. Zaczęłam powolutku wycofywać się, nie przerywając mojej opowieści o łosiu. Zniżyłam głos i powiedziałam prosto do kamery, że musimy się wycofać, bo Tajga nie lubi, jak mówi się o niej „kłępa”.

W drodze powrotnej Bartek zapytał mnie: „Dlaczego ona nie lubi, kiedy mówi się o niej kłępa?”. I za to cię lubię, Bartku.

W tym samym czasie nagrywaliśmy odcinek o rysiu. W Kadzidłowie jest kilka dorosłych, roślących kotów tego gatunku, ale nie przejawiały chęci do zawarcia z nami znajomości. Mieliśmy dużo szczęścia, bo właśnie wtedy był również nowy, młody „ryś podrostek”. Ot, taki radosny młodziak, tyle że z potężnymi pazurami. Weszliśmy do woliery. Zaciekało go moje sztuczne futerko przy kapturze kurtki. Przysiadłam na pieńku. Zaczęłam mówić do kamery, a on krążył wkoło mnie i wpatrywał się to w futerko, to w czapkę. Przysiadł za moimi plecami na tym samym pniu. Byłam zachwycona jego ufnością. Nagle poczułam, że jakaś pazurzasta łapa klapnęła mnie po głowie i już nie miałam czapki. Jednak zdecydował się na czapkę, a nie na futerko. Był dżentelmenem. Oddał czapkę. Zostawił mi tylko malutką ryskę na czole, bez śladu krwi. Prawdziwy dżentelmen.

W warszawskim zoo jest nowa „owadziarnia”, w której poza owadami z różnych stron świata można podziwiać pająki i ślimaki. Ludzie zazwyczaj brzydzą się i boją owadów. Ze mną jak

zwykle jest odwrotnie. Owady i pająki nie tylko nie budzą we mnie strachu czy obrzydzenia, ale każdego mam ochotę wziąć do ręki. Nie zawsze to robię. Nie tylko dlatego, że niektóre z nich są niebezpiecznie jadowite, ale i dlatego, że nie wszystkie sobie tego życzą. Dzięki przemiłej specjalistce od tych mało popularnych braci mniejszych, pani Jadwidze Korczak, mogłam nie tylko podziwiać wspaniałe okazy. Niejeden widz mojego programu dostał gęsiej skórki, gdy zobaczył, jak pająk ptasznik wchodzi mi za kołnierz, a dorodny wij o setkach nóg wije się w mojej dłoni. Najzabawniejsza jednak historia zdarzyła się pod nieobecność pani Jadwigi. Skończyła się dobrze, więc mam nadzieję, że zostanie nam to wybaczone. Nagrywaliśmy „po godzinach” i pieczę nad naszym zachowaniem w owadziarni miał młody, bardzo sympatyczny człowiek. Zamarzyło mi się, aby na początku programu oblażył mnie karaluchy. Nie takie „liliputy” z naszego klimatu, ale karaczany madagaskarskie. Piękne, ogromne, o lśniących jak kasztany pancerzykach.

>

m

<<<

>>.#

Kiedyś miałam takie trzy okazy w domowym terrarium. Nazywały się Staś, Władeczek i Janeczka. Każdy, kto choć raz je zobaczył, zmieniał zdanie na temat karaluchów.

Karaluchami najczęściej nazywamy prusaki (*Blatella germanica*), które nie tylko nie grzeszą urodą, ale są zmorą wszystkich większych miast na całym świecie. Im większy brud, tym więcej prusaków. Trudno pałać do nich sympatią. Karaczany madagaskarskie nie miałyby szans samodzielnego przeżycia w naszym klimacie. Poza tym w naturze nie zasiedlają ludzkich domów, tylko ściółkę tropikalnych lasów. W warszawskim zoo jest kilka gatunków karaczanów, ale moim zdaniem madagaskarskie są najładniejsze.

Na początku, kiedy ekipa filmowa usłyszała o karaczanach, miny wszystkim zrzędyły. Gdy je zobaczyli, każdy chciał dotknąć owada wielkiego na pół dłoni, wyglądającego jak piękna brosza. Poprosiliśmy, aby nasz opiekun przyniósł nam kilkanaście karaczanów. Siedziałam na pieńku w ciepłej owadziarni, a po mnie spacerowały ogromne owady. Zaczęliśmy nagrywać. Mówiłam, że jeśli się nie opamiętamy w zaśmiecaniu naszej planety, to zostaną po nas tylko „karaluchy”, ale miałam na myśli prusaki. Potem pokazywałam inne owady. Nagraliśmy odcinek i czas było wracać do domu. Kiedy pożegnaliśmy się i zmęczeni wsiedliśmy do samochodu, poczułam, że nie jestem sama w swoim ubraniu. Pod bluzką przysnęły cztery wielkie owady. Za chwilę z nogawki wypadł następny. Wszystkie szczęśliwie wróciły do swojego domu, ale dopiero następnego dnia. Noc spędziły u naszej kierowniczkę produkcji, Małgosi Matuszewskiej.

„Zwierzowiec” zaprowadził mnie do wielu ogrodów zoologicznych. Mogłam skorzystać z usług fryzjerskich surykatek o imieniu Nelson. Nelson nie tylko nie przestraszył się, gdy weszłam na wybieg surykatek, ale po chwili wspiał się na moje ramię i z upodobaniem czesał łapkami moje włosy. U takiego fryzjera mogłabym spędzić nawet dwa dni.

Całowałam nosorożca, karmiłam z butelki lwiątko, a szympanś bił mi brawo. Gdybym umiała czarować, oddałabym wszystkim zwierzętom wolność na czystej, pięknej planecie. Niestety, ani nie umiem czarować, ani nie da się już „wysprzątać” naszej matki Ziemi.

W 2004 roku wyszła moja pierwsza książka, Szczęśliwy pies. Pisałam ją odręcznie. Nie miałam ani komputera, ani maszyny do pisania. Potem ukazała się następna, Szczęśliwy kot, też pisana długopisem i nagrywana na dyktafon podczas jazdy samochodem. Wreszcie decyzja — nie mogę aż tak odstawać od dzisiejszych czasów. Muszę mieć komputer.

Pozostałe dwie książki: Do serca przytul psa i Trudne tematy, pisałam już na laptopie.

Kiedy zaczynałam pisać pierwszą książkę, moja mama była jeszcze w całkiem dobrej formie. Doczekała jeszcze wydania drugiej. Kiedy wyszła trzecia książka, mamy już nie było przy mnie.

Delfiny

Prawie każdy człowiek, który widział filmy o delfinach, marzy o bezpośrednim z nimi spotkaniu. W tym przypadku nie różni się od większości.

Zostałam zaproszona na konferencję dotyczącą różnych terapii przy udziale zwierząt. Miałam odczyt na temat realnych zagrożeń ze strony zwierząt towarzyszących człowiekowi.

Oczywiście 99 procent zagrożeń to urojenia w ludzkich głowach, co starałam się przekazać słuchaczom. W konferencji brali udział specjaliści od dogoterapii, hipoterapii i delfinoterapii. Po obejrzeniu filmu o delfinach leczących dzieci stwierdziłam, że muszę pojechać tam, gdzie będę mogła popływać w delfinim towarzystwie. I to wcale nie dlatego, że czułam się chora.

Wręcz odwrotnie. Może w poprzednim wcieleniu byłam nie tylko psem, ale i delfinem?

Na pewno byłam delfinem, a jeszcze „bardziej na pewno” białuchą (wał biały). Kiedy stanęłam nad basenem w krymskim delfinariu „Akvatoria”, a u moich stóp wynurzyły głowy dwa wielkie, pięciometrowe wale białe i trzy delfiny, poczułam, że chcę być jednym z nich. Wskoczyłam do wody. To dziwne — wydawałoby się, że kąpiel z tak dużymi istotami może budzić lęk, a było wręcz odwrotnie. Nigdy nie czułam się tak bezpiecznie w wodzie, jak Na pewno byłam delfinem, a jeszcze „bardziej na pewno” białuchą — w delfinariu na Krymie, 2003 lub 2004.

wtedy, gdy delfiny pływały obok. Ich figlarne spojrzenia mówiły „baw się ze mną”. Delfiny łapały za ręce, przyskały wodą, zachęcały, żeby grać z nimi w piłkę. Miały w sobie ogromne pokłady życzliwości. Ciągłe było mi mało kontaktu z nimi. Wcale mnie nie dziwiło, że ludzie odzyskują zdrowie dzięki kontaktom z tymi morskimi istotami. Zaskakujące było ich serdeczne zainteresowanie człowiekiem, a najbardziej to, że jeśli w grupie pływających ludzi znajdowało się chore na autyzm dziecko, wszystkie delfiny płynęły właśnie do niego. Nie wiem, skąd wiedziały, że dziecko wymaga terapii, ale wiedziały i ochoczo do niej przystępowały.

Moimi ulubieńcami były białuchy. Dwa ogromne śnieżnobiałe samce z twarzami kaczora Donalda poruszały się z wdziękiem baletnicy. Pozwalały się dotykać, a nawet kłaść na sobie i mimo swoich wielkich rozmiarów były tak delikatne, że nigdy nie potrafiły człowieka. Ich skóra przypominała w dotyku dość sprężystą gumę.

Skóra delfinów jest bardziej twarda, gładka i śliska. Te morskie ssaki znane są z tego, że potrafią ratować rozbitków z tonącego

okrętu. Skąd ta życzliwość i chęć niesienia pomocy człowiekowi? Myślę, że jest ziarenko prawdy w starej wyspiarskiej legendzie, która mówi, że człowiek w następnym wcieleniu rodzi się delfinem. No, może nie każdy człowiek, bo wtedy delfiny byłyby tak samo jak my okrutne, a nie są. Mamy jednak z delfinami wiele wspólnego. Niewiele zwierząt podobnie jak człowiek uprawia seks nie tylko w celu prokreacji, ale także dla przyjemności. Należą do nich właśnie delfiny i szympansy karłowate bonobo, ale tylko delfiny i ludzie dopuszczają się zbiorowych gwałtów. To akurat mało chlubne podobieństwo. Poza tą jedną przestępczą skłonnością pozostałe wspólne cechy są pozytywne, a nawet delfiny wypadają znacznie lepiej niż my. Choćby przy porównaniu sposobów osobniczej identyfikacji jesteśmy kilometr za morskimi braćmi. Człowiek ma imię, nazwisko, imiona rodziców i adres. Potem dochodzi

285

dowód osobisty, paszport, PESEL, NIP, nr konta, nr telefonu i tak dalej. Dorosły delfin „legitymuje się” tak zwanym gwizdem rozpoznawczym. W tej melodyjnej legitymacji ma zapisane pochodzenie, w tym imię matki i miejsce, gdzie przyszedł na świat, własny PESEL i imię. Całość jest nie do podrobienia. Delfin „wyrabia” sobie tę legitymację przez cały czas,

gdy jest przy matce. Gdy staje się dorosły, gwizd rozpoznawczy jest gotowy i nie zmienia się do końca delfiniego życia.

Miłość i podróżę

I znowu się zakochałam. To dziwne, ale nawet gdy ma się nie osiemnaście, ale czterdzieści osiem lat, to w podobnej sytuacji emocje są takie same. Spotkałam mężczyznę starszego ode mnie o prawie dziesięć lat.

Był dawnym znajomym mojego ojca, a co najciekawsze, zakochał się we mnie, zanim go poznałam. Oglądał moje programy telewizyjne i coś mu w sercu „zapikało”. Wiedział o mnie dużo więcej niż ja o nim. Jak wyglądam, co robię, jak mieszkam. Nasze pierwsze spotkanie było dla mnie miłą niespodzianką. Spodobał mi się on i jego zafascynowanie moją osobą. W każdej kobiecie mieszka ukryta „księżniczka” łasa na uwielbienie. Och, jak bardzo w tamtym czasie potrzebowałam kogoś, kto powie: „Zrobię dla ciebie wszystko, czego zapagniesz”. Tak naprawdę nie chciałam, aby ktoś robił dla mnie coś wyjątkowego, ale bardzo chciałam usłyszeć taką deklarację. Pomimo ogromnych kłopotów z córką i postępującej choroby mamy zobaczyłam „światelko w tunelu”. Stał przy mnie ktoś, kto chciał wziąć na siebie to, czego ja sama nie dawałam rady udźwignąć.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Postanowiliśmy resztę życia spędzić razem. Taka decyzja zapadła po naszej

pierwszej wspólnej wyprawie w dalekie kraje. Wyjechaliśmy na wyspę słońi—Koh Chang, na granicy Tajlandii z Kambodżą. To była bajka, jaka zdarza się tylko zakochanym. Bez względu na wiek.

Znaliśmy się dopiero kilka miesięcy. Oboje byliśmy sobą zachwyceni, a na dodatek trafiliśmy do raj. Obawiam się, że dziś wyspa wygląda już inaczej. Widzieliśmy, jak jej piękne wybrzeże pokrywają kolejne place budowy. Hotele i jeszcze raz hotele. Każdy, zanim stanie się duszą, chce do raj.

Wielokrotnie oglądałam w telewizji in-dochińskie widoki. Baj kowe wysepki otoczone mgłą, z której wylania się rajska roślinność. Co tu dużo mówić, wystarczy obejrzeć film Indochiny. Marzyłam o wyjeździe na jedną z takich wysp. Znowu moje ma rzenie się spełniło, i to jak jeszcze. Wkoło raj, a u boku ukochany mężczyzna.

Nigdy w życiu nie zapomnę tamtych kilkunastu dni. Koh Chang wydał mi się niezmiernie nie tylko z powodu bajecznie pięknej przyrody, cudownie ciepłej, czystej wody i raf koralowych. Mieszkańcy tej wyspy, ludzie i ich zwierzęta, mieli w sobie coś z odwiecznych prawd o miłości i niekończącym się cyklu natury. Byli po prostu „niedzisiejsi”. Może dlatego, że są buddystami, a może dlatego, że świat, w którym żyją, jest tak piękny i przychylny człowiekowi, że łagodzi obyczaje. Pewnie jedno i drugie.

Przyjechaliśmy, a raczej przypłynęliśmy na wyspę po zachodzie słońca. Nie mieliśmy zaklepanego lokum, więc przenocowaliśmy w pierwszym lepszym hotelu, na jaki było nas stać. Rano wrzuciliśmy plecaczki i ruszyliśmy na poszukiwanie miejsca, w którym chcielibyśmy spędzić następne kilkanaście dni. Było bardzo gorąco, bardzo kolorowo i wszyscy napotkani ludzie uśmiechali się do nas jak starzy, dobrzy znajomi. Już po chwili marszu pośród zieleni, upstrzonej kwiatami we wszystkich możliwych i niemożliwych kolorach, moją uwagę zwróciło dziwne zjawisko. Spotykaliśmy dużo psów. Większość z nich przypominała dingo, ale nie to było dziwne. Wszystkie psy unosiły wysoko głowy i ogony. Wszystkie wyglądały jak pączki w maśle i z ufnością spoglądały w oczy napotkanych ludzi. Nie spotkaliśmy choćby jednego psa z podkulonym ogonem. Żaden nie przemyczał się opłótkami.

Znaleźliśmy miejsce na uboczu wyglądające jak ogród Edenu, a w nim małe skupisko domków na palach. Bambusowa recep-cjo-kawiarnia znajdowała się przy wejściu na teren hoteliku. Kilka drewnianych stolików pod palmowym dachem. Na jednym ze stołów leżała kotka i karmiła kilka podrośniętych kociaków. W tym samym momencie, w którym my

weszliśmy do środka, pojawił się gospodarz. Starszy pan w jednej ręce trzymał talerz z jedzeniem dla kotów, drugą pozdrowił nas, a z jego ust usłyszeliśmy nie „hel-lo” czy „hej”, ale prawdziwe kocie MIAU. Wskazał nam wolny stolik, na którym koty nie korzystały z matczynej jadłodajni, i położył palec na ustach, co miało znaczyć „nie przeszkadzajmy, porozmawiamy, jak skończą”. Łatwo się domyślić, że zamieszkaliśmy u „dziadka”. Tak nazwaliśmy pana Tawee Kamegun, wielbiciela kotów i innych zwierząt. Dziadek był w przeszłości przewodnikiem po dżungli i myśliwym. Zabił wiele tygrysów i dziś chce zrekompensować to przyrodzie. Powiedział, że nigdy już nie weźmie do ręki broni, a każde zwierzę, które się zjawi, znajdzie u niego dom. I tak zaadoptował młodego dzika, który skuszony resztkami z restauracji, wyszedł z dżungli. Dzik był przywódcą grupki psów mieszkających trochę u dziadka, a trochę u sąsiadki. Na Koh Chang nie było bezdomnych psów i kotów. Najmilsze obrazki można było oglądać wieczorem. Ludzie mieszkali w niewielkich ażurowych chatkach. Wieczorem zapalali światła i siadali do rodzinnego posiłku. Wokół niskiego stolika gromadzili się wszyscy, również psy. Czasem można było zobaczyć szczeniaka pałaszującego na stoliku swoje danie. Często widywałam śpiące dzieci, wtulone w psa. Nigdy nie widziałam, aby ktoś przepędzał czy krzyczał na psa. Nigdy nie widziałam przejechanego przez samochód psa lub kota, a po wąskiej asfaltowej drodze wokół wyspy ciągle kursowały samochody i skutery. Czasami maszerowały też słonie.

Słoń, podobnie jak delfin, u większości ludzi budzi sympatię. Nie ukrywam, że wybrałam tę wyspę właśnie ze względu na obecność słoni. Bardzo chciałam zbliżyć się do tego ogromnego stworzenia i spojrzeć mu w oczy. Nie zawiodłam się ani odrobinę. Słoń ma w sobie tyleż majestatu, co i figlarności. To prawdziwy wesołek z dużym poczuciem humoru. To nic, że jest wielki i ciężki jak skała, gdyż potrafi poruszać się jak baletnica.

Na Koh Chang, czyli wyspie słoni (koh to wyspa, a chang to słoń), nie ma dzikich słoni. Przebywają tu osobniki, które kiedyś pracowały przy wyrębie drzew. Dziś cała dżungla jest rezerwatem i nic się w niej nie wycina. Słonie przestały ciężko pracować i zostały maskotkami wyspy. Turyści mogą pojechać na słoniową przejażdżkę i uczestniczyć w karmieniu słoni. Słonie z Koh Chang są równie przyjazne jak cała reszta mieszkańców. Dobre traktowanie przez ludzi owocuje tym, że te duże zwierzęta nie tyle tolerują obcych, ile wręcz garną się do nowych kontaktów.

Słonie indochińskie są odmianą słoni indyjskich. Troszkę mniejsze, ale i tak wystarczająco wielkie. Słonica, na której pojechaliśmy do dżungli, miała malutką, dwustukilogramową córeczkę. Dotarliśmy do jeziora i wszystkie trzy — słonica matka, słonica córka i ja — weszłyśmy do wody. Malutka jak każde dziecko zaczęła barszkować w kąpielu. Podskakiwała i robiła mi prysznic z trąbki, próbowała mnie wyrzucić, a gdy padałam, jej oczy śmiały się: „Udało się, udało się!”. Słoniowa mama z góry patrzyła na wszystko z pełną aprobatą.

Po wyjściu z wody dziecko rozbrykało się jeszcze bardziej i usiłowało mnie zrewidować. Słoniczka przytrzymała moją rękę w swojej buzi, a trąbą zaczęła przeszukiwać moje kieszenie. Potem było podstawianie mi nóg i rozgniatanie mnie na drewnianym pniu. Otrzymałam słoniowe dziecko nową zabawkę — żywą lalę. Wspaniale czułam się w roli zabawki słoniczki. Jej mama, nie przestając zerkać na popisy córki i moje reakcje, zajęła się czyszczeniem paznokci. Znalazła odpowiedni patyczek, którym bardzo dokładnie dłużyła we wszystkich zakamarkach stóp i „dłoni”. Wiedziałam o niezwykłej inteligencji słoni, ale nie podejrzewałam, że potrafią używać precyzyjnych narzędzi. Następnego dnia znalazłam patyczek i podałam słonicy, aby sprowokować toaletę. Popatrzyła na mnie wymownie: „No wiesz, takim czymś to możesz wyczyścić komin, a nie moje paznokcie”, i odrzuciła podarunek. Za chwilę sama znalazła odpowiedni patyk i wierzcie lub nie, ale zanim zabrała się do dzieła, pokazała mi jego zastrzony koniec.

Opiekun słonicy — kornak, szybko zorientował się, że mam „słoniową duszę” i poszedł do bazy, a mnie pozwolił samej

73

doprowadzić słońce. Kiedy tylko słonica zorientowała się, że go nie ma, a na jej głowie siedzi zabawka córki, postanowiła porządzić. Nie słuchała mnie wcale, choć ją błagałam: „Idź drogą”. Wędrowała po nierównościach terenu, od jednej kępy soczystej trawy do drugiej. W końcu nasyciła głód i powolutku ruszyła do domu.

Najniezwyklejszym przeżyciem podczas tej wyprawy był koncert infradźwięków wydawanych przez słońce. Są to tak niskie dźwięki, że nasze ucho ich nie rejestruje, ale odbiera je całe ciało w formie drgań. Na trasie wędrówki znad jeziora spotkaliśmy inną słonicę. Obie wyraźnie ucieszyły się na swój widok. Ich powitanie wprawiło w rezonans nas, ziemię i niebo nad nami. Wtedy przez chwilę poczułam się częścią słoniowego świata. To było bardzo przyjemne. Słoniem też chciałabym być.

W ciągu 2006 i 2007 roku razem z mężem odwiedziliśmy jeszcze Emiraty Arabskie, Indie i Wyspy Zielonego Przylądka. W Indiach też zetknęliśmy się ze słoniami, ale te były już zupełnie inne. Nie miały w sobie tyle szczerzej ufności co słońce z Koh Chang.

Za największą atrakcję w Indiach uważam rezusy.

Zamieszkaliśmy w malutkim hoteliku na terenie rezerwatu Pe-riyar na południu Indii. Już pierwszego dnia przywitały nas wszędobylskie małpy. Doskonale zdawały sobie sprawę, że w rezerwacie są bezkarne, mimo iż nie cieszą się specjalną sympatią Hindusów. Była to duża grupa rodzinna, z wieloma matkami noszącymi maleństwa, pod wodzą „mięśniaka” — lidera. Na samym końcu podążał stary samiec. Widać było, że jest już bardzo wiekowy i ku mojemu zdziwieniu nawet lider traktował go niezwykle wyrozumiale. Widziałam, jak na oczach przywódcy starszerek zaczął romansować z jedną z żon szefa. Lider nie zareagował jak zwykle atakiem, ale odwrócił głowę z niemym przyzwoleniem. W jego oczach nie było pogardy „i tak nie poradzisz starcze”, ale raczej aprobaty „tobie też się coś od życia należy, dziadku”. Od tamtego

292

dnia zmieniałam zdanie o liderze, który na początku wydał mi się bezwzględny brutal. Rezusy okupowały hotelik. Były wszędzie — na dachach, balkonach, skakały po rynnach i obskubywały kwiaty pnączy zdobiących ściany hotelu. Czekały. Może ktoś nie domknie drzwi i będzie można coś ukraść. Na początku hotelik był pusty, poza obsługą mieszkaliśmy tylko my. Jednak pewnego dnia przyjechała wycieczka z północy Indii. Musieli to być reprezentanci wysokiej kasty. Traktowali innych z wyraźną wyższością należną bogom. Głowy nosili wysoko, nikogo nie obdarzali nawet spojrzeniem. Małp też. No i zaczęło się. Tu niedomknięte drzwi, tam otwarte okno — choć zakratowane, to przecież można rękę wsadzić i coś skubać.

Siedziałam na patio i zaśmiewałam się do rozpuku. Z jednego z pokoi wypada lider z wielkim słojem pod pachą. Za nim z krzykiem „bogini”, która właśnie zeszła z piedestału. Małpa wskoczyła na daszek. Słoik był zakręcony i trzeba było zaledwie chwili, aby lider rozpracował tajemnicę zakrętki. Nawet do głowy mu nie przyszło stłuczenie szkła. Tak mógłby zrobić ktoś bezmyślny. Lider popracował moment i z łatwością odkręcił wieczko. W środku musiało być coś pysznego, bo delectował się zawartością słoja z roz-anielonym wyrazem twarzy.

Małpy traktowały złodziejstwo jak hazard. Kradły wszystko dla samej przyjemności. Jeśli udało się przy tym napełnić żołądek, to dobrze, ale nie to było głównym celem tego sportu. Zaraz po przyjeździe do rezerwatu postanowiliśmy zaprzyjaźnić się ze stadem rezusów. Ich przysmakiem były banany. W sklepiku znajdującym się poza rezerwatem kupiliśmy ogromną kiść bananów. Kiedy wracaliśmy na teren rezerwatu, w bramie strażnik

zagroził nam drogę. „To niebezpieczne” — powiedział. Od hotelu dzieliło nas kilka kilometrów, a po drodze małpia rodzina mogłaby napaść na nas. Banany były tak cennym łupem, że chęć ich zdobycia brała górę nad lękiem przed człowiekiem. Rezusy zresztą doskonale zdawały sobie sprawę, że pokonanie dwójki ludzi jest dla trzydziestu małp dziecinną igraszką.

W końcu strażnik dał się ubłagać i wpuścił nas. Ruszyliśmy z kopyta. Mój mąż szedł przodem, dźwigając kiść bananów (było ich ponad sto). Tak pędził, że ledwo za nim nadążałam. Pod hotelem dał mi do potrzymania banany, aby sprawdzić, czy małp nie ma w pobliżu i czy możemy przemknąć niezauważeni do pokoju. Nie mogłam utrzymać owoców nawet w dwu rękach. Były tak ciężkie, że musiałam oprzeć je na ziemi. Wizja małp obskubujących nas z bananów i z czego się da uczyniła z mojego męża prawdziwego tytana. Szczęśliwie dotarliśmy do pokoju, gdzie pokroiłam kilkanaście owoców na kawałki, schowałam do plastikowej torby i ruszyliśmy uprawiać przekupstwo. Wielka ze mnie naiwniaczka. Wyobrażałam sobie, że dam po kawałku każdej małpie. W ułamku sekundy straciłam całą torbę wraz z zawartością. Kiedy lider zauważył, co kryje plastikowy worek, skoczył w moim kierunku z wyszczerzonymi zębami i bojowym okrzykiem. Wyrwał mi brutalnie pakunek i popędził na najwyższą gałąź, aby tam napełnić swój już i tak tłusty brzuch. Od tamtej pory przemycałam banany w kieszeniach i pod ubraniem. Kiedy lidera nie było w pobliżu, częstowaliśmy nimi pozostałych członków stada.

Rezerwat Periyar to jedna z ostatnich ostoi dzikich słoń indyjskich. Wspaniale było podziwiać naprawdę wolne słonie w czasie kąpieli. W nocy podchodziły pod sam hotel. Rano tropiliśmy ich ślady. Przechodziły przez głęboki rów z wodą, łączący dwa jeziora, aby przedostać się na teren hotelowy. Widzieliśmy indyjskie jelenie, dziki, bawoły i zupełnie niezwykle wiewiórki. Oprócz

małych, szarobrunatnych wiewiórek przypominających nasze w Periyar były także ogromne wiewióry wielkości sporego kota. Ubrane w piękne czerwono-czarne futro zerkały na nas z wysokich gałęzi. Ich sierść w dużej części miała kolor czerwonego wina. Pomimo ogromnych jak na wiewiórkę rozmiarów poruszały się równie zwinnie jak nasze rude ślicznotki.

Poza tym odwiedzały hotel czarne langury — małpy, ale nie takie bezczelne jak rezusy. Langury nie schodziły z drzew, tylko przyglądały się nam z wysoka.

Widzieliśmy, że na terenie rezerwatu mieszka kilkadziesiąt tygrysów, jednak nigdy nie zobaczyliśmy żadnego z nich. Może to i lepiej.

Drugą część pobytu w Indiach spędziliśmy nad oceanem, w mieście Koczin. Tu trochę przerażałam się tym, co człowiek może uczynić ze swoim otoczeniem. Śmieci, śmieci i jeszcze raz śmieci. Smród, smród i jeszcze raz smród. W mieście postawiono całe mnóstwo nowoczesnych wieżowców, ale nie przeprowadzono prawdziwej kanalizacji, ścieki płynęły głębokim rynsztokiem pod chodnikami, aby spłynąć wprost do oceanu. Chodzenie ulicami było niezmiernie trudne — z powodu potwornego tłoku, ryzykowania życia podczas każdego przechodzenia przez jezdnię, a przede wszystkim odoru wydobywającego się ze ścieków, który wręcz utrudniał oddychanie. Codziennie rano przedostawaliśmy się tramwajem wodnym na pobliską wyspę. Tam było pięknie i czysto. Znaleźliśmy mały hotelik na plaży, gdzie można było zjeść lunch i napić się indyjskiego cienkiego piwa.

Na trzy dni przed odlotem postanowiliśmy jedną noc spędzić w hoteliku na plaży. Wieczorem morze wyrzuciło nie rybę, nie żółwia, ale pięciotygodniowe szczenię. Złapałam na ręce chudziutką, żółtą suczkę i przytuliłam rozedrgane od płaczu ciałko. W jednej chwili poczułam, że cała moja skóra na twarzy, głowie i rękach faluje od ruchu miliona malutkich istot, które wzięłam na ręce

wraz z suczką. Takiej ilości pcheł i psich wszy nie widziałam nigdy w życiu, a naprawdę widziałam wiele. Walka z insektami nie była łatwa. Nie miałam żadnego specyfiku

stosowanego w takich sytuacjach, a kupienie go graniczyło z cudem. Prysznic i zręczne palce zrobiły swoje. Na maleństwie zostały tylko jakieś pchle niedobitki. Nie spałam całą noc, głowiąc się, co zrobić z psiną? Na załatwienie formalności umożliwiających wwiezienie jej do Polski nie było czasu. Zostały nam tylko dwa dni. Rano wpadliśmy na najlepszy, jak się w przyszłości miało okazać, pomysł.

W hoteliku pracował młody chłopak o imieniu Anesz. Zaproponowałam mu „interes życia”. On zaopiekuje się Kalkutą (tak nazwałam suczkę) i co trzy miesiące będzie mi przysyłał jej zdjęcie. Za każdy wizerunek Kalkuty będę mu przysyłała 100 dolarów. Na początek dostał 2000 rupii — wszystko, co nam zostało. Był bardzo szczęśliwy i z ochotą zajął się psem. Dziś Kalkuta nazywa się Beatrice, ma 1,5 roku i właśnie urodziła szczenięta. Myślę, że jest jednym z bardziej zadbanych psów w Indiach. Mieszka w rodzinnym domu Anesza. Dzięki tej psince siostra Anesza wyszła za mąż, bo starczyło na posag, a ojciec zaczął leczyć reumatyzm. Anesz jest szczęśliwy i poza zdjęciami i listami dzwoni do mnie przynajmniej co dwa miesiące. Nazywa mnie „polskim przyjacielem” i zaprasza do rodzinnego domu w górach Kerali. Cieszę się, że psina i rodzina Anesza mają dobre jak na indyjskie warunki życie. Może kiedyś ich odwiedzę.

Wyspy Zielonego Przylądka

W zimie 2007 byłam bardzo zmęczona nawałem pracy i codziennymi kłopotami. W domu nie było dobrej atmosfery, na dworze ponuro i zimno. Pomyślałam, że nawet krótki wyjazd do słonecznego kraju wzmocni mnie na tyle, abym miała siłę stawić czoło przeciwnościom. W biurze turystycznym „Triada” poprosiłam o najtańszą i najbardziej słoneczną ofertę. Wyspy Zielonego Przylądka — Cabo Verde. Tak naprawdę jest to tylko jedna wyspa o nazwie Sal. Widziałam różne rodzaje pustyni na Półwyspie Arabskim, widziałam tunezyjską Saharę, ale tak pustej jak na Sal pustyni nie widziałam nigdy przedtem. Na wyspie nie ma żadnych naturalnych ujęć wody, a deszcz padał tam ostatnio przed dziewięciu laty. Nawet przystosowana do suszy roślinność wyschła na proszek. Nie było co marzyć o spotkaniu jakichkolwiek zwierząt lądowych poza nielicznymi jaszczurkami i ptakami morskimi. Był jednak wspaniały Atlantyk. Tu udało mi się przeżyć niezwykle spotkanie. I wcale nie chodzi o dwa nieduże rekiny, które otarły się o mnie, kiedy pluskałam się na płyciźnie podczas odpływu.

Odpływ pozostawiał mniejsze i większe oczka wodne wkoło sterczących z piasku skał.

Uwielbiam bawić się w takich miejscach w odkrywcę. Znajdowałam kolorowe kraby i krewetki sprzątaczkę,

które od razu zabrały się do czyszczenia moich paznokci. Bez patyczka. Różne malutkie rybki umykały, chowając się za kamienie, czarne jeżowce i różowe rozgwiazdy wcale nie czuły się zaniepokojone moją ciekawością, i nagle kątem oka zobaczyłam... tak, tak, najprawdziwszą, piękną, choć niewielką ośmiornicę. Patrzyła na mnie swoimi magicznymi, wielkimi oczami, oczekując na mój ruch. Zbliżyłam rękę, a ona wskoczyła na skałę i jak wprawny taternik rozpoczęła wspinaczkę, mieniąc się kolorami. Straszyla ją mnie. Zawsze gdy spotykam niezwykle stworzenie, czuję ogromne

II
a—i

wzruszenie. To tak jakbym spotkała kogoś zupełnie wyjątkowego, % a nawet świętego.

g

Mało ludzi wie, jak bardzo wyjątkowe są ośmiornice i inne głowonogi. Te morskie istoty są spokrewnione ze ślimakami, a mimo III to obdarzone zdolnościami umysłu porównywalnymi z naszymi. Zdziwiające, że to niezbyt długowieczne zwierzę bez „kręgosłupa” 297 ma mózg godny naczelnych. Ośmiornice mają swój skomplikowany język kolorów i faktury skóry. Umieszczone w ich skórze chromatofory umożliwiają wysyłanie precyzyjnych, kolorowych sygnałów, a zmiana faktury skóry, z gładkiej jak szkło na różne rodzaje i stopnie chropowatości, wzmacnia informację kolorystyczną. Niektórzy

badacze głowonogów twierdzą, że te zwierzęta tworzą coś w rodzaju poezji malowanej kolorem i ośmiornicowym alfabetem Braila. Nic więc dziwnego, że bezpośredni kontakt z intelektualistą morskiego świata wywarł na mnie tak wielkie wrażenie.

Sprokowałam ośmiornicę do zejścia ze skały. Wróciła do wody i przytuliła się do kamienia. Kiedy zbliżałam do niej dłoń, stawała się turkusowa, potem kremowo-brązowa, łaciata. Po kilkunastu minutach patrzenia sobie w oczy postanowiłam dotknąć jej macek. Nie uciekła, a nawet „objęła” mój palec. Gdy zaczął się przyptyw, ośmiornica odnalazła drogę powrotu. Popłynęła jak torpeda, cały czas zerkając na mnie. Posłałam jej całusa. Dzięki ci, ośmiornico, za tę pogawędkę.

Rodzina czy stado?

Każdy człowiek zapytany o rodzinę wymieni rodziców, współ-' małżonka, dzieci i kuzynów, a ja dołączę do tego psy, koty i jeża 298 o imieniu Cholerek. Dla mnie prawdziwa rodzina to ci, bez których nie mogę żyć. Więzy krwi są bardzo ważne, ale nie zawsze na tyle mocne, aby wytrzymać różnice charakterów. Najważniejsze dla mnie osoby w większości odeszły. Mama, Beba, Staś, dziadziś Piotr są już po tamtej stronie. Do rodziny zaliczam także panią Alę Weldon i dziadka Karolka, ale ich już także nie ma wśród żywych. Mam liczną rodzinę ze strony ojca, ale tak naprawdę to bliski kontakt utrzymuję tylko z ojcem. Ze strony mamy pozostała mi tylko ciocia Basia, kuzynka mamy z rodziną. Czasem się widzimy, nieczęsto. Dziś moi najbliżsi to ojciec, córka i przyjaciele. No i oczywiście zwierzęta. Bez nich naprawdę nie da się żyć. Tak jak i bez ludzi.

Pewnie powinnam napisać, że moja najbliższa rodzina to mąż. Tak powinno być, ale nie jest. Dlaczego? Wszystko tak pięknie się zapowiadało, a niewiele udało się zrealizować. Oboje mieliśmy jak najlepsze chęci. Mówi się, że „dobrymi chęciami piekło wybrukowane”. Ale piekła bym tu nie mieszała, tylko smutną rzeczywistość.

Mój mąż postanowił mnie zmienić i powolutku wybijać mi z głowy to, co jest treścią mojego życia. Dziś jesteśmy małżeństwem tylko na papierze. Myślę, że niedługo i papier zniknie. Rozstaliśmy się. To niezwykle bolesne rozczarowanie. Szczególnie gdy ma się 50 lat. Nie do wiary, przeżyłam pół wieku, a ciągle czuję się, jakby wszystko było jeszcze przede mną. No, może nie wszystko. Matury już zdawać nie będę, a szkoda, bo poszłabym na studniówkę. Tak więc poza córką i ojcem moja rodzina to stado psów, kotów, ludzkich i zwierzęcych przyjaciół. To Maciej Malicki, który zawsze umie podtrzymać mnie na duchu. To ciocia — tak naprawdę w ogóle nie jesteśmy spokrewnione, Basia Kossowska. Poznałyśmy się kilka lat temu i od pierwszego wejrzenia zapalałyśmy do siebie miłością. Ciocia Basia jest już po osiemdziesiątce. Przeżyła to, co nie do przeżycia. Najpierw śmierć jednej córki, a po latach drugiej. Agnieszka byłaby dziś w moim wieku. Potem śmierć ukochanego męża, a mimo to serce cioci pozostało pełne życzliwości do świata. Ani śladu goryczy. Tylko miłość. To, że ciocia jest prawdziwą damą, nie ulega wątpliwości, ale moim zdaniem jest w cioci Basi to coś, czego dziś ludziom brakuje — godność i prawdziwa odpowiedzialność za własne człowieczeństwo. To niezwykła osoba i mieć taką ciocię jest dla mnie zaszczytem.

Do mojej rodziny należy jeszcze wiele innych osób, z którymi nie łączą mnie więzy krwi. Mam wiele „siostr i wielu braci”. Znamy się od dwudziestu, trzydziestu lat, a oni trwają przy mnie w biedzie i w szczęściu.

No i moje stado. Trzydzieści dwie kocie łapki, dwadzieścia psich i cztery malutkie jeżowe. Razem 56 łapek, 28 wpatrzonych we mnie oczu i 14 kochających serc. Może poza jednym, jeżowym, bo Cholerek chyba mnie nie kocha.

Cztery lata temu pewna mieszkanka warszawskiej dzielnicy willowej znalazła w swoim ogrodzie cztery malutkie jeżątka. Trzy były martwe, a jeden resztkami sił, ale jeszcze żył. Trafił do mnie.

■

Malutki, chudy, szaroróżowy. Przejawiał ogromną wolę życia. Jadł za trzech, spał i robił się coraz bardziej antypatyczny. Miałam w swoim życiu kilka jeży. Żaden z nich nie był duszą towarzystwa. Jeże z natury są samotnikami. Żaden nie był ani przymilny, ani czuły, ale żaden nie rzucał się na mnie z zębami i nie kąsał jak rekin. I nie ma co się dziwić, że ten został ochrzczony Cholerkiem. Zresztą pewnie przyzwyczaił się do tego, bo po każdym ukąszeniu słyszał „ty cholero”.

Cholerek wyrósł na dwukilowego potwora, o dwudziestokilo-wej agresji. Kiedy skończył rok, postanowiłam wyswatać go z moją starszą, nieżyjącą już dziś jeży-cą o imieniu Jerka.

Jerka była uroczą osobką. Znaleziona jako pokiereszowane przez psa dziecko, wyrosła na całkiem dorodną pannę. Była drobna, ale pewna siebie. Bardzo chciałam, aby miała potomstwo, które mogłabym zwrócić Matce Naturze, czyli wypuścić na wolność. Bałam się trochę, czy chamska natura Cholereka nie weźmie góry nad chęcią powielenia gatunku. Spotkanie odbyło się w ogrodzie i ku mojemu zaskoczeniu Cholerek nie tylko zakochał się w Jerce, ale sam wlaź pod jej malutki pantofelek. Agresywny gbur stawał się przy swojej wybrance gruchającym gołąbkim. Ona nie podzielała jednak jego uczuć i bez pardonu rozstawiała go po kątach. Zamieszkali razem w dużej woliery w ogrodzie. Jerka była dwa razy mniejsza niż Cholerek, a umiała sprowadzić go do pozycji poddanego. Nigdy pierwszy nie podchodził do misek. Pozwalał sobie na to dopiero, gdy jej wysokość nasyciła głód. Kiedy wymościł sobie w sianie przytulne gniazdko, przychodziła pani i wyfukiwała go na zewnątrz. Zajmowała apartament, a on musiał trudzić się od nowa. Nie narzekał. Kochał i cierpiał, bo Jerka nie chciała zgodzić się na ślub. Na nic się zdały zaloty i tańce — tym bardziej śmieszne, że w wykonaniu prawdziwej beczki z kolcami. Twardo mówiła „nie”. On czekał. Po dwóch latach dostali nowy, duży dom ze sklejki. Wymościłam go sianem i wstawiłam do woliery. Jerka od razu wyniosła się ze starej klitki i wprowadziła do nowej willi. Cholerek podążył za nią. Nie była zachwycona, ale dom był naprawdę duży, więc nie oponowała. Jeszcze tego samego wieczoru usłyszałam

Żula, Zazula, Zulejka cieszy się znakomitym zdrowiem mimo sędziwego wieku.

głośne przytupywanie. Urządzili wesele. Jerka po prostu czekała na nowy dom. To był warunek zamążpójścia. Bardzo się ucieszyłam. Moja radość jednak nie trwała długo, bo po miesiącu Jerka nagle umarła. Miała ponad osiem lat. Cholerek został sam i po stracie swojej ukochanej zrobił się jeszcze gorszy, ale i tak go lubię.

Teraz kolej na kocie serca.

Najstarsze, bo dwudziestoletnie, bije w piersiach Żuli.

Żula, Zulejka, Zulcia to szarobura pręguska znaleziona przed laty w Popówku koło Komorowa.

Mama uprawiała tam działkę pracowniczą. Latem spędzała na niej każdą wolną chwilę. Była ogrodnikiem nie tylko z wykształcenia, ale i z zamiłowania. Jej niewielki ogródek przypominał wycinek raj. Jakoś jesienią 1996 roku opowiadała mi, że na działkę przychodzi uroczą koteczka, łasi się, wchodzi na kolana, wyraźnie szuka przyjaznej duszy. Pomyślałam, że pewnie ktoś ją wyrzucił, bo nie przestawała z gromadą działkowych półdzikich kotów. Decyzja była natychmiastowa. Jedziemy po kotkę. Zabrałam transporter i pokażną porcję wędliny „na wabia”. Nie było daleko, dojechałyśmy na miejsce w pół godziny. Teren działek był bardzo duży. Zaczęłyśmy obchód wszystkich alejek, wymachując szynką i „kiciając”. Już po chwili maszerował za nami oddział kotów, ale nie było wśród nich naszej buraski. W pewnej chwili mama zobaczyła ją. Nęcąc szynką, zbliżyłam się do kotki, ale gdy chciałam wziąć ją na ręce, ugryzła mnie i uciekła. Okazało się, że to nie ona.

Zaczął zapadać zmierzch. Postanowiłyśmy zakończyć poszukiwania. Wróciłyśmy na działkę, aby zamknąć altankę i zabrać transporter. Już zamykałyśmy furtkę, gdy jak spod ziemi

wyrosta nieśmiała, pręgowana buraska. Zielone oczy miały w sobie nadzieję. Nie rozczarowały się. Żula, Zazula, Zulejka żyje do dziś i cieszy się znakomitym zdrowiem mimo sędziwego wieku. Kiedy ją znalazłyśmy, już była wiekowa. Dziś może mieć dwadzieścia albo i więcej lat. Jest największym pieszczochem ze wszystkich moich kotów i ma najdelikatniejszą „jedwabną” sierść. Kiedy siadam (nawet na sedesie) natychmiast mam na kolanach Żulę. Żula choć bez wątpienia jest kotem, nie lubi kotów. Za psami też nie przepada, a jej miłością są ludzie. Amoze Żula jest człowiekiem, tyle że w kociej skórze?

Maciej, Maciuś, Maniuni Nowowiejski, bo znaleziony w Nowej Wsi na Mazurach. ЛЛ ••
İM • - i\Л ■ • М •• v

■> Maciej, Maciuś, Maniuni Nowowiejski
Lubi SWOJe drugie imię MaΠO- — „Manoleto, co podoba się kobietom”.
304 lo — „Manoleto co podoba się kobietom”. Wielki czarny kot, moja największa kocia miłość, jest królem kotów. Nie wiem, dlaczego tak jest. Manolo jest wielki nie tylko ciałem, to kot z wielkim duchem. Tak rozmownego kota nie miałam do tej pory, a najbardziej łapie za serce, gdy mówi do mnie „maama”. Jego serce na pewno bije dla mnie. Maciuś jak kocha, to z pełnym oddaniem. Nie lubi psów i często daje temu wyraz, policzkując Ciapka. Ciapek już się przyzwyczał, że obrywa za to, że jest psem.

Maciuś ma w sobie coś magicznego. Nie ukrywam, że jest moim ukochanym kotem. Tajemniczym kocim mędrce. Często zamiera w bezruchu, patrzy gdzieś poza świat widzialny i jestem przekonana, że myśli o tym, o czym nawet filozofom się nie śniło. Jest czarny jak węgiel. Ma tylko kilka białych włosków na piersi. Lubi podzielić się swoimi przemyśleniami. Gdy przechodzę obok zadumanego kota, ten zaczepia mnie łapą i zagaduje „mama?”. Potem po francusku „mła”. Muszę usiąść, wziąć na kolana dziesięć kilo kota i głaszcząc po brzuchu, słuchać długiego filozoficznego wywodu.

Maniuni jest bardzo odważny, choć jego sprawność fizyczna pozostawia wiele do życzenia, i to wcale nie z powodu otyłości. Kiedyś był naprawdę gruby, ale odkąd mieszka na wsi i więcej się rusza, schudł. I w tym właśnie cały kłopot. Jest bardzo dużym długonogim kotem, a między łapami zwisa mu prawie do ziemi fałd skóry — dawny zbiornik sadła. Kiedy Maciuś nabiera prędkości, ów skórny worek dynda na boki, utrudniając mu utrzymanie równowagi. Wygląda to dość komicznie, tym bardziej że Maciuś nie rezygnuje z galopowania po ogrodzie i zamiata brzuchem jak zagłodzony wojownik sumo. Manoleto kocha mnie bezgranicznie.

I Nigdy, ale to nigdy nie pozwoliłby sobie na to, aby mnie drapnąć Z. lub zahaczyć zębem. Bardzo nie lubi obcinania pazurów. Kiedy to щ robię, wydiera się w niebogłosy. Nie krzyczy wtedy „mama” czy „mła”, ale wyraźne i zdziwione „mnie?”

Mundeczek to „dresiarz” w kociej skórze. Znaleziony jako za- 305 pyziały piwniczny kociak, wyrósł na urwisa i chuligana. Nie jest pieszczochem. Kocha tylko psa Drapka. Obaj mają czarno-białe łaty i może to jest powód ich wzajemnej sympatii. Mundeczek chodzi „do wsi”, aby bić się z innymi kotami. Jak nie znajdzie okazji do bójki, wraca do domu nabuzowany i szuka, komu by przyrznać. Najczęściej obrywa Unek albo Rudy.

Unkas, czyli Unek, jest kotem abisyńskim. Sześć lat temu dostałam go w prezencie od zaprzyjaźnionych hodowców kotów. Unek szybko stał

Się kotem mojej mamy. Byli Unek — kot mojej mamy.

306 Po śmierci mamy jej ulubieniec przeżył dramat.

nierozłączni, a Unek zalewał mamę czułościami. Po śmierci mamy jej ulubieniec przeżył dramat. Przez trzy miesiące nie dawał się nikomu dotknąć. Płakał pod drzwiami jej pokoju, a gdy go wpuszczalam i nie znajdował tam swojej pani, uciekał na kilka godzin. I tak codziennie. Serce mi łkało, gdy widziałam jego rozpacz, ale nic nie mogłam zrobić. Pewnego dnia wchodzę do sypialni, a na moim łóżku leży Unek i prosi „przytul mnie”. Podeszłam, a on rzucił mi się w ramiona. Mruczał, wciskał swój śliczny łebek w moją szyję, pocierał

pyszczkiem. Dostał napadu czułości, jakby chciał nadrobić trzy miesiące żałoby. Dziś Unek jest w doskonałej kondycji fizycznej i psychicznej, ale o mamie nie zapomniał. Co pewien czas sprawdza, czy nie ma jej w pokoju.

Rudy najpierw nazywał się Rudzik, ale kiedy dorósł, brzmiało to jakoś niepoważnie. W 2003 roku zostałam zaproszona do Białowieży na uroczystość zwaną „Zubrowisko”. Wieczorem wszyscy goście spotkali się przy ognisku. Było głośno i hucznie, ale mimo

/

Rudy —jest wychowankiem

Drapka, W którego sierści do dziś

szukfl matczynej sutki-

to do moich uszu dolatywało miauczenie. Towarzystwo mówiło mi, że to pewnie w mojej głowie coś miauczy po piwie, bo nikt poza mną miauczenia nie słyszał. Kiedy ognisko zaczęło dogasać i orkiestra skończyła grać, z kartonu po soku pomarańczowym wyszedł pomarańczowy kociak. Był tak mały i chudy, że bez problemu mieścił się w mojej garści. Dziś Rudy waży siedem kilo i olśniewa urodą. Jest wychowankiem psa Drapka, w którego sierści do dziś szuka matczynej sutki. Drapek znosi to z godnością, choć jego oczy mówią: „Idioto, ja naprawdę nigdzie nie mam mleczarni, za uchem też”.

W marcu 2006 roku, wracając do domu, mało nie przejechałam kociaka biegnącego po szosie. Zatrzymałam się, a brudnobiałe zaropiałe biedactwo samo wpadło mi w ręce.

Koteczka była tak

Białeczka jest damą.

brzydka, że inne niż Białaczka imię zupełnie do niej nie pasowało. Bardzo szybko jednak wypiękniała. Jej futerko stało się śnieżnobiałe, więc dziś nazywa się Białeczka. A odkąd nie tylko wspaniała aktorka, ale i bojowniczką o prawa zwierząt Krysia Sienkiewicz nazwałają kotem pałacowym, Białeczka jest damą.

Bietka została znaleziona w Puszczy Mariańskiej. Wygląda jak kot birmański, tyle że nie ma białych skarpetek. Za to wielkie niebieskie oczy, umaszczenie kota syjamskiego zwane colorpoint i puszyste futerko. Myślę, że pan Balzak przyznałby, że to prawdziwa kuzynka Bietka.

Jesienią 2007 roku do mojego domu przybyła jeszcze jedna kotka — Ufo. Tak nazwał ją Maciej Malicki, kiedy mieszkała u niego. Ze względu na chorobę i śmierć żony Krystyny Maciej musiał przekazać mi część swoich zwierząt. I tak mam przeuroczą malutką kotkę prosto z kosmosu i kundelka Kajtka. Ufo jest czarna i drobna jak czteromiesięczne kocię. Charakter ma bardziej psi niż koci i jest mocno związana z Kajtkiem vel Kajmanem.

Kiedy Kajtek przybył do mojego domu, wyglądał jak słabo wypieczona kajzerka na czterech zapalkach. Chyba łatwiej było go przeskoczyć niż obejść. Z góry sadła wystawała zgrabna główka o niezwykle wyrazistych oczach. Nawet nie podejrzewałam, że w tej małej główce drzemie napoleońska inteligencja. Kajtuś schudł, nabrał muskulatury i stał się królem podwórka. Mimo mikrych rozmiarów to właśnie on jest przywódcą psiej sfory. Kiedy wyszczerza zęby na Ciapka, wygląda zupełnie jak kajman (kajmany też nie są duże).

Ciapek ma sześć lat, waży 80 kilo, a jego wielkie serce przepęlnia miłość do rodziny. Jest mieszkańcem „produkcji” mojego

Czikita i Kajtek (w głębi) mimo mikrych rozmiarów jest przywódcą psiej sfory.

Ciapek —jego wielkie serce przepęlnia miłość do rodziny.

ojca. W efekcie skrzyżowania owczarka kaukaskiego, bernardyna i owczarka podhalańskiego mamy Ciapośława — owczarka izerskiego. Izerski dlatego, że ojciec mieszka w Górach Izerskich. Wielkie, ciężkie psisko wie, że nie wolno mu używać siły wobec reszty stada. W związku z tym jest ciągle na przegranej pozycji i byle jaki knypek może się nad nim pastwić.

Bardzo rzadko, ale czasem nie może tego znieść i wtedy rzuci w ką jakiegoś szczekacza, ale krzywdy nigdy nie robi. Drapek wygląda jak border collie na łapach jamnika. Znalazłam go pięć lat temu na śmietniku w Topolinie. Miał pięć tygodni, składał się z pcheł, kości i skóry. Bez wątplenia jest to bardzo silna psia osobowość, ale przez wszystkie cechy jego charakteru przebija miłość do kotów. Drapek, Drapcio, Drapostaw i Drapo jest w gruncie rzeczy przybranym synem Ciapka. Poza tym jest wyrodnym synem, ale o tym później. Na widok szczeniaka wielkości rękawiczki, rozmiar M, w rocznym Ciapku obudziły się ojcowskie uczucia. Kiedy postawiłam przerażone maleństwo na podłodze, Ciapostaw powiedział: „To mój szczeniak, ja będę się nim zajmował”. Jak powiedział, tak zrobił. Moje zadanie kończyło się na odpchleniu, zabiegach profilaktycznych i karmieniu. Resztą zajmował się Ciapek. Wychowywał Drapka jak najczulsza mama. Pozwalał mu na wszystko. Wolno mu było szarpać przybranego rodzica za fafle,

W ogrodzie z Bolkiem, Ciapkciem i Drapkciem.

Czikita — śliczna, wesoła i uparła.

wisieć mu na ogonie. Wolno było w szalonym pędzie zeskakiwać z tarasu wprost na głowę Ciapka. Za dużo mu było wolno, bo dziś to Drapek rządzi Ciapkciem, choć jest od niego kilkakrotnie mniejszy. Ciągłe dogaduje przybranemu ojcu. Nie pozwala mu zbliżyć się do stołu i do gości. Dokucza mu, gdy ten przytula się do mnie. Nie jest dobrym synem, a Ciapek to wszystko znosi, tylko czasami nerwy mu puszcza. Łapie wtedy Drapka za kark i rzuca nim w najdalszy kąt ogrodu. Nigdy nie zostawił na synku nawet draśnięcia, ale Drapek wydziera się wtedy jak zarzynane prosię. Potem przez kilka godzin jest przykładnym synem, ale tylko kilka godzin. Czikita to suczka rasy beagle. Cztery lata temu moja córka przebywała w Holandii. Zadzwoiła do mnie z pytaniem, czy kupno psa tej rasy to dobry pomysł. „To bardzo zły pomysł” — odpowiedziałam, nie dlatego, że mam coś przeciw beaglom, ale wiedziałam, że prędzej czy później pies trafi do mnie. I raczej prędzej niż później trafił.

Czikita jest typowym przedstawicielem

Bolek —

to przede wszystkim jamnik, a dopiero potem pies.

swojej rasy. Śliczna, wesoła, uparta — histeryczka i złodziejka. Jej serce owładnięte jest chęcią jedzenia. Dla jedzenia robi wszystko.

Bolek, Boluś to przede wszystkim jamnik, a dopiero potem pies. Po jedenastu latach znudził się swojej pani i na moje szczęście trafił do mnie. Kiedy przyjechał, jego jamnicza dusza i serce były popękane na sto kawałków. Dziś sypia na mojej poduszce i co rano, gdy otworzę oko, Bolek robi pokaz szczęścia. Wywraca się na plecy, wypina tłusty brzusek, wykonując przeciągania i wygibasy, a z jego niezbyt zachęcająco aromatycznej paszczy płynie pieśń psiej szczęśliwości.

Michalina. Dwa miesiące temu, w piątek wieczorem, zadzwonił telefon. Moja charakteryzatorka ze „Zwierzowca”, Ania, miała smutny głos: „Znalazłam psa, a jutro jadę do Białegostoku. Co mam zrobić?”. „Co to za pies?” — zapytałam. Odpowiedziała, że to tylko pół, a nawet ćwierć psa. Małutka, kiedyś czarna, dziś siwa suczka podobna do ratlerka.

„Przywieź do mnie” — powiedziałam.

Imię Michalina wzięło się od Misi — tak nazwała suczkę Ania. Michalina jest wiekowa, ma kilkanaście lat. Mimo to jest

Michalina — sypia na mojej poduszce, a raczej na mojej głowie...

w doskonałej kondycji. A tak w ogóle to Michalina składa się z dwóch części — mózgu i serca. Jest niewiarygodnie inteligentna i kocha mnie bezgranicznie. Sypia na mojej poduszce, a raczej na mojej głowie, resztę czasu spędzając na moich kolanach albo na czekaniu na mój powrót do domu. Moja poduszka stała się tak atrakcyjnym pościem, że dla mnie został tylko jasiek.

Michalina była kiedyś „psem na koty”. Kiedy zobaczyła jednego z moich ośmiu mruczków, ruszyła do boju. Kocina patrzyła jak na wariatkę, bo pies mniejszy od niej, a taki zajadły. Krzyknęłam „Nie!”, Michalina stanęła w pół skoku. Tylko raz powiedziałam jej, że koty są do kochania, i wystarczyło. Teraz bez obiekcji dzieli I z kotem moją poduszkę.

...resztę czasu

PrzypUSZCZam, Że Michalina spędzając na moich kolanach.

była pieskiem starszej pani, która zachorowała albo zmarła i piesek

313

Nasze życie Warte jest tyle, ile dostało uśmiechów, okrzyków szczęścia, zamerdań ogonem. został sam. Michalina na pewno przeżyła wielką tragedię. Kilka razy mówiłam o niej w radiu. Nie chciałam jej oddać, tylko zwrócić, gdyby ktoś jej szukał. Dobrze się stało, że nikt się nie zgłosił. Michalina jest u mnie szczęśliwa, a ja jestem szczęśliwa, że ją mam.

Tak wygląda dzisiaj moje stado.

Bywało nas więcej, ale czas nieubłaganie zabiera i ludzi, i zwierzęta. Kilka lat temu postanowiłam sobie, że będę brała do siebie przede wszystkim stare psy, których nikt nie chce. Może zdążę jeszcze je przekonać, że życie wśród ludzi nie musi być złe. Udało mi się to w przypadku Klaudysia, który przypominał owczarka niemieckiego na łapach basseta. Chyba był rok 1996. Wychodziłam na imieniny Eli Kulickiej. Zbiegając po schodach, zobaczyłam na półpiętrze psa. Leżał wtulony w kąt klatki schodowej. Przerażliwie brudny i smutny, popatrzył na mnie z nadzieją starymi oczyma. Byłam już spóźniona. Taksówka czekała. Powiedziałam: „Piesku, jeśli będziesz tu, gdy wrócę, zabieram cię do siebie”. Po jedenastej wieczorem cichutko wchodziłam po schodach, ale na półpiętrze nie było staruszka. Stał pod drzwiami mojego mieszkania, merdając ogonem. Nie wiem, skąd wiedział, że mieszkam pod numerem 40. Klaudyś przeżył u mnie końcówkę swojego życia i chyba dał się przekonać, że ludzie bywają w porządku.

Mam nadzieję, że Poldeczek też się o tym przekonał. Nie wiem, ile miał lat, ale wyglądał na sto. Zanim odszedł, spędził u mnie kilka miesięcy i nawet zaczął się bawić. Był średniej wielkości kundelkiem, którego ktoś wyrzucił w środku mroźnej zimy.

Nie ma już ze mną Bombika, zwanego Bombardierem. Ochrciła go tak moja mama, bo był niczym armata z bronią chemiczną, a raczej zapachową. Puszczął powalające słonia bąki. Był starym, kompletnie ślepym pekińczykiem, którego źli ludzie wyrzucili z jadącego samochodu. Przeżył u mnie kilka dobrych lat, a mimo to pozostał nieufny. Trudno się dziwić, po takich przejściach w duszy każdego z nas zostałaby blizna.

Pod kołami mojego samochodu zginęła szylkretowa koteczka Zosia.

W1998 roku jedna z moich pacjentek podarowała mi znalezione na śmietniku kociaka. Szylkretowa (trzykolorowy melanż) kotka miała dwa, może trzy miesiące. Nie pamiętam, z iloma kotami dzieliłam wtedy mieszkanie. Na pewno były już Ita, Żula i Maciuś. Poza tym psy — Picuś, Cypka i Kiwi. Koteczka dostała imię mojej mamy — Zofia.

Nie tylko dlatego, że bardzo lubię Zośki, ale trochę z przekory. Mama mimo całej swojej miłości do braci mniejszych zawsze załamywała ręce, gdy przynosiłam do domu nowego lokatora. Nie miało znaczenia, że było to moje mieszkanie, w którym mama bywała tylko od czasu do czasu. Za każdym razem mówiła płaczliwym głosem: „Jak ty sobie dasz radę?”. Kotka Zosia wyrosła i wypiękniała, ale swoimi ucieczkami z balkonu (mieszkałam wtedy na parterze) zmobilizowała mnie do

315

osiatkowania balkonu i wszystkich okien. Pod moim mieszkaniem w bloku znajdowała się niewielka pakamera z wybitym oknem. Roilo się tam od ciem i pajaków. Raj dla Zochy, a dla mnie utrapienie. Nie zliczę już, ile wieczorów przesiedziałam w kucki pod piwnicznym okienkiem, błagając kotkę: „Wróc do domu”. Aby ją zwabić, spuszczałam na lince torbę z plastrem szynki w środku, ale ten manewr sprawdził się tylko za pierwszym razem. Zocha

wlaza do torby i podczas gdy konsumowała szynkę, ja wyciągałam ją z czeluści pakamery. Potem ja i torba wisiałyśmy w okienku, a Zosia łapała ćmy i zerkając w moją stronę, mówiła: „Poczekaj jeszcze trochę”. Czekałam. Czasem do północy.

Po przeprowadzce na wieś Zosia odzyskała wolność. To ona najbardziej ze wszystkich kotów cieszyła się swobodą. Gdy Zocha nie wracała na noc, ja umierałam ze strachu, czasem nie było jej kilka dni. Potem najadała się do rozpuku i spała na mojej poduszce dwie doby, aby znów wybrać się na dłuższą eskapadę. Nacieszyła się wolnością tylko rok. Trudno mi o tym pisać. To ja zabiłam Zosię.

Zawsze, zanim wsiądę do samochodu, zaglądam, czy nikt pod spodem nie siedzi. Tak było i tamtym razem, ale musiałam trochę zamarudzić, zanim ruszyłam, i kotka zdążyła ukryć się tuż za kołem. Zginęła na miejscu. To jedyne pocieszenie. Nie muszę chyba pisać, co czułam, gdy niosłam wiotkie ciało, które jeszcze przed chwilą cieszyło się pełnią życia. To straszne być sprawcą śmierci kogoś takiego i jeszcze straszniejsze, gdy się go kocha. Od tamtej pory dziesięć razy zaglądam pod samochód, zanim odważę się ruszyć. Wybacz mi, Zosiu.

Kotka Mruczka wyszła z domu i nie wróciła. W moim ogrodzie jest cmentarzyk. Leży tam Kiwi i jej córka Liki — Likaonek. Nad nimi rosną brzozy, które sama sadziłam. Obok kotka Zosia i Ita. Piękny kot — maine coon o imieniu Dino, odszedł zupełnie niespodziewanie i towarzyszy obu kotkom. Obok jeżyca Jerka i wiewiórka, którą zabił samochód. Cypka leży pod krzakiem róży obok

tarasu. Zawsze była z niej „panna niedotykańska”. Jeszcze Picuś, Bombik i Poldek, a nad nimi brzozy i osiki. Żałuję, że ja nie będę mogła zostać tam z nimi na zawsze, pod brzozami, które sama sadziłam.

Zrobiło się trochę smutno, a nie powinno, bo tak już jest, że każdy, kto się urodził, musi umrzeć. Ważne tylko, jakie było jego życie.

Każdy, kto poznaje mój dom i jego mieszkańców, pyta: „Jak ty sobie dajesz radę?”.

Zawsze jakoś sobie radziłam, ale dziś jest mi znacznie łatwiej, bo do mojej rodziny należy jeszcze ktoś, bez kogo rzeczywiście nie dałabym rady — Bogusia. Bogusia jest osobą, na której zawsze mogę polegać i do której mam absolutne zaufanie. Jesteśmy w tym samym wieku. Mieszkamy w tej samej wsi, a spotkałyśmy się kilka lat temu, gdy nawał pracy nie pozwalał mi dostatecznie zająć się mamą, zwierzętami i domem. Mało jest dziś ludzi, którzy najzwyczajniej w świecie są dobrzy. Nie „dobrzy” w biznesie, nauce, tenisie czy rozwiązywaniu krzyżówek, ale dobrzy sercem i czynem. Bogusia jest właśnie takim człowiekiem. Dziękuję ci, Bogusiu, za to, że jesteś. Bez ciebie nie dałabym rady.

Dusza

Przez wiele lat słowo dusza znaczyło dla mnie tyle co moje imię — Dorota. Tak kiedyś nazwał mnie Krzysiek: Duśka, Du-sia, Duszka i Dusza. Nawet mama z czasem zamieniła Dudka na Duszkę. Potem znowu stałam się Dorotą, a ludzie zaczęli mnie pytać, czy zwierzęta mają duszę. Co do tego, że tak jest, mnie nikt nie musiałby przekonywać, ale tu chodziło o ten ulotny pierwiastek świętości dany nam od Pana Boga. Mimo to, iż jestem osobą wierzącą, nie umiem odpowiedzieć zgodnie z Pismem Świętym. Wiem natomiast, że jeśli dusza jest siedliskiem uczuć — miłości, wierności, strachu i nadziei, to zwierzęta mają duszę. Jeśli duszą jest wrażliwość, współczucie i wola, to zwierzęta mają duszę. W książce Dusza zwierząt Jean Prieur pisze: „zwierzę jest duszą: animal est anima”. Zgadza się z nim w stu procentach, choć myślę, że nasze ludzkie dusze i dusze zwierząt trochę się różnią. W porównaniu z naszą duszą zwierząt jest niewinna i czysta. Nie miały okazji zjeść jabłka z zakazanego drzewa i nigdy się nie dowiedziały, co jest dobre, a co złe. Nie dzielą świata zgodnie z moralnymi normami. Mają swoje prawa naturalne, którym są wierne. Inaczej niż

my — normom i przykazaniom. Jestem przekonana, że każda żywa istota ma coś na kształt duszy

— tej niewidzialnej tajemnicy życia. Przeraża mnie ludzka pogarda dla życia innych istot. Przeraża mnie ludzka obojętność w stosunku do milionów zwierząt dręczonych w imię naszego apetytu, złe pojętej elegancji i chorych ambicji. Moim zdaniem, Bóg dał nam zwierzęta jako sprawdzian człowieczeństwa. Skoro dane nam było dowiedzieć się, co jest dobre, a co złe, możemy wybierać. Za krzywdzenie zwierzęcia nikt nie utnie nam głowy, i to jest prawdziwy egzamin z miłosierdzia, o którym tyle się mówi. Kiepsko wypadamy w konfrontacji z własnym sumieniem. A może wcale go nie mamy? To w takim razie gdzie jest nasza dusza?

Przykro mi to pisać, ale czasem wydaje mi się, że o brak duszy powinniśmy podejrzewać gatunek homo sapiens. Tym, którzy kierują się wyłącznie „szkiełkiem i okiem”, powiem, że jest jeszcze inna strona medalu — genetyka. Richard Dawkins w książce Samolubny gen pisze, że stworzyły nas geny, dla których jesteśmy tylko nośnikami. Dla tych, którzy nie wierzą w Wyższą Siłę Sprawczą, dokonam małego równania: geny = dusza. Wszak ciało doczesne też jest tylko nośnikiem duszy. Przynajmniej ja tak myślę. Co by się stało, gdybyśmy wszystkie geny należące do żywych istot 320 pomieszali i rozrzucili? To może zaskakiwać, ale trudno byłoby odgadnąć, który czyj. Kody genetyczne różnych gatunków różnią się tylko w niewielkim stopniu i na upartego człowiek znajdzie coś wspólnego nawet z konikiem polnym. Jesteśmy jedną wielką rodziną o bratnich duszach i genach. Dowodem na to jest rozwój filogenetyczny człowieka.

W rozwoju zarodkowym każdy z nas przechodzi etap ryby, żaby, jaszczurki i chomika. W początkowym stadium embrion ludzki niczym nie różni się od embrionów innych zwierząt. Dopiero pod koniec rozwoju zarodka zaczynamy różnić się od słonia i psa. Dlatego bez większego naciągania wolno mi powiedzieć, że kiedyś byłam delfinem, słoniem, psem. Na szczęście mam wokoło siebie ludzi, którzy nie tylko dużo wiedzą o duszy zwierząt, ale chcą się tą wiedzą dzielić.

Kilka lat temu dostałam przesyłkę, tomik wierszy Me chodzi o to, by człowiek miał kota i miły list od autora. Przeczytałam może dwa wiersze i już wiedziałam, że ich autor, Franciszek Klimek, jest „moim bratem”. Każdego, kto powątpiewa w zwierzęcą duszę, odsyłam do poezji Klimka. Zarówno on, jak i jego żona Bogusia to ludzie o niezwykłych sercach i duszach. Mieszkają daleko i często za nimi tęsknię. Marzy mi się taki świat, w którym każdy człowiek razem z niemowlęcią wyprawką dostawałby blokadę na egoizm i okrucieństwo. Dobrze by było w takim świecie żyć.

Mój dzień

Jest sobota godzina 7.30. Wstałam godzinę temu, bo Ciapek zaczął walić ogonem w ścianę, a jego ogon to gruby pejcz. Natensyg-322 nał Kajto rozpoczął poranny apel zwierząt sygnałem do złudzenia przypominającym trąbkę. W takiej sytuacji wszystkie psy stanęły do apelu i nawet Bolek wystawił głowę spod kołdry i zaszczekał: „Wstawać!!!”.

Podniosłam się z łóżka przy wtórze psich okrzyków: „Otwieraj drzwi!!! Musimy na dwór!!!”. Wybiegły, a za nimi koty. Teraz szybko do lodówki, trzeba wyjąć przygotowane wczoraj psie miski. Za kilka minut psie śniadanie. Tymczasem nastawiam wodę na kawę i napełniam kocie miski. Pierwszy wraca Ciapek i wali łapą w drzwi tarasu. Za nim reszta, wtórując: „Jesteśmy głodni!!! Szybko dawaj jeść”. Rozdzielałam pełne michy. Pierwszy dostaje Ciapek na tarasie, potem Czikota w pokoju za zamkniętymi drzwiami — inaczej objadłaby wszystkich. Drapcio, Kajtek i Bolek w kuchni pałaszują „boczek w boczek”. Skończyły. Następuje mycie misek i przygotowanie następnej porcji „na obiad”.

Wiem, wiem, psy mogą jeść raz dziennie, ale tak wielkie jak Ciapek powinny jadać mniejsze porcje dwukrotnie, ze względu na

K

Poza córką i ojcem moja rodzina to stado psów, kotów, ludzkich i zwierzęcych przyjaciół. zagrożenie skretem żołądka. A jak Ciapek to i inne. Po napełnieniu misek i schowaniu ich do psiej lodówki czas na sprawdzenie, co też noc przyniosła nowego. Jeśli kot Maciuś miał żołądkowe kłopoty, to na pewno zrobił kupę pod telewizorem. Dziś nie zrobił. Znaczy, że jest zdrowy. Niedawno Czikita zrobiła dziurę w płocie i chodziła okradać z wiktuałów sąsiadkę. Potem w nocy nie mogła wytrzymać i robiła to samo co Maciuś, tyle że w kąciaku na róg dywanu. Dziś nic nie ma, znaczy u sąsiadki bida. Teraz trzeba wziąć wiaderko zjadłem dla tak zwanych bezdomniaków. Rudy i Biało — dwa psy z sąsiedztwa, już czekają pod bramą. Rozdzielam porcje i czekam, aż zjedzą. Inaczej by się pogryzły. Potem biorę „gówniane” wiaderko i łopatkę i zbieram psie kupy. Wyrzucam na kompost.

Wypijam kawę, połykam jakiś kawałek chleba i szykuję się do wyjścia. W każdą sobotę o dziesiątej mam audycję w Programie Pierwszym Polskiego Radia. O dziesiątej przychodzi Bogusia, a ja wsiamam do samochodu i jadę do Warszawy. Wracam po jedenastej. Zazwyczaj sobotę poświęcam domowym zajęciom, przyjaciołom i pisaniu. W tygodniu każdy rano wygląda tak jak sobotni. Potem albo pisanie lub czytanie, albo jazda do gabinetu, albo nagrania do programu „Zwierzowiec”, albo wyjazd na spotkanie z czytelnikami — dziećmi w szkole czy wielbicielemi zwierząt. A wieczorem dom. Mój kochany dom i cudowne poczucie bezpieczeństwa wśród kocio-psiej rodziny. Jeszcze trzeba nakarmić Cholerka i siadam na kanapie. Obok Kajto i Bolek. Przy nogach Ciapoślaw i Drapcio. Czikita na fotelu. Koty porozrzucane po półkach i poduszkach. Czekamy, aż Mundek i Bietka wrócą z ogrodu i można będzie iść spać. Zaraz po dziesiątej Bolek zeskakuje z kanapy i prowadzi mnie na górę do sypialni. Staje przy łóżku i mówi: „Jestem senny!”. Posłusznie zdejmuję z łóżka kapę, a Bolo układa się pod kołdrą. Nigdy nie położy się na kapie.

Zapomniałam o bardzo ważnej części wieczoru — rozmowach z przyjaciółmi. Nie zasnę, jeśli nie pogadam z ojcem, Maciejem

Malickim czy panią Ewelina Szymańską. Poznałyśmy się przez telefon. Jest emerytowaną lekarką genetykiem i wielbicieleką całego świata żywego. O czym rozmawiamy? Z ojcem o zwierzętach. Z Maciejem o życiu, a z panią Ewelina o miłości i Bogu. Nawet jeśli dom jest pełen ludzi, muszę znaleźć choć małą chwilkę, aby wieczorem zadzwonić do ojca, Macieja albo pani Eweliny. Nie jestem „sową” i chodzę spać dość wcześnie. Pewnie dlatego, że chcę czy nie, muszę wcześniej wstawać. Moje psy są „skowronkami”.

Do czego służy ogród?

Ogród służy do „napawania się”. Od wiosny do jesieni napawam się moim ogrodem. Nie dlatego, że przypomina wersalskie ogro-326 dy. Daleko mu nawet do gazonu, z którego wyskubywała kwiatki krowa mojej prababki. Wszystkie drzewa sadziłam albo ja, albo moja mama. Kwitną azalie, rododendrony, róże, pigwa i pigwo-wiec. Kilka krzaczków bzu, jeżyny i borówki amerykańskie. Kępy kwiatów, których nazw nie znam. Poza tym stokrotki, fiołki, konwalie, krokusy, irysy, tulipany, hiacynty, żonkile, maki i mój ulubiony barwinek.

Wszystko porozrzucane między świerkami, sosnami i modrzewiami. Brzozy, lipki, osiki, wierzby i klony. Mam też czeremchę o pysznych, lekko cierpkich owocach i jarzębinę obok leszczyny. Odkąd Ciapek przestał być wielbicielem kwiatów, w ogrodzie jest dużo ładniej. Kiedyś jak tylko jakiś kwiat zakwitł, Ciapuś od razu go obgryzał. Zamiast normalnej trawy mam koniczynę i perz, które koszę w pocie czoła. Kosiarka jest bardzo ciężka, ale lubię efekt końcowy. Mam również niewielki warzywnik, ale to już królestwo Bogusi.

Najważniejsze miejsca w ogrodzie to te, gdzie mieszkają pierwsi właściciele tego terenu: kilka ropuch szarych. Z jedną, ropuchą szarą, z bielmem na oku, jesteśmy w szczególnej zażyłości. Co

rok wiosną czekam na moją jednooką koleżankę. Od zeszłego lata przychodzi zaskronica, też z bielmem na oku. Jaszczurka żywo-ródką mieszka pod tarasem, a ja drzę ojej bezpieczeństwo, bo koty tylko czyhają na jej długi ogonek. Przy kompoście mieszkają

mieniające się zielenią jaszczurki zwinki. Traszki kryją się pod kamieniami przy fundamentach. Największą moją dumą są huczki (grzebiuszki) ziemne. Te maleńkie, podobne do brązowej ropuszki płazy prowadzą nocny tryb życia. Na dzień zagrzebują się w ziemnej norce. Nie to jednak jest w nich niezwykle. Tak jak żaby i ropuchy % grzebiuszki też przechodzą etap kijanki. Ale jakiej kijanki! Sama !f grzebiuszka jest malutka, a jako kijanka ledwo mieści się w dłoni. To prawdziwy gigant. Niestety, grzebiuszek jest coraz mniej. Mam •§ jeszcze zielone klejnociki — rzekotki. Mieszkają w osikowym gai- e ku na samym końcu ogrodu. Są też u mnie śliczne malutkie ryjówki, krety, myszy polne i po- 327 lniki. Koty czasem je łapia, a ja staram się ratować każde życie.

Kocham swój ogród. Najbardziej „napawam” się nim, kiedy widzę, ile ogród znaczy dla moich psów i kotów. Mają swój obszar wolności. Psy ganiają wzdłuż płotu albo bawią się, wyrywając sobie patyk. Biję z nich radość życia. Są prawdziwymi gospodarzami tego terenu. Koty buszują w gałęziach brzoźki rosnącej przy domu i w trawie. Na szczęście ich polowania rzadko uwieńczone są sukcesem.

Przy osikowym gajku jest poletko nigdy nie koszonych zarośli. Zostawiam to miejsce dla rzeszy braci najmniejszych — owadów i pajaków. Pająki — tygryski paskowane i krzyżaki łąkowe — rozpinają tam sieci tygrysie w kolorach. Na ziemi polują skakuny—jedne z niewielu pajaków o sokolim wzroku. Na kwiatkach czyhają na owady kolorowe kwietniki. Tak samo jak skakuny, kwietniki nie przędą sieci, ale chwytają ofiarę z zaskoczenia.

Można tam spotkać także mojego ulubieńca — żuka grabarza. Jest duży, ma poprzeczne czarno-pomarańczowe paski i czułki

przypominające pasiaste szczotki. Uroda jednak to nie wszystko. Kiedy grabarz się zakocha, to na całe życie. Razem z panią graba-rzową znajdują sobie jakąś „apetyczną padlinkę” i zakopują w ziemi. To ich dom. Tam ona składa jajeczka, o które dbają oboje. Z jajek wykluwają się larwy. Rodzice karmią je wspólnie zgromadzoną wcześniej wałówką. Para grabarzy łączy się w związek na całe życie i są sobie wierni.

Ludzie nie doceniają owadów, a przecież wiele owadzich zachowań jest godnych naśladowania.

W moim ogrodzie mieszkają kózki — duże, rzadko spotykane żuki z bardzo długimi czótkami, wyglądającymi jak sumiaste wąsy. Raz udało mi się spotkać strzela łoskotnika. Ten artylerzysta ma w odwłoku „armatę” z bronią chemiczną. Zaniepokojony, strzela w przeciwnika i gołym okiem można zobaczyć minichmurkę przy jego odwłoku. Uwielbiam obserwować ten mój mikrokosmos.

Wiosną krzątają się po moim koniczynowym trawniku brygady szpaków, a ja zamiast pisać, pilnuję, aby koty nie upolowały któregoś z nich. Szpaki tak się przyzwyczyły do mojego stróżowania, że są coraz bardziej nieostrożne. Kiedy widzę, że któryś z kotów czai się w krzakach, podnoszę raban i szpaki zrywają się do lotu.

Zawsze o tej samej porze dnia, gdy nadchodzi magiczna godzina wieczoru —jeszcze jest jasno, ale to już nie dzień — przylatuje zmrocznik gładyszek, motyl zawisak. Stołuje się na klombie przy tarasie. Zawisaki mają bardzo długie ssawki do pobierania nektaru i jak kolibry zawisają w powietrzu nad kwiatem. Wszystkie zawisaki są dość duże i niezwykle piękne. Gładyszek jest różowo-żółty i wygląda jak rajski ptak w miniaturze. Czasem towarzyszy mu zmrocznik wędrowiec — trochę większy od gładyszka, ale mniej kolorowy.

Moim ulubieńcem jest fruczak gołąbek. Ma na odwłoku coś w rodzaju czarno-białej spódniczki, co razem z pomarańczowymi skrzydłami przypomina wygląd baletnicy, i tak jak baletnica poru-

sza się wśród kwiatów. Zawsze, jeśli jest ładna pogoda, a ja jestem już w domu, czekam przy klombie, a one zjawiają się jak duchy. Kręcą się chwilę i po kilku minutach odlatują, aby wrócić jutro o tej samej porze.

Pewnie każdy, kto ma ogród, uważa, że jego ogród jest najpiękniejszy. Ja też tak uważam, a na dodatek mój ogród ma w sobie coś magicznego. Może dlatego, że go kocham, a może dlatego, że nie używam ani grama chemii. A może dlatego, że przechadza się tam duch mojej mamy. Nikt tak jak ona nie kochał każdej ogrodowej roślinki i nie wiedział o niej wszystkiego. Na dowód tego przytoczę wierszyk, który dawno temu napisała dla babci Marta. Wierszyk opowiada o stosunku babci Zosi do jej działki — tej samej, na której znalazłyśmy kotkę Zulę.

Nasza mała Babcia

Podobna do kaptusia (z tym bym się nie zgodziła)

Myśli już od rana:

Działko ukochana!

Kiedy cię zobaczę,

To do góry skaczę.

No i od tej pory

Tylko pomidory.

Nie pogadasz z babcią na żadne tematy

Oprócz pomidorów, a czasem sałaty.

Kiedy słońko wstaje

Pulchne jak poducha,

Śmieje się do babci groszek i pietrucha,

Wyciąga rączkę selerek niebożę

I nawet kapusta powiedzieć coś może.

Dzięki temu wszyscy mieszkańcy mojego ogrodu mają się dobrze. Mszyce też. A ja mogę patrzeć i się napawać.

I

Sposób na życie

Kiedyś czytałam książkę biograficzną jednej z siostr Kossaków-wien. Opisywała nalot w czasie okupacji. Zamieszanie. Wszyscy 332 uciekają do piwnicy, a jej malutka pięcioletnia kuzynka mówi, że nie zejdzie bez kotka. Kociaczek gdzieś się zawieruszył. Wszyscy go szukają, a bomby lecą. Tu autorka pisze: „W tym momencie pięć lat życia małej dziewczynki i wszystkie moje lata warte były tyle samo, co siedem tygodni życia kociaka”. Byłam wtedy bardzo młoda, minęło wiele lat, a ja ciągle pamiętam te słowa.

Sposobem na życie jest miłość. Kiedy kochamy, nie wchodzimy w rachubę względy zdroworozsądkowe. Aby nie zawieść oczekiwań osoby kochanej, możemy narażać życie dla pozorów niewartej tego sprawy. Czy w ogóle istnieje większa wartość niż życie? Tak, to miłość, honor i idea „warta życia”.

Miłości nie uczą ani w szkołach, ani na studiach, a w domach rodzinnych coraz rzadziej. Miłości trzeba się nauczyć samemu i nigdy nie jest na to za późno. Trzeba tylko chcieć. Duża część ludzi kieruje się wygodnictwem, a nie uczuciami. Jeszcze gorzej, gdy kierują się tylko jednym uczuciem — miłością do samego siebie. Ciocia Basia Kosowska powiedziała mi kiedyś, że „miłość to najkosztowniejsze z uczuć”. To prawda i może nie każdego na nią stać. Nasze życie warte jest tyle, ile dobrego zrobiliśmy dla innych. Warte jest tyle, ile dostało uśmiechów, okrzyków szczęścia, za-merdań ogonem, wymruczanych piosenek i uratowanych nawet malutkich, tycich żyć. Tak uważam.

Sposób na życie to nie zawieść ufności tych, którzy od nas zależą. Jeśli doszłoby do sytuacji, w której nie byłoby ratunku dla moich zwierząt i miałoby je spotkać śmiertelne cierpienie, wolałabym wcześniej je uspić — poddać eutanazji. Tak bym zrobiła. W takich sytuacjach w przypadku zwierząt jest to najuczciwszy wybór.

Moim sposobem na smutek jest radość moich bliskich, bez względu na gatunek. Roześmiana psia gęba cieszy tak samo jak ludzka. Wypięty koci brzusek, nadstawiony do głaskania,

działa lepiej niż prozac. Kiedy Ciapek dziesiąty raz wnosi do domu kilo błota, można by się zezłościć, ale po co? Szkoda życia na złość. Ciapek wywróci się na plecy, zrobi „rybie oko” i filuternie wysunie swój ogromny różowy jęzor, jakby mówił „oj, znowu nabrudzi-łem”. A ja nigdy nie utyję, bo co chwilę coś zamiętam, wycieram i kilkadziesiąt razy dziennie otwieram drzwi, aby wpuścić lub wypuścić kogoś, kto wchodzi lub wychodzi. Nie wiem, czy wiecie, że kot i pies są zawsze po nieodpowiedniej stronie drzwi. Że też moje drzwi to wytrzymują! Moim sposobem na smutek jest miłość. Miłość ma wiele odcieni i każdy z nich jest najlepszym lekarstwem na każde zło.

Rodzina Doroty Sumińskiej

(osoby wymienione w książce)

ze sfony ojca

Adam Halkaledóehowshi

(ok.1870-1939)

Ewa Naumezub

(ok. 1880-1964)

Leon

Ledóenowski

(zm. 1939)

Irena

Ledóenowska

(ur. 1908)

piotr Sumiński

(1908-1987)

i° Artur Edward Leszczyc-Sumiński

(1869-1910)

nskPj

Sabina z Oczosalskich

(1881-1949)

2° Jasiński

Albert

Sumiński

(1906-1977)

Artur

Sumiński

(1908-1943)

Stanisław

jasiński

(ur. ok. 1915]

Edward SumifiSki (ur. 1933)

∴ 1 =

Zofia Γ€Γ\$(€Γ (193S-2006)

Maria (Mija) ZjflOniS (ur. 1935)

Stefan

Sumiński

(ur. 1943)

Irena (Inka) JaWOrSka (ur. 1946)

Aleksander (Alik)

Żylonis

(ur. 1964)

ze strony matki

Józef Sawichl
(zm. 1941/1944)

1

Helena Fordon
(zm. 1948)

i° Zuzanna (zm. ok. 1928)

Władysław PĘ8(Ę (zm. 1940)

2° Janina (Beba)

Sawicka

(1907-1993)

Józef

Sawicki

(ur. ok. 1905)

Stanisław ĘmĘM (ok. 1927-1993) J

Zofia FerSICr (1935-2006)

Edward \$IIIIII\$KI (ur. 1933)

i° Paweł Stachowiak

(ur. 1957)

2° Krzysztof WÓJCiCW

(ur. 1956)

Marta Stachowiak

(ur. 1980)

I

Mana

Sawicka

1 (ok. 1909 -ok. 1913)]

Spis fotografii

5. 6-7 Falemicze na Wołyniu — dwór w majątku hrabiego Adama Halki--Ledóchowskiego.

s. ii Adam Halka-Ledóchowski (pradziadek autorki), ok. 1900, jeszcze przed ślubem, s. 12-13 Koń arabski w majątku pradiadka.

s. 16 Ewa i Adam Halka-Ledóchowscy na ślubie córki, Ireny, 1932.

s. 17 Dzieci Ewy i Adama Halka-Ledóchowskich: Irena (babcia autorki) i jej brat Leon, Żytomierz 1915.

s. 18 Ślub Ireny Ledóchowskiej i Piotra Sumińskiego, dziadków autorki. Obok Piotra jego matka Sabina Sumińska, 20 Jasińska, z domu Oczosalska, 1932. — Prababcia Ewa Ledóchowska, ok. 1912.

s. 19 Prababcia Ewa Ledóchowska, 1963.

s. 21 Irena i Piotr Sumińscy (dziadkowie autorki), 1932.

s. 22 Hrabina Sabina Sumińska, z domu Oczosalska, herbu Paprzyca (prababka autorki), ok. 1900. — Hrabia Artur Edward Sumiński, herbu Leszczyc (pradziadek autorki), ok. 1900.

s. 23 Sabina Sumińska z synami: od lewej — Albert, Artur, Piotr (przyszły dziadek autorki), ok. 1911. — Zawiadomienie o śmierci pradiadka autorki, Artura Edwarda Sumińskiego, 1910.

s. 24 Sabina Sumińska, 2° Jasińska, z synami: najstarszym Albertem, bliźniakami Arturem i Piotrem Sumińskimi oraz najmłodszym (po lewej) Stasiem Jasińskim, Podkamień 1926.

5. 25 Irena i Piotr Sumińscy (dziadkowie autorki), w ogródku na Saskiej

Kępie, 1986. s. 27 Tumin — majątek ze starą, zabytkową leśnicówką, w której Józef

Ignacy Kraszewski pisał Starą baśń. s. 28 Często gość w Tuminie, przyjaciel Piotra,
Włodzimierz Puchalski, s. 29 Edward Hubert Stanisław Maria hrabia Sumiński (przyszły
ojciec
autorki) z siostrą Marią (Mija), Tumin 1936. s. 31 Irena Sumińska (babcia autorki) i Ewa
Halka-Ledóchowska (prababcia) z Edziem i Mija, 1937. s. 33 Edward Sumiński w wieku
dziesięciu lat, 1943. s. 34 Kilkunastoletni Edward Sumiński. s. 35 Edward Sumiński w
liceum (w ostatnim rzędzie, drugi od lewej),
1952. s. 37 Piotr Sumiński z synami — Edwardem i Stefanem, na polowaniu,
ok. 1953.
Grodno.
Józef Sawicki (pradziadek autorki), 1920.
Józef Sawicki (w środku) z kolegami.
Ukochany pies Józefa Sawickiego, Wamp.
Helena Sawicka, z domu Fordon (prababka autorki), ok. 1915.
— Pradziadkowie Józef i Helena Sawiccy, ok. 1913. — Zaproszenie na bal.
Helena Sawicka (po prawej) z córką Janiną (przyszła babka autorki, po lewej), ok. 1913.
Janina Sawicka jako dziecko, ok. 1912. — Janina Sawicka (z lewej) z rodzeństwem: Marysią i
Ziutkiem, ok. 1910/1911. Karolek, adorator Janiny Sawickiej. — Janina Sawicka, lata
trzydzieste.
Janina Sawicka, lata trzydzieste. — Latem w Grodnie: z tyłu od prawej: Helena i Józef
Sawiccy z młodzieżą, m.in. Janka (z prawej), Karolek (siedzi), z lewej ciocia Kumcia,
koleżanka Janki.
— List Karolka.
s. 52 Władysław Ferster (dziadek autorki), Kalisz 1921. — Ślub Janiny. Sawickiej z
Władysławem Fersterem, na pierwszym planie mały Staś, syn Władysława z pierwszego
małżeństwa, Grodno 1934.
s. 40-41
S.43
S.44
S.45
S.46
S.48
S.49
S.50
s.51
337
s. 53 Książeczka wojskowa Władysława Ferstera, sierpień 1939.
— List Józefa Sawickiego do wnuczki Zosi (przyszłej madd autorki), 1941.
s. 54 Władysław Ferster z córką Zosią, 1938. s. 59 Zosia Ferster, lata powojenne, s. 60
Zofia Ferster, przed maturą, 1954. s. 61 Zofia Ferster, lata pięćdziesiąte. s. 62-63 Na
wycieczce Zofia Ferster (druga od prawej) z Agnieszką Osiecką i kolegami, lata studenckie. s.
65 Edward Sumiński z wilczycą Torą i pointerem Gryfem, ok. 1955.
— Jamnik i Gryf w ogrodzie na Saskiej Kępie. s. 66-67 Edward Sumiński z Torą i Gryfem.
s. 69 Zofia Ferster z Amiczką, rasy kerry blue terier, s. 70 Zofia Ferster i Edward
Sumiński (przyszli rodzice autorki). s. 71 Edward i Zofia Sumińscy (rodzice autorki), 1959.
s. 72 Zofia i Edward Sumińscy, Warszawa 1957. s. 73 Warszawa, lata pięćdziesiąte.
s. 75 Dorota Sumińska, u dziadków Sumińskich, sierpień 1958. s. 76 Dorota z babcią
Ireną Sumińską, lipiec 1961. s. 77 Dorota z dziadkiem Piotrem Sumińskim, 1960. s. 83
Babcia Janina Ferster (Beba) i mała Dorota Sumińska. s. 86 Dorota z ojcem Edwardem
Sumińskim, 1961. s. 86-87 Dorota Sumińska i Koki Hara.

s. 89 Mała Dorota Sumińska na wakacjach w Grabiu. Z psem Amiczką i kurą Panią Warszawską. s. 90-91 Lato w Grabiu, dorośli od prawej: dziadek Piotr, mama Zofia, ojciec Edward, Dorota przed mamą, obok ojca Janina; pozostałe osoby niezidentyfikowane, początek lat sześćdziesiątych. s. 93 Na ganku w Jastrzębiu: Czort, dwa jagd teriery i Amiczka. s. 95 Mała Dorota z koleżanką i kotem Mońkiem. — Moniek. s. 103 Dorota Sumińska, 1965.

s. 104 Pożegnanie z babcią Janiną Ferster (Bebą) przed wyjazdem do Holandii, 23 sierpnia 1960. 104-105 Stoją od lewej: Koki Hara z żoną Mitsuko, siedzą: Zofia Sumińska, Haneke Closterboren i Dorota, Utrecht, październik 1963. s.109 Dorota z mamą, zdjęcie do paszportu, 1964.

s. po Ojciec Melchior Fordon, spowiednik o. Maksymiliana Kolbego, wujek babci Janiny Ferster (Beby), ok. 1920.

s. iii Wujek Zofii Stanisław Ferster, początek lat pięćdziesiątych.

s. 113 Stanisław Ferster z psem Kubusiem, 1975.

s. 115 Mała Dorota Sumińska w Jastrzębcu.

s. 119 Dorota z Jackiem Dziaczkowskim, grudzień 1962. s. I20-I2Г Dorota z Jackiem Dziaczkowskim i koleżanką pod Pałacem Kultury i Nauki, 1962.

s. 122 Z Jackiem Dziaczkowskim na nartach, koniec lat sześćdziesiątych.

Dorota z mamą Zofią Ferster i psem Wiwą, lata licealne. Z Jackiem Dziaczkowskim na obozie narciarskim, okres szkoły III podstawowej. S

W piątej klasie szkoły podstawowej — autorka w środkowym rzędzie, trzecia od lewej, z kucykami. ~ *

Z ojcem Stanisławem Sumińskim, w sukience komunijnej. oon

Dorota Sumińska na wycieczce w Toruniu, okres liceum. Koledzy z Hoffmanówki (od lewej Piotr Wilkoń). Hoffmanówka — ukochana szkoła autorki. Dziadek Piotr Sumiński. Mała Dorota u dziadków na Saskiej Kępie, 1962. Dorota z ojcem Edwardem Sumińskim, 1959. Żubroń — krzyżówka żubra z krową. Edward Sumiński z żubrem, lata dziewięćdziesiąte. Eulalia Weldon.

Dorota Sumińska na ostatnim roku studiów, 1980. Krzysztof Wójcicki (Bosman). — Krzysztof z kolegą, 1977/1978. Dorota Sumińska, 1981.

Dorota z mężem Pawłem Stachowiakiem i córeczką Martą, w wynajętym mieszkaniu. — Mała Marta Stachowiak, 1981. Ks. Jerzy Popiełuszko chrzci Martę Stachowiak, lipiec 1981. Na spacerze z Martą i psem Famą, 1982. Marta Stachowiak z Famą, 1983. Mała Marta na wakacjach w Urlach, 1983. Pierwsze urodziny Marty (Dorota z córeczką), 1981.

s. 126-127

s.131

s. 132-133

s.137

s.139

s. 140

s. 142

s.145

s. 146

s.149

s.151

s.152

s.159

s.162

s.165

- s. 189
- s. 190
- s.192
- s.195
- s.197
- s. 198-199
- S.200
- s. 20i Marta z psami, Fama i Madame Zuzu, 1982.
- 5. 202-203 Zofia Ferster z Martą, święta Bożego Narodzenia, 1984.
- s. 214 Ślub Doroty Sumińskiej z Krzysztofem Wójcickim (Bosmanem), 7 marca 1987 r.
- 5. 225 Pierwsza Komunia Marty, z tyłu Piotr Sumiński (jedno z ostatnich jego zdjęć), 1989.
- s. 227 Dorota Sumińska, początek lat dziewięćdziesiątych.
- s. 234 Dorota Sumińska z kotką Krysią, pekińczykiem Picusiem i shar peiką Kiwi.
- s. 235 Cypka Drypka — najmniejsza córeczka Puni.
- s. 237 Kiwi z dziećmi.
- s. 243 Dorota i Kaja Wołowska, Półwysep Arabski, 1997.
- s. 244 Dorota Sumińska przed lecznicą zwierząt w Dubaju, 1997.
- s. 246 W lecznicy w Dubaju: Dorota Sumińska. — Kaja i Dorota.
- s. 251 W górach Omanu. — Z Martą na granicy Emiratów Arabskich i Omanu. — Z Martą w Zatoce Perskiej, 1997.
- s. 253 Bal po egzaminie specjalizacyjnym.
- s. 257 Marta Stachowiak na wakacjach z Jasiem Dziaczkowskim, 1987.
- s. 261 Dorota Sumińska w swoim ogrodzie.
- s. 265 Dorota Sumińska z Bogusławą Krakowiak.
- s. 267 Kiwi (po prawej) z córeczką Liki.
- s. 269 Kiwi z koteczką Krysią.
- s. 271 Ita.
- s. 272 Wielkanoc: Dorota Sumińska z Itą, Zofia Ferster i Marta Stachowiak.
- s. 275 Dorota Sumińska z psem Kajtkiem,
- s. 278-279 Podczas nagrywania jednego z odcinków „Zwierzowca”.
- s. 283-285 Dorota Sumińska w delfinarium na Krymie, 2003 lub 2004.
- s. 300-301 Dorota Sumińska i Cholerek. — Jeżyca jerka.
- s. 302 Kot Żula, Zazula, Zulejka.
- s. 303 Kot Maciej, Maciuś, Maniuni Nowowiejski.
- s. 304 Dorota Sumińska z Maciusiem.
- s. 305-306 Unek, kot Zofii Ferster.
- s. 307 Kot Rudy. — Pies Drapek.
- s. 308 Kotka Białeczka.
- s. 309 Psy Czikita i Kajtek (w głębi). — Ciapek.
- s. 310 Dorota Sumińska ogrodzie z Bolkiem, Ciapkiem i Drapkiem.
- s. 311 Pies Czikita.
- s. 312 Pies Bolek
- s. 313 Pies Michalina. — Dorota Sumińska z Michaliną.
- s. 314 Dorota Sumińska z psami.
- s. 323 Dorota Sumińska w swoim domu.
- s. 330-331 Dorota Sumińska w ogrodzie.
- s. 354-355 Ciapek.

Na s. 4-5 wykorzystano fragment mapy: Polska południowo-wschodnia, za: Eugeniusz Romer, Polityczny atlas kieszonkowy, Książnica-Atlas, Lwów-War-szawa 1937. Fotografia ze s. 28 pochodzi ze zbiorów Muzeum w Niepołomicach; na s. 40-41 pocztówka archiwalna

(Grodno, most Marszałka J. Piłsudskiego); na s. 73 pocztówka, fot. L. Świecki, Biuro wydawnicze „Ruch”; na s. 261, 265, 275, 300-314, 323, 330-331, 350-351 fotografie autorstwa Pawła Ulatowskiego; pozostałe fotografie z archiwum rodzinnego autorki. Indeto osób*

Anders Władysław, gen. ni Anesz 295 Anesza rodzina 295 Autuchiewicz (zw. Autysiowy), znajomy z Grodna 57, 82, 84, 85

Badowska Mariola, z d. Bogucka

183,184 Badowski Dariusz 183,184 Balzak Honoré de 308 Banasiak Paweł 276

Banaszkiewicz Agata, z d. Kulicka

223, 224 Barszczewska Klara (Kaja), zob.

Wołowska Klara Beba zob. Ferster Janina Bierut Bolesław (właśc. Bolesław Biernacki) 35, 59 Borówka, zob. Regucka Jagoda

Boryczko Zdzisław 210, 211 Brzóska Małgorzata, z d. Zawada

255 Brzóska Sara 255 Budda (książę Siddhartha) 112 Bułhakow Michaił 184

Chmielewski Henryk Jerzy 129

Ciapka, niania 56

Closterboren Haneke (zw. Klosterbórka) 102-106,108 Czesio, pan 207, 208

Dawkins Richard 320

Drożdź Jan 128

Drożdź Jan, syn Teresy i Jana 128,

129 Drożdź Małgorzata 128,129 Drożdź Teresa 128,129

* Indeksy nie obejmują spisu ilustracji.

Drzewiecka, właścicielka przytuliska dla psów 208 Dziaczkowska Iza 118 Dziaczkowska

Monika 122,123 Dziaczkowski Igor 118,119, 230 Dziaczkowski Jacek 118-124, 131,

140,155, 230, 257 Dziaczkowski Jan 122,123

Edward, znajomu Janiny Ferster 57

Ferster Janina (Beba), z d. Sawicka, babka autorki 9, 10, 17, 42, 47-58, 62, 69, 70, 74-76, 82-86, 94,104, no, ni, 113,117,126,130, 134, 154-157, 166, 170, 171, 181, 191, 192, 196, 230-234, 236, 253, 298

Ferster Stanisław, wuj autorki 52--55, 106, 108, 109, 111-113, 232, 233,298

Ferster Władysław, dziadek autorki

52-54 Ferster Zofia zob. Sumińska Zofia Ferster Zuzanna 52,113 Fordon Melchior (właśc. Józef Fer-

don), ojciec, bł. no, iii Frybes Marcin 141

Gordziałkowski Jan 37 Gorzkowska Bogusława 223 Górska Joanna 209, 210 Grodkowska

Krystyna 193, 200 Grodkowski, mąż Krystyny 193 Gutowska, profesor 138

Halka-Ledóchowska Ewa 10,15-19, 22, 24-26,29-32, 74,104

Halka-Ledóchowska Irena zob. Sumińska Irena

Halka-Ledóchowski Adam 7-17, 22, 24, 26, 29, 30, 32, no

Halka-Ledóchowski Leon 17, 32

Hara Koki 86, 87,102-108

Hara Mitsuko 105-107

Harówie, rodzina 107

Holcerowa, profesor 140,155

Irma, znajoma z Grodna 57 Iwona, koleżanka 142

Jakobson Tadeusz 35, 36

Jan Paweł II (Karol Wojtyła), papież 110

Janina 90, 91

Jaruzelski Wojciech 194

Jarzęcka Małgorzata 238
Jarzęcki Tomasz 238
Jasieńska Wilma 178,179
Jasieński Staś 136,178,179,180
Jasieński Stanisław 23, 24
Jasieński Stanisław, stryj autorki 178,179
Jasieński, drugi mąż Sabiny Sumińskiej 23
Jasnorzewska-Pawlikowska Maria 332
Jaworska Irena (Inka), z d. Sumińska, ciotka autorki 35, 74, 76
Jędruch Jakub 211
Kaja, zob. Wołowska Klara
Kamegun Tawee 289
Kania, profesor 144
Karbowski Anna, z d. Grotkowska
193 Karbowski Eugeniusz 193 Karbowski Małgorzata 193 Karbowski Wojciech 211 Karol
258-260 Karolek, adorator Janiny Ferster
50, 51, 54, 57, 298
Kleopatra 272
Klimek Bogusława 323
Klimek Franciszek 320, 321
Kolbe Maksymilian Maria (właśc. Rajmund Kolbe), ojciec, św. 110
Korban Jan (Korbaś) 218-220
Korban Jolanta (Korbaś) 218
Korczak Jadwiga 279
Kosowska Agnieszka 200
Kosowska Anula 299
Kosowska Barbara 299, 332
Kosowski Wojciech 299
Kossak Magdalena zob. Samozwaniec Magdalena
Kossak Maria zob. Jasnorzewska--Pawlikowska Maria
Krakowski Bogusława 265,317,325, 326
Kraszewski Józef Ignacy 26, 27
Kulicka Agata, zob. Banaszekiewicz Agata
Kulicka Elżbieta 224, 314
Kulicki Andrzej 224, 225
Kulicki Karol 224
Kumcia, koleżanka Janiny Ferrster 51,57
Ledóchowscy, rodzina 10,15, 22
Ledóchowska Ewa zob. Halka-Le-dóchowka Ewa
Ledóchowska Urszula (właśc. Julia Ledóchowska), św. 109,110
Ledóchowski Adam zob. Halka Le-dóchowski Adam
Leszczyc-Sumińska Inka, zob. Sumińska Inka
Leszczyc-Sumińska Irena, zob. Sumińska Irena
Leszczyc-Sumińska Sabina, zob. Sumińska Sabina
Leszczyc-Sumiński Albert, zob. Sumiński Albert
Leszczyc-Sumiński Artur Edward, zob. Sumiński Artur Edward
Leszczyc-Sumiński Artur, zob. Sumiński Artur
Leszczyc-Sumiński Edward, zob. Sumiński Edward
Leszczyc-Sumiński Piotr, zob. Sumiński Piotr
Leszczyc-Sumiński Stefan, zob. Sumiński Stefan

Łętowska Maria 264
Maciej, kowal 14,15 Maczek Stanisław, gen. 232 Maj Bartłomiej 276 Maks Andrzej 211
Malicka Krystyna 274, 308 Malicki Maciej 274, 275, 308, 324-
-325 Marek, kolega 154 Marzena, koleżanka 143 Matuszewska Małgorzata 280
Nastka, lokatorka Sawickich 47, 56 Nowak Barbara 57, 298 Nowak Barbary rodzina 298
Osiecka Agnieszka 63 Osuchowska Zofia 102
Peczat Marek 171 Pietrak Izabela 242, 243 Pietrak Maciej 239, 242,246 Pietrak Marek 242
Pietrak Tomasz 242 Policińska Ewa 172,173 Policiński Krzysztof („Polita”) 172 Ponceleusz,
kolega 141 Ponceleuszowa, matka kolegi 141 Popiełuszko Jerzy 192,193 Popławscy, znajomi
z Grodna 57 Prieur Jean 318 Przemek, kolega 131 Puchalski Włodzimierz 27, 28
Raszkowska Małgorzata 222 Raszkowski Jerzy 222 Rejtan Tadeusz 191 Richter Teresa 207,
208 Rogucka Jagoda (Borówka) 193
Samozwaniec Magdalena 332
Sapińska Aniela 78, 79
Sapiński Franciszek 78, 79
Sapińskich dzieci 78
Sarti Dariusz 222, 223
Sarti Grażyna 222, 223
Sawiccy, rodzina 42,45,47
Sawicka Helena z d. Fordon, prababka autorki 42, 45, 46, 48, 51, 55, 56, 58, 59, 62
Sawicka Janina zob. Ferster Janina
Sawicka Maria 48,49
Sawicki Józef (Ziutek) 48,49
Sawicki Józef, pradziadek autorki 10, 42-48,51,53, 54, 56, 209
Sawicki Roman 42,54
Sienkiewicz Henryk no, 126
Sienkiewicz Krystyna 308
Sołtyk Natasza 219, 220
Sołtyk Wołodia 219
Spielberg Steven 270
Stachowiak Cyryl 191,193
Stachowiak Helena 191, 203
Stachowiak Mariola 193
Stachowiak Marta Magdalena, córka autorki 137, 147, 185, 187-203, 213, 223-225, 228, 235,
240, 251, 243, 256, 257, 259, 264, 265, 272, 286, 298, 299, 323,329
Stachowiak Paweł, pierwszy mąż autorki 182-186,190,191,193-195, 197
Sumińscy, rodzina 22, 33, 48, 54, 69, 72, 298
Sumińska Irena (Inka), zob. Jaworska Irena
Sumińska Irena Tekla, z d. Halka--Ledóchowska, babka autorki 17, 20-28,30-
32,74,76,82,146,148, 149,191
Sumińska Maria (Mija) Teresa, zob. Żylonis Maria
Sumińska Sabina, 20 Jasińska, z d. Oczosańska, prababka autorki 18, 22-24
Sumińska Zofia, z d. Ferster, matka autorki 17, 37-39, 42, 47, 50, 52--56, 58-64, 68-72, 74,
78, 79, 82, 85, 86, 90-94, 96-98, 100, 101, 104-109, iii, 112-117, 125-130, 134, 135, 138, 146,
150, 155, 166, 170, 171, 178, 181, 187, 204, 217,
223, 222, 233, 236, 237, 240, 268, 272, 281, 286, 298, 302, 305, 306, 215, 326, 329
Sumiński Albert Marcin, stryjeczny dziadek autorki 22-24
Sumiński Artur Edward, pradziadek autorki 23, 24,178
Sumiński Artur Jan, stryjeczny dziadek autorki 22-24

Sumiński Edward Hubert Stanisław Maria, ojciec autorki 26, 28-38, 63-72, 74-78, 85, 86, 88, 90, 91, 96-98, 101, 102, 114-117, 125, 130, 135, 136, 148-153, 160, 115, 193, 231, 286, 298, 310, 323, 325
Sumiński Piotr Paweł Stefan Marcin, dziadek autorki 18, 20-28, 30-33, 35-37, 64, 74, 76, 77, 80--82, 90, 91, 101, 104-106, 109, 144-147, 178, 234, 298, 325
Sumiński Stefan, stryj autorki 33,
37, 65, 74 Szekspir William 10 Szpotański Piotr 193 Szuszkiewicz Dorota 254 Szymańska Ewelina 325
Tischner Józef, ks. 237
Wanda, koleżanka Zofii Sumińskiej
204 Wargnier Regis 287 Wawrzyniak Wacław 140, 143 Weldon Eulalia (Ala) 57, 154, 156-159, 234
Weldon Eulalii rodzice 57
Weldon, mąż Eulalii 57
Wilkoń Józef 140
Wilkoń Piotr 140
Wilkosz Alicja 211
Wołowska Klara (Kaja), z d. Barszczewska 223, 226-229, 239, 241--243, 246, 249, 250
Wołowski Jacek 223
Wójcicka Bogusława 166, 168, 169, 212, 223, 239
Wójcicka Elżbieta 221
Wójcicka Lucyna 169, 223
Wójcicki Andrzej 221
Wójcicki Krzysztof (Bosman), drugi mąż autorki 164-169, 172, 178--181, 185, 212-215, 217, 218, 220, 221, 223, 224, 225, 233, 237-239, 318
Wójcicki Władysław 166, 168, 169, 212
Wrona, woźny 138
Wronowa, woźna 138, 139
Wykowski Andrzej 264
Zawada Małgorzata, zob. Brzóska Małgorzata
Zofia, chrzestna matka Zofii Sumińskiej 17, 57
Żakiewicz Marek 206
Żylonis Aleksander (Alik, Alek) 148,
150, 193 Żylonis Maria (Mija), z d. Sumińska, ciotka autorki 28-31, 33, 74, 148, 193
wykaz zwierząt

Amiczka, suczka kerry blue terierka 70, 71, 77, 79, 85, 89, 92, 93 Aza, krowa 10
Bajkał, łoszak 275
Białeczka, Białaczka, 307, 308
Bietka, kotka 324
Białko, pies 324
Bolek, Boluś, Bolo, jamnik 310, 312,
322, 324 Bombik, Bombardier, pekińczyk
315, 317 Bronek, wąż 39 Bulduś, mops 238 Burłaj, koń 33
Cholerek, jeź 298-302, 324 Ciapek, Ciapostaw, pies 157, 156,
264, 265, 304, 309-311, 322, 324,
326, 333 Cypka Drypka, Cypka jamniczka
235, 240, 264, 315-317 Czikita, suczka beagle 311, 312, 322,
324
delfin 282-285

Dino, kot maine coon 317
Drapek, Drapcio, Drapostaw, Drapo, pies 305,307,310,311,322,324 Drops, Dropsik, pies Dunia, Duniasza, Dunieczka (Anda Tribly, Anda-Wanda, Wandunia-Dunia), jamniczka 203-205, 215, 217-219, 221,234,240
Fajka, kobyłka angielska 114-116 Fama, Famka, suczka 184, 186, 187, 191,192,195,196,200,201,203 Felek, szczur 96, 97 Fuma, Fumka, suczka jagd terierka 125,128
Grisza, koń 33
Grom z Krywania, jamnik 215-217
Gryf, pointer 64-69
Heska, kot 158
Ita, kotka sfinks doński 264, 270-273, 315, 316 Izis, kotka 179
Jerka, jeżyca 300, 302, 316 Józef, Józio, wiewiór 209, 210,213
Kajtek, Kajto, Kajman, pies 274,275, 308, 309, 322, 324 Kasiak, sroka 114,116,117 Kazimierz, pies jagd terier 125,126 Kikuś, kot 158 Kiniusia, kotka 126 Kisa, pudelka 193 Kiwi, Kiwunia, Kiwusia, Kiwcia, Kiwasiki, Kiwaczek, suczka shar peika 234, 236, 237, 240, 266-269, 315, 316 Klaudyś, pies 314, 315 koty Nastki 47 Krysia, kotka 268, 269 Kubuś, pies shitsu 12,113
Liki, Likaonek, suczka shar peika 267, 316
Łekna, jałówka żubrońka 152
Maciej, Maciuś, Maniuni Nowowiejski, Manolo, Manoleto, kot 254, 273-305, 317, 324 małpa 291-293
Michalina, Misia, suczka 312-314 Minia, prosię 175-177,203 Moniek, kot syjamski 58, 85, 94 Moniek, Moniuś, kot syjamski 86, 94, 95, "6 Mruczka, kotka 316 Mundek, Mundeczek, kot 305, 324
Nelson, surykatka 280 Nero, pies 45-47, 56 ośmiornica 297 owady 279, 280
Pani Warszawska, kura 85,88,89,92 Paraska, kobyłka arabska 30-32 Picuś, Picuś Glancuś, Picuń, Pican-der (Bob Andrea), pekińczyk 233-235,240,315,317
Poldek, Poldeczek, pies 315, 317
Proś, knur 79,172,174
Punia, Pusia (Opuncja), suczka, pekińczyk 220, 221, 233-235
Riko, Wikunio, bokser 167-169 Rosołek, kogut 85, 92 Rududu, koziołek 85, 98-101 Rudy, Rudzik, kot 305-307 Rudy, pies 324
słoń 289-291
świnia 172-176
Tajga, kłępa 275, 276 Tora, wilczyca 65-69
Ufo, kotka 308
Unkas, Unek, kot 305, 306
Wamp, Wampik, Wampiczek (Łam-piczek), bokser 10,45, 56
Wiwa, Wiwunia, suczka jagd terierka 116,124-130,157,166,167,170,171
Zosia, kotka 264, 315, 316
Żula, Zazula, Zulejka, kotka 264, 302, 303, 315, 329
zwierzęta w krajach muzułmańskich 245-246

źbik 80, 81
źubr 150-153
źubroń 151,152
Żunia, Żorzeta, Madame Żuzu, Rzeżączka, suczka 195,196, 200, 203-205,217, 218, 221,
234,240
6
es
ж
349
Spis iresci
CZEŚĆ PIERWSZA
Moje korzenie sięgają daleko — do wołyńskich lasów i łąk
Paś się, krowo, paś! 9
Hrabia „gołodupiec” 20
Tumin 26
Edzio — mój niezwykły ojciec 30
Zośka — moja mama 38
Pradziadek Józef — dusza towarzystwa 42
Babcia — Janka Sawicka 48
Warszawskie życie Zośki 58
Moi rodzice 64
CZEŚĆ DRUGA
Przeczuwałam, że życie nie jest pasmem radości...
Trudne początki Doroty S. 74 Mój mleczny brat 78 Czita-Cheetah 80 Beba — moja
ukochana babcia 82 Ko, ko, kokoszka z Warszawy 88
Szczuruś 94
Koziołeczek Rududu 98
Koki Hara 102
Wujek Staś 108
Jastrzębiec 114
„Mój” Jacek 118
Dla Wiwy 124
Wakacje 128
Choroby i tęsknota 130
Pierwsze suknie 136
Hoffmanówka 138
Papierosy i kolekcje dziadka Piotra 144
Spotkanie z Ciuńcielem 148
Szkolne miłości i matura 154
Pani Ala — prawdziwa dama 156
Wybrałam weterynarię 160
Pod urokiem Bosmana 164
Rikunio 168
Pożegnanie z przyjaciółką 170
Minia 172
Rozsypane korale 178
Wyszłam za mąż — zaraz wracam 182
Być mamą 186
Dziecko, psy, papugi, kury, kaczki i królik
Dunia i Żunia 204

Praca	206
Stara miłość nie rdzewieje...	212
Szczeniaki, kociaki i Pusia	216
Jak dobrze mieć sąsiada	222
Na własny rachunek	226
Pożegnania	230
Lek na samotność	236
Pustynia wcale nie jest pusta	240
Kobieta w Arabii	248
Nowe życie	252
Zwierzęta radiowe	254
Marta — moja córka	256
Karol	258
CZEŚĆ TRZECIA	
Sposób na życie	
Mam dom	262
Kocia mama — Kiwusia	266
Ita — mój anioł	270
„Zwierzowiec”	274
Delfiny	282
Miłość i podróże	286
Wyspy Zielonego Przylądka	296
Rodzina czy stado?	298
Dusza	318
Mój dzień	322
Do czego służy ogród?	326
Sposób na życie	332
Drzewo genealogiczne	334
Spis fotografii	336
Indeks osób	342
Wykaz zwierząt	348

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2008 Wydanie pierwsze

Redaktor prowadzący Waldemar Popek

Redakcja Maria Rola

Indeks osób i wykaz zwierząt, drzewo genealogiczne Barbara Górska

Korekty

Barbara Borowska, Ewa Kochanowicz, Urszula Srokosz-Martiuk

Opracowanie graficzne, projekt okładki

Marek Wajda

Na okładce z lewej: Helena i Józef Sawiccy, ok. 1913, z prawej:

Dorota Sumińska (z archiwum autorki)

Zdjęcie autorki na czwartej stronie okładki

Paweł Ulatowski

Redakcja techniczna Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2008

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia informacyjna: o 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL

ISBN 978-83-08-04269-4

ж

h

Tf

Szczekająca, miaucząca,
chnunająca. f0||Zjjij|a \$aga

Barwne, nieraz burzliwe losy przodków

Doroty Sumińskiej

oraz dzieje jej życia w wielowątkowej autobiografii

JJ Najznakomitszą osobowością szczurzej części naszej rodziny był Felek. Wyglądał jak zwykły szczur wędrowny, ale był synem laboratoryjnej matki i dzikiego ojca. Kiedy był jeszcze całkiem mały, mój ojciec roztoczył nad nim opiekę. Felek uczył się bardzo szybko i chętnie. Znał wiele komend. Umiał się kryć, podawać papierosa, jadał z jednego talerza ze swym panem, ale najlepszy jego numer to niwelowanie tłoku w środkach miejskiej komunikacji. Kiedy w tramwaju robił się ścisk, mój tata mówił: „Ale tłok”, i Felek wychylał się z rozporoka swojego opiekuna. Natychmiast wkoło robiło się pusto, choć nieraz obrzucono obu panów niecenzuralnymi słowami.

malowniczym Wołyniu początku XX wieku pradiadek Doroty Sumińskiej ze sjpónyjojca, hrabia Adam Halka-Ledóchowski (wielki znawca koni), poznaje miłość swojego życia — prostą, ale niezwykle piękną dziewczynę Tatarkę... Kilka lat później egzotyczna piękność już jako Ewa Halka-Ledóchowska przechadza się po majątku ze znaną na całą okolicę... ulubioną krową Azunią.

Z córką Ewy i Adama ożeni się potem hrabia Piotr Leszczyc-Sumiński, dziadek autorki — z wykształcenia leśnik, wielki miłośnik zwierząt, znany z niezwyklej elegancji i gawędziarskiego usposobienia. To jego syn, hodowca wszystkiego, co tylko można hodować, Edward Leszczyc-Sumiński, jest ojcem Doroty.

Ale to dopiero początek historii... Dzieje rodziny ojca i matki autorki, Zofii, a także życie samej Doroty, pełne barwnych anegdot, są też dziejami zwierząt towarzyszących rodzinie od kilku pokoleń.

Dorota Sumińska jest lekarzem weterynarii-----

z wieloletnią praktyką oraz psychologiem zwierzęcym

z zamiłowaniem, od kilku lat p- y,

radiowe i telewizyjne programy M

(m.in. w TVP1 „Z wierzowi

w I programie Polskiego Radia). Jest też autorką

poradników i książek o zwierzętach.

cena 39,90 zł

patron medialny

ISBN 'iYIтит^iііі

ф

WYDAWNICTWO LITERACKIE

M Jedyńka

9788308042694